Artykuły i korespondencje, przeznaczone dla «Kraju», powinny być pisane czytelnie i po jednej stronie papieru. Rękopisy i fotografje można przesyłać pod opaską rekomendowaną. Drobnych rękopisów Redakcja nie zwraca; większe po upływie roku bywają niszczone. Rachunki honorarjów regulowane są przez Administrację kwartalnie.

KRAJ

Biuro Redakcji otwarte (z wyjątkiem niedziel i świąt) od godz. 11 rano do 3 pop.; Biuro Informacyjne od godz. 5 do 6 pop. Administracja od g. 11 r. do 5 pop. Wszystkie trzy biura mieszczą się w Petersburgu, w domu № 82, kanał Jekateryński. Adres dla telegramów: Petersburg, «Kraj», Warszawski Oddział «Kraju», Marszałkowska 119.

Og. zb. №. 1022 | Petersburg, 1 (14) lutego 1902 r. | Rok XXI. №. 5

TREŚĆ N-ru 5 „KRAJU"

DZIAŁ GŁÓWNY:

Artykuł wstępny: Reformy ziemskie, przez *B. Kutyłowskiego.*

Artykuły bieżące: Pod berłem pruskiem. (I. Rola policji berlińskiej. II. Zakazy języka polskiego. III. Księża na Górnym szlązku. IV. Wzrost prasy polskiej). Z rozmów i wrażeń. (Co niemcy myślą), p. *Stacha.* Kolonje dla obłąkanych. (Rozmowa z d-rem Rychlińskim), p. *Testisa.*

Listy korespondentów „Kraju": (Echa zachodnie): Z Kurytyby, p. *Ż.* z Berlina, p *Gordona*, z Poznania, p. *Bart.* i t. d.

Demonstracje lwowskie. (Nowe sukcesy). Odezwa.

Uwagi redakcyjne w sprawach bieżących.

Przegląd prasy. Wiadomości bieżące: Dworskie, Urzędowe, Ogólne i Petersburskie.

Polityka zagraniczna. Przegląd, przez *J. Mzurę.* Tydzień polityczny.

Kronika: Kościół i duchowieństwo. Prawo i sądy. Szkoły i młodzież. Osobiste. Ruch kobiecy. Statystyka. Wypadki. Różne. Sport. **Zaślubiny. Odpowiedzi Biura informacyjnego. Doniesienia. Nekrologja.**

Ekonomista: Przegląd. Tydzień ekonomiczny. Kronika giełdowa. **Ogłoszenia.**

ŻYCIE i SZTUKA

(Pismo dodatkowe).

Artykuły: Bohdan Zaleski. (1802—1902) przez *Cz. J.* Ziemska dola poety. Listy krakowskie, p. *Wierzbiętę.* Malborg. Piśmiennictwo historyczne. (Nowy pogląd na pieśń o „Bogarodzicy". Pamiętniki ks. Adama Czartoryskiego w cświetleniu krytycznem prof. Henryka Ulmanna), p. *L. B.* Z Cattaro do Cetynji. (Notatka turysty), p. *J. Jodko.* Siły lądowe i morskie mocarstw głównych, p. *Z.* Pod gwiaździstym sztandarem. (Nasi emigranci w Stanach Zjednoczonych), p. *Józefa Iłowieckiego.* Z chwili bieżącej: Pretendent do dwóch koron, p. *Z.*; Adelaida Ristori, p. *C.* **Notatki:** naukowe, literackie, artystyczne, teatralne. **Nowe książki. Zawiadomienia.**

Ilustracje: Dwie ilustracje do artykułu „Listy krakowskie". Dwie ilustracje do artykułu „Malborg". Jedna ilustracja do artykułu „Z Cattaro do Cetynji". Portrety: Bohdan Zaleski. Arcyksiążę Fraciszek-Ferdynand d'Este. Książę Mikołaj czarnogórski. Lucjan Wrotnowski. Książę Jayme de Bourbon i dwie jego siostry. G. Marconi. Adelaida Ristori.

DODATEK POWIEŚCIOWY:

Piękna ogrodniczka. Fragment sceniczny w 1 odsłonie *Stefana Krzywoszewskiego.* Z poezyj B. Zaleskiego. Rok 1809. Powieść historyczna przez *Wacława Gąsiorowskiego.* (DC). Eugenjusz Oniegin. Romans wierszem *Aleksandra Puszkina*, przekład *Leo Belmonta.* (DOK). Szydło w worku. Przez *A. P. Czechowa*, tłóm. *G. W.* Drobiazgi.

KARTA ALBUMOWA:

„Rybaczka", obraz *Wł. Wankego.*

Do dzisiejszego N-ru „Kraju" dołączoną jest **Karta Albumowa,** odtwarzająca obraz Wł. Wankego: «*Rybaczka*».

REFORMY ZIEMSKIE.

Czterdzieści lat mija od epoki reform panowania cesarza Aleksandra II, owej doby heroicznej w dziejach rosyjskiego życia społeczno-politycznego. Doba to była krótka, wzniosła wszakże trwałe swego istnienia pomniki, o które czas późniejszy niejedną już złamał kosę. Jednym z najwspanialszych jest niewątpliwie ustawa o samorządzie prowincjonalnym z 1 stycznia 1864 roku. Uznała ona już nie w stanach oddzielnych, ale w ludności całej pewnych obwodów obszarowych osobistość prawniczą, powołała społeczeństwo do pracy publicznej, otworzyła dla inicjatywy i dzielności społecznej pole działalności samoistnej, niezależnej i tylko kontrolowanej przez ogólnopaństwową władzę administracyjną. Niestety, w chwili narodzin tej ustawy, wypadki uniemożliwiły jej zastosowanie niezwłoczne do prowincyj zachodnich Cesarstwa, okoliczności zaś natury rozmaitej przeszkodziły wprowadzeniu jej do krajów kresowych oraz do obwodów mało zaludnionych państwa. Skorzystały z niej 34 gubernie, w innych zaś ograniczono się w latach następnych do prowizorycznego zreformowania zawiadujących sprawami lokalnemi urzędów administracyjnych. W ten sposób imperjum rosyjskie podzieliło się na dwa różne pod względem ustroju politycznego kraje. W jednym działał samorząd: o sprawach publicznych lokalnych, radzili obrani przez ludność jej przedstawiciele, powstawały szkoły, szpitale, ulepszały się drogi, mnożyły się instytucje dobroczynności publicznej, stosowały się rozmaite środki podniesienia sił gospodarczych ludności; w drugim wszystko stężało na miejscu: panował zastój, niezaradność i formalizm, ludność pod opieką biurokratyczną nie zaznała wprawdzie przykrości zbytniego wzrostu ciężarów podatkowych, ale żadnego udziału w sprawach społecznych lokalnych nie brała i, naturalnie, interesować są niemi nie mogła. Różnica z biegiem czasu stała się tak rażącą, że wówczas nawet, gdy z tradycją reform zerwano stanowczo, niepodobna było zamykać na nią oczów. Wprowadzając do ustawy o samorządzie ziemskim zmiany doniosłe, w celu zacieśnienia zakresu jego samodzielności i poddania jego czynności nieustającemu dozorowi i poniekąd kierownictwu władz administracyjnych gubernialnych, przekształcając członków wydziałów ziemskich w urzędników państwowych, ukaz 1890 roku stwierdza uroczyście płodność ćwierćwiekowej działalności samorządu prowincjonalnego i jej wielkie zasługi. Czasy wszakże zmieniły się. Zwolna, z rozmaitych powodów zaczęło torować sobie drogę w sferach miarodajnych przekonanie, że różnica pomiędzy gospodarką ziemstw w prowincjach samorządnych a gospodarką biurokratyczno-administracyjną w innych obwodach państwa pochodzi nie tyle z różnicy ustroju zarządu lokalnego, ile ztąd, że ziemstwo, jako instytucja gospodarcza, ma szerszy zakres działalności, aniżeli komitety urzędnicze prowincyj niesamorządnych. Dość rozszerzyć granice tego zakresu, mówiono, ażeby wykształcona, karna i sprawna współczesna biurokracja państwowa wywiązała się z zadania o wiele lepiej od ciężkiej, wywołującej ferment walk stronniczych i niewłaściwą dla rosjan zabawę w parlamentaryzm machiny ziemskiego ustroju samorządnego.

Zamierzono iść dalej w kierunku, wytkniętym przez ustawę 1890 roku. Jeszcze przed kilku laty wnioski ówczesnego ministra spraw wewnętrznych p. Goremykina, co do reformy ustroju lokalnego w prowincjach zachodnich, poprzedzał motyw rozszerzenia na całe państwo ustawy o samorządzie prowincjonalnym,

z koniecznemi tylko, wywołanemi przez warunki miejscowe zmianami, które, mówiąc nawiasem, pozbawiały ten samorząd najgłówniejszych jego właściwości istotnych. Wnioski te zdystansowano dziś ogromnie, posuwając się w obranym od lat dziesięciu kierunku. Chodzi obecnie nie o wprowadzenie do prowincyj zachodnich ustroju samorządnego, choćby okrojonego jaknajbardziej, ale o taką reformę istniejących tam urzędów administracyjnych ogólnopaństwowych do spraw lokalnych, któraby wykazała, że pomyślny bieg tych spraw nie stoi w związku z administracją samorządną, «Graždanin» sądzi, że w ten sposób możnaby z czasem zreformować funkcjonujące obecnie w 34 gub. ziemstwa.

Według informacyj dziennikarskich, wnioski co do ustroju przyszłych urzędów do spraw lokalnych głoszą, że w każdej guberni utworzone będą komitety ziemskie gubernialne i powiatowe, wydziały ziemskie gubernialne i urzędy powiatowych pełnomocników ziemskich. Komitet gubernialny składać się będzie z gubernatora, wice-gubernatora, marszałka szlachty, zarządzających Izbą skarbową i dobrami państwa, członków stałych urzędów do spraw miejskich i włościańskich, mianowanych przez ministra spraw wewnętrznych prezesa i trzech członków wydziału ziemskiego, i również mianowanych przez ministra, ale co trzy lata, radnych («głasnych»), od każdego powiatu, z pomiędzy właścicieli opodatkowanych na rzecz ziemstwa nieruchomości. W skład komitetów powiatowych wejdą marszałkowie szlachty powiatowej, naczelnicy ziemscy, sprawnik, inspektorowie podatkowi, inżynierowie drogowi, rządcy dóbr państwa, radni od powiatu i pełnomocnik powiatowy. Członkowie wydziału gubernialnego będą urzędnikami państwowymi klasy piątej i szóstej, we wszystkiem przyrównanymi do innych urzędników ministerstwa spraw wewnętrznych. Tak samo urzędnikami państwowymi mają być sekretarze wydziałów i powiatowi pełnomocnicy ziemscy. Do wszystkich wspomnianych urzędów stosowane będą naturalnie istniejące przepisy co do służby państwowej w prowincjach zachodnich. Urzędnikami w składzie instytucyj projektowanych nie będą tylko owi mianowani przez ministra spraw wewnętrznych radni komitetu gubernialnego, ale rola ich stanie się drugorzędną z natury rzeczy, ponieważ obecność ich będzie konieczną tylko w niektórych posiedzeniach komitetu i nie będą mogli nieść przed współobywatelami odpowiedzialności za jego uchwały i czynności.

Komitet gubernialny zastąpić ma istniejące obecnie urzędy do spraw lokalnych i stać się, co do zakresu działalności, czemś równoważnem z samorządnem zgromadzeniem gubernialnem ziemskiem. Układać będzie budżety lokalne, ustanawiać i określać sposób wykonywania robót publicznych i innych powinności naturalnych, zaciągać pożyczki, zawierać umowy w imieniu «ziemstwa», upoważniać nadbudżetowe wydatki, nabywać nieruchomości i wyzbywać się ich, rozkładać ciężar podatków ziemskich i państwowych pomiędzy miasta a powiaty i zarządzać sprawami lokalnemi: drogowemi, szkolnemi w zakresie szkolnictwa niższego, dobroczynności publicznej i wszelkiemi sprawami, dotyczącemi dobrobytu materjalnego ludności i stosunków miejscowych ekonomicznych.

Postanowienia komitetu co do budżetów miejscowych, oraz niektóre inne iść mają przez gubernatora na potwierdzenie ministra spraw wewnętrznych; od decyzji ministra zależy także prawomocność wszystkich postanowień komitetu, na które nie godzi się gubernator. Komitet zgromadza się na jedno posiedzenie doroczne nie później, jak 1 października, celem rozpatrzenia preliminarzów budżetowych i sprawozdania wydziału, oraz na posiedzenia zwyczajne, zwoływane w miarę potrzeby. W razie, gdy na zgromadzenie przybędzie mniej niż połowa jego członków, uznaje się ono za niebyłe, poczem zwołuje się posiedzenie powtórne, którego postanowienia są ważne niezależnie od liczby obecnych.

Komitety powiatowe zgromadzają się raz do roku, przed 1 września, celem ułożenia preliminarzów budżetowych dla powiatu, oraz wniosków co do rozkładu ciężarów powinności naturalnych i opinij w rozmaitych kwestjach, przedstawianych komitetowi gubernialnemu.

Organem wykonawczym komitetu gubernialnego będzie jego wydział, bezpośrednio podległy gubernatorowi i działający w powiatach przez pełnomocników ziemskich, którzy mają zarazem zarządzać kancelarjami komitetów powiatowych.

Takim byłby w zarysach ogólnych ustrój przyszłych urzędów do spraw lokalnych w prowincjach zachodnich. Wprowadziłby on zamiast istniejących komitetów zarządzających, urzędów dobroczynności publicznej i licznych innych instytucyj niestałych—nowe biurokratyczne komitety ziemskie, gubernialne i powiatowe, obdarzone prawem opodatkowywania ludności, którego państwo odmawiało dotąd najwyższym swoim urzędnikom i urzędom. Na czele nowego zarządu stałby gubernator, jako wszechstronny gospodarz powierzonej jego pieczy prowincji. Dziś w prowincjach niesamorządnych ma on do czynienia z gospodarką pierwotną, nie wymagającą wielkiego nakładu uwagi i pracy, w gubernjach zaś samorządnych rola gubernatora ogranicza się do nadzorowania czynności instytucyj ziemskich, cała zaś praca gospodarcza leży na barkach tych instytucyj. Według streszczonych powyżej informacyj co do przyszłego ustroju urzędów biurokratycznych do spraw lokalnych, gubernatorowi przypadłaby w udziale olbrzymia praca nad rozpoznawaniem długiego szeregu spraw lokalnych gospodarczych, a szereg ten z biegiem czasu rość będzie nieskończenie. Zważywszy, iż na najwyższym przedstawicielu państwa w guberni ciążą liczne obowiązki administracyjne, niepodobna nie przyjść do wniosku, że brzemię nowej pracy obciążyłyby go po nad ludzkie siły, odrywając od bezpośrednich zajęć i obowiązków.

Zaznaczyliśmy już, że, pomimo udziału w zgromadzeniach komitetu mianowanych przez ministra spraw wewnętrznych radnych—żywioł obywatelski graćby mógł w tych zgromadzeniach drugorzędną tylko rolę. Liczba urzędników administracyjnych w składzie komitetu dorównyłaby prawie liczbie wspomnianych radnych, a zważywszy, że wszyscy ci urzędnicy mają pobyt stały w mieście gubernialnem, radni zaś mieszkają w powiatach, w każdem posiedzeniu zastęp urzędniczy stanowiłby większość, szczególniej w razie zachowania przepisu, głoszącego, że w razie nieprzybycia na zgromadzenie połowy członków komitetu, zwołuje się posiedzenie powtórne, którego uchwały są ważne przy wszelkiej liczbie członków obecnych. Zastęp urzędniczy zresztą już przez swoją zwartość, karność oraz przez łatwość porozumienia się przedwstępnego, miałby niewątpliwą nad żywiołem społecznym przewagę, co zniechęciłoby w krótkim czasie lepszych przedstawicieli tego żywiołu do brania udziału w pracach komitetu. Nie mogą oni zerwać łączności ze społeczeństwem, a ta łączność nie pozwoli im brać wobec niego odpowiedzialności, choćby tylko moralnej, za czynności komitetu, od ich woli niezależne i niekoniecznie z nią się liczące. Usunęliby się też oni od fikcyjnej działalności w roli radnych, a ich miejsce zajęłyby żywioły mniej pod każdym względem tak dla państwa, jak dla ludności miejscowej pożądane. Żywioł urzędniczy w instytucjach do spraw lokalnych, jakkolwiek jego zalety tak pod względem wykształcenia umysłowego, jak pod względem pracowitości nie dadzą się zaprzeczyć, nie może zastąpić w pełni pierwiastku obywatelskiego choćby dlatego, że nie odczuwa na swojem stanowisku potrzeb ludności i luk w ich zaspokajaniu. Uwagę jego z konieczności zaprzątnie porządek i ład zewnętrzny, zdolność zajrzenia w głąb będzie mu zawsze obcą. Organizację zatem projektowaną urzędów do spraw lokalnych uznać należy za niezbyt szczęśliwie przystosowaną do warunków praktycznych przyszłej ich działalności.

Poważne zarzuty nastręcza zamierzone podobno nadanie komitetom ziemskim prawa opodatkowywania ludności na pokrycie wydatków budżetu lokalnego. Wprawdzie informacje dziennikarskie dodają, że budżety lokalne, opracowane przez komitety gubernialne, zatwierdzać będą ministrowie spraw wewnętrznych i skarbu, ale w każdym razie wspomniane prawo byłoby zerwaniem z zasadami dotychczasowego ustawodawstwa rosyjskiego. Nie uznawało ono dotąd, ażeby jakikolwiek podatek mógł obciążyć ludność państwa inaczej, jak na mocy ustawy, wydanej przez władzę Najwyższą. Po za tem opodatkowywać się mogły, dla zaspokojenia własnych potrzeb i dopięcia swoich celów, grupy ludności o charakterze publicznym i prywatnym, a zatem związki stanowe, jak zgromadzenia gubernialne szlacheckie, stowarzyszenia ekonomiczne, dobroczynne lub korporacyjne, wreszcie grupy obszarowe, korzystające z samorządu wewnętrznego, jak miasta i ziemstwa. Będąc uznanemi przez ustawę osobistościami moralnemi, posiadającemi zdolność zawierania umów, mogą wspomniane stowarzyszenia i grupy wchodzić z innemi osobami w umowy majątkowe, odpowiadając za swe czynności według przepisów prawa cywilnego. Możliwość dowolnego opodatkowywania ludności, nie stanowiącej osobistości prawniczej, przez instytucję administracyjną, która istnieje nie na mocy mandatów wyborczych, ale na mocy rozkazu z góry, byłaby wobec zasad powyższych anomalją niczem nieusprawiedliwioną. Zawieranie umów w imieniu nieistniejącego, jako osobistość cywilna, «ziemstwa» sprzeciwiałoby się ustawodawstwu cywilnemu obowiązującemu i nie mogłoby w normalnym biegu rzeczy znaleźć przysługującego każdej czynności legalnej prawa obrony przed sądem. Wszystkie istniejące instytucje administracyjne, o ile mają prawo zawierania umów prywatnych, zawierają je w imieniu skarbu państwa, który jest wobec drugiej strony majątkowo odpowiedzialny. Nieistniejące «ziemstwo» odpowiedzialności nieść żadnej nie może, i odpowiadać zań nie mogłaby także ludność miejscowa, której ustawa nie nadaje prawa samorządu i która nie upoważniała nikogo do zawierania umów na jej korzyść czy szkodę.

Skoro z tych lub owych względów wprowadzenie samorządnych instytucyj ziemskich do prowincyj zachodnich uznane zostało za niewłaściwe, najpraktyczniej może byłoby ograniczyć reformę do ulepszenia organizacji instytucyj istniejących, zlawszy je w jakąś całość ustrojową i nie rozszerzając ich praw do tego stopnia, ażeby mogły obciążać ludność ciężarami podatkowemi. System to zapewne przestarzały, ale w chwili, gdy porusza się kwestję zastąpienia instytucyj samorządnych ziemskich i nawet miejskich przez urzędy biurokratyczne—może najbardziej odpowiedni, bo tani i doświadczony.

B. Kutyłowski.

POD BERŁEM PRUSKIEM.

I. Rola policji berlińskiej.

Sprawozdanie policji berlińskiej, które komunikuje «Vorwärts» zawiera dużo zajmujących szczegółów. Zapoznaje nas ze środkami, jakich rząd używa do zwalczania pewnych ruchów politycznych. Na szczególniejszą uwagę zasługuje nadzór nad stowarzyszeniami.

Konstytucja pruska głosi, iż każdy obywatel pruski ma prawo łączyć się z innymi w stowarzyszenia i zwoływać zgromadzenia, o ile zachowane będą zastrzeżone osobnemi przepisami formalności. Opublikowane sprawozdanie wyjaśnia, iż władze rządowe zlecają policji szczególną opiekę nad zgromadzeniami socjalnych demokratów, anarchistów i *narodowo-usposobionych polaków*. Czyż nie budujące zestawienie?...

W kwestji t. zw. ruchu polskiego, jak słusznie zaznacza «Vorwärts», policja berlińska nie wychodzi z «chorobliwego przerażenia». Sprawozdanie oświadcza, iż ruch polski w Berlinie jest rzeczą nową, powstałą dopiero w ciągu ostatnich lat dziesięciu. «Daje się on objaśnić: 1) zaostrzeniem się przeciwieństw narodowych; 2) rozwojem Berlina, jako centralnego punktu ruchów politycznych». Raport skarży się gorzko, iż «dozór nad tym ruchem w obu jego kierunkach, t. j. narodowo-polskim i polsko-socjalistycznym, jest bardzo utrudniony przez używanie *narzecza* (*Idiom!*) polskiego, jak również przez coraz większe rozszerzanie się tego ruchu i rozgałęzianie się go na niezliczoną ilość stowarzyszeń, tak w państwie niemieckiem, jak po za jego granicami».

Władzom policyjnym ruch ów wydał się tak niebezpiecznym, iż stworzono w Berlinie «centralny punkt obserwacyjny», którego zadaniem jest śledzenie ruchu nietylko w Niemczech, ale i zagranicą. Widzimy tedy, że policja berlińska umiała wyzyskać obecne usposobienie rządu, by założeniem «centralnego punktu obserwacyjnego» zdobyć dla siebie nowe fundusze, na które składają się podatkami również i obywatele polscy.

O podejrzliwości pruskich stróżów bezpieczeństwa publicznego świadczy następujący fakt drobny. W ubiegłą niedzielę odbyła się, z okazji rocznicy założenia «Sokoła» w Charlottenburgu, towarzyska zabawa polska. Brali w niej udział jedynie zaproszeni lub wprowadzeni przez członków goście, samo zaś zebranie zameldowane było w policji jako «prywatne». Mimo tego rodzinnego charakteru, przedstawiciel policji zjawił się w sali i, nie zważając na protest obecnych, pozostał przez cały czas zabawy, nie mającej nic wspólnego z polityką.

II. Zakazy języka polskiego.

Dzienniki donoszą, że landrat powiatu świeckiego w Prusach zachodnich, opierając się na ustawie o języku urzędowym z 28 sierpnia 1876 roku, wezwał wszystkich sołtysów swego powiatu, aby posługiwali się wyłącznie językiem niemieckim, czy to ustnie czy piśmiennie. Wniosków

w języku polskim nie wolno im wcale uwzględniać. Kto nie włada biegle językiem niemieckim, nie może być sołtysem. «Schlesische Zeitung» wyraża nadzieję, że rząd zastosuje owe rozporządzenie do wszystkich prowincyj wschodnich. A oto jeszcze wymowniejszy fakt: Władze szkolne w Gdańsku wysłały do jednego z nauczycieli w Prusach zachodnich następującą odezwę:

„Dowiedzionem zostało zeznaniami wiarogodnych świadków, że pan często w rozmowie z osobami, które zupełnie władały językiem niemieckim, publicznie posługiwałeś się językiem polskim. Wedle rozporządzenia ministerstwa z 12 kwietnia 1898 roku, które panu podane zostało do wiadomości, obowiązkiem pana jest, swoim własnym przykładem wzmacniać ducha patrjotycznego i popierać dążenia ludności niemieckiej, ku temu zmierzające. W jaki sposób ma się to dziać w publicznem i prywatnem życiu, wyjaśniliśmy w rozporządzeniu naszem z dnia 12 kwietnia 1898 r. Przeciwko tym rozporządzeniom wykroczyłeś więc pan w sposób najcięższy i nie odpowiedziałeś pan nadziejom, jakie położono w panu. Dlatego zwalniamy pana z publicznej służby nauczycielskiej naszego obwodu“.

Ten autentyczny dokument najzupełniej obala znane orzeczenie hr. Bülowa, że polakom wolno w Prusach mówić, jak im «dziób wyrósł».

III. Księża na górnym Szlązku.

Radykalna prasa wielkopolska oddawna skarży się na rzekomo germanizacyjną działalność szlązkiego duchowieństwa katolickiego. Głośna «Pobudka wyborcza» p. Marcina Biedermana oparła się głównie na tym rozdźwięku, jaki często ma panować między polską ludnością na Górnym szlązku, a jej dusz pasterzami.

Jednym z organów, który dotychczas najenergiczniej przeciwdziałał wpływom prasy radykalnej i który był przez nią uważany, jako nieprzyjaźnie usposobiony dla uświadomienia narodowego górnoszlązaków — była założona w Bytomiu przez duchowieństwo «Gazeta Katolicka». Prześladowania, podjęte przez obecny rząd pruski przeciw narodowości polskiej, nie pozostały bez wpływu na to pismo. Ostatnio ukazał się w niem artykuł, który w całej prasie wielkopolskiej znaczne wywarł wrażenie, świadcząc o zwrocie w poglądach księży katolickich na Szlązku.

„Nikt rozsądny nie śmiał dotychczas zaprzeczać, że jeżeli każda nauka, to przedewszystkiem nauka religji św. nie może i nie powinna być inaczej udzielaną, jak tylko w języku ojczystym, jeśli serce ma się przejąć prawdami wiary św. Dopiero w naszych czasach potwory hakatystyczne w swojej bezmyślności, albo raczej z różnych pobudek ziemskich, występują z przeciwnem twierdzeniem. Niezrozumiałem atoli jest i pozostanie, jeśli na górnym Szlązku mamy nawet niektórych kapłanów, którzy przyspasabiają dziatki polskie do spowiedzi i komunji św., wbrew woli Kościoła, po niemiecku, zamiast w ojczystym języku. A przecież właśnie przy tejże nauce religji św. są zupełnie niezależni, nie potrzebują się niczego obawiać i żadnemi względami się krępować. Czy ci kapłani może sądzą, że odpowiadają interesom Kościoła, albo życzeniom najprzew. ks. arcypasterza naszej djecezji? Ks. kardynał, jak to wiemy, tak jest przeświadczony o konieczności ojczystego języka przy nauce religji, jak wogóle każdy sumienny pasterz trzody Chrystusowej“.

W zakończeniu owego artykułu, napisanego przez jednego z czcigodnych kapłanów górno-szlązkich, znajdujemy następujące zdanie:

„niech każdy pamięta na słowa św. Pawła (II. Kor. 6, 3): „Nie dawajmy nikomu żadnego zgorszenia, aby urząd nie był zganiony“. Okropne atoli zgorszenie daje kapłan, który na język ojczysty tak mało zważa, że własne jego owieczki mogą mu zarzucić „niesłychane gwałcenie sumień“ polskich dziatek, jak to niedawno w gazetach czytaliśmy“.

IV. Wzrost prasy polskiej.

W ostatnich czasach pisma polskie w Prusach cieszą się coraz większą poczytnością. «Słowo» oblicza, że obecnie wychodzi w W. Ks. Poznańskiem 13 pism polskich, z tych 9 codziennych, 2 dwa lub trzy razy tygodniowo i 2 tygodniki. Oto liczba ich prenumeratorów w zaokrąglonych cyfrach: «Dziennik Poznański» 2,500, «Kurjer Poznański» 1,500. «Wielkopolanin» 10,000, «Orędownik» 2,000, «Postęp» 4,000, «Przyjaciel Ludu» 3,000, «Goniec Wielkopolski» 2,000, «Przewodnik Katolicki» 50,000, «Praca» 12,000, «Dziennik Kujawski» 4,500, «Lech» 1,500, «Gazeta Ostrowska» 1,000, «Gazeta Kościańska» 1,000—razem 95,000 prenumeratorów.

W Prusach zachodnich i wschodnich wychodzi jedno tylko pismo codzienne: «Gazeta Toruńska» (w tańszem wydaniu pod tytułem: «Gazeta Codzienna»), reszta ukazuje się dwa lub trzy razy tygodniowo. Prasa zachodnio-pruska liczy abonentów: «Gazeta Toruńska» (wraz z «Codzienną») 3,000, «Przyjaciel» 4,000, «Pielgrzym» 2,500, «Gazeta Grudziądzka» 34,000, «Gazeta Gdańska» 4,000, «Gazeta Olsztyńska» 1,500, «Gazeta Ludowa» (ewangelicka dla mazurów) 500—razem 49,500 prenumeratorów.

Szlązk także ma dopiero jedno pismo codzienne: «Dziennik Szląski». Obok niego wychodzą jeszcze 4 pisma, 3 lub 2 razy tygodniowo. Z tych najpoczytniejszym jest «Katolik» bytomski, który liczy 26,000, «Gazeta Opolska» 2,000, «Nowiny Raciborskie» 1,500 (dawniej 3,000), «Dziennik Szląski» 3,000, «Praca» (pismo dla robotników) 8,000—razem 40,500 prenumeratorów.

Ogółem tedy dosięga liczba abonentów pism polskich w Prusach cyfry 154,500, a jeśli doliczymy jeszcze dwa pisma na obczyźnie wychodzące, a mianowicie: «Wiarusa» (w Westfalji) 4,000 abon., i «Dziennik Berliński» 1,500 abon., otrzymamy cyfrę 160,000 abonentów. A ponieważ przeczytana gazeta wędruje prawie zawsze do rąk sąsiadów, przeto obliczać można zastęp czytelników prasy polskiej pod zaborem pruskim na *300 do 400* tysięcy.

Konfiskaty.

Przeciw pismom galicyjskim, mianowicie „Czasowi“ i „Dziennikowi Polskiemu“, toczył się proces przed tutejszą Izbą karną o artykuły, umieszczone z powodu zajść wrzesińskich i ogłoszenie listu Sienkiewicza. Zadecydowano konfiskatę wszystkich odnośnych numerów, obracających się w państwie pruskiem. Poczcie niemieckiej zabroniono przesyłać karty pocztowe z widokami Wrześni i portretami skazanych. Wydawcy tych kart wytoczono proces.

Koszta sądowe «Pracy».

Obecnie wydawnictwo „Pracy“ ma pięciu redaktorów w więzieniu. Ostatni proces p. Korfantego był czterdziestym z rzędu procesem „Pracy“. W 19 tu procesach zasądzono jej redaktorów ogółem na 6,385 marek kary, a w 21 innych procesów zasądzono jej redaktorów ogółem na 9 lat i 3 tygodnie więzienia. Ponieważ „Praca“ wychodzi dopiero rok szósty, można zatem powiedzieć, że odkąd wydawnictwo istnieje, prawie bez przerwy jest zawsze kilku redaktorów „Pracy“ w więzieniu, a za każdy rok wydawnictwa przypada przeszło 1 i pół roku więzienia. Jeżeli dzień więzienia policzymy po 10 mrk. (zwykła taksa sądów pruskich), otrzymamy sumę 33,070 marek, co razem z sumą kar czyni 39,455 marek. Do tej sumy dodajmy jeszcze koszty sądowe, obrony i t. d., które, najmniej licząc, wynoszą 12,000 marek. Ogółem więc suma kar, kosztów i obliczonego na marki więzienia wynosi 51,455 marek.

We Wrześni.

Do szkoły katolickiej, która tyle rozgłosu zyskała wskutek zajść wrzesińskich, odbyły się wybory członków dozoru szkolnego, ponieważ dotychczasowych członków rejencja złożyła z urzędu. Po raz pierwszy wystąpili samodzielnie niemieccy katolicy, ale przepadli, zgromadziwszy na swoich kandydatów tylko 25 głosów, podczas gdy kandydatów polskich wybrano przeszło 300 głosami. Ks. Laskowski, wikary wrzesiński, otrzymał probostwo w Konarzewie, dobrach ks. Witolda Czartoryskiego.

W Środzie.

Znanego posła, ks. prałata Jażdżewskiego, wybrano, jak wiadomo, członkiem dozoru szkoły katolickiej w Środzie, po rozwiązaniu tegoż dozoru z powodu znanego konfliktu między nim a rejencją. Wyboru ks. prałata rejencja nie potwierdziła. Ale wskutek jego zażalenia, minister oświaty zniósł decyzję rejencji i nakazał wprowadzić prałata na urząd członka dozoru szkolnego. Rejencja nie mogła znieść, że ks. Jażdżewski, jako członek dozoru, oparł się wydzierżawieniu gruntów szkolnych niemcom po odebraniu ich dzierżawcom polskim.

Na Mazurach.

Wychodząca na Mazurach pruskich i drukowana czcionkami gotyckiemi polska „Gazeta Ludowa“ zachęca mazurów protestanckich do wytrwania w narodowości polskiej i daje dwie rady: 1) najprzód nie trzeba się zniemczyć; 2) nie trzeba się niszczyć więzieniami i karami pieniężnemi. Dalej pismo doradza mazurom, aby oprócz rzeczy religijnych czytali polskie dzieła świeckie. „Wiara, narodowość i oświata—to nasze hasło“—pisze „Gazeta Ludowa“ i dodaje: „My nie mamy urzędników, którzy na zawołanie według rozkazów naszych robią, co dla polskości potrzebne. My musimy sami wszystko robić“.

Na Szlązku.

Na Górnym Szlązku rozpoczęło żywot nowe pisemko dla obałamucania ludu. Pismo nosi tytuł „Mądrala“ i ma być „gazetką ucieszno i pouczająco“ wydawaną „w języku górnoszlązkim“. Niepodanie miejsca druku, brak podpisu redaktora i wydawcy, a przedewszystkiem objaśnienie, że jest to dodatek do pisma „Der Oberschlesier“, wymownie świadczy o celach wydawnictwa. Okoliczność, że w piśmie użyto gwary ludowej, nie pozostawia też żadnej wątpliwości, że redakcja „Mądrali“, wychwalająca mowę „górno-szlązką“, chce przeciwdziałać rozwijającej się coraz pomyślniej prasie polskiej na Szlązku.

W Westfalji.

W „Wiarusie Bochumskim“ czytamy: „Prosimy gazety nasze w kraju, oraz duchowieństwo, aby ostrzegali lud przed wyjazdem do Westfalji i Nadrenji, bo pracy nie znajdą w dzisiejszych czasach; zarobki są też teraz tak nizkie, że, kto może, wraca do kraju. Dużo robotników polskich, którzy przybyli w te strony, a nie znaleźli pracy, wracają do domu, żałując pieniędzy, wydanych na podróż i powrót, bo za nie byliby mogli spokojnie przepędzić zimę w kraju“.

Z ROZMÓW I WRAŻEŃ.

Co niemcy myślą?

Wracałem z Włoch.

Na którejś stacji między Weroną i Padwą, do zajmowanego przezemnie tylko przedziału kurjerskiego pociągu wsiadł jegomość w pewnym już wieku. Rozgościł się, dobył z kieszeni świeżo kupioną gazetę i jął czytać. Był to «Berliner Tageblatt». Gdy skończył, poprosiłem o dziennik. Odstąpił mi go uprzejmie, a po chwili, zawiązując oczywiście rozmowę, odezwał się po niemiecku:

— Niech co chcą piszą, a brak nam Bismarka! Bülow obstalował sobie u Hobrechta interpelację; połączył ją z interpelacją Jażdżewskiego, zmieszał groch z kapustą, sprawę rozmazał i ot, Europa ma się! czem bawić Nie tak począłby sobie Bismark. Bismark byłby się wszystkiego wyparł, nauczycielom we Wrześni dałby dymisję, sądby rozpędził na cztery wiatry, kobiety-by ułaskawił i—nasza opinja narodu kulturalnego nie ucierpiałaby nic! Dla germanizacji szukanoby innych, zdolniejszych ludzi... Tak, tak; obowiązkiem jest czasem poświęcić jednostki.

Towarzysz mój urwał w tem miejscu, wstał, uchylił grzecznie kapelusza i wymienił swoje nazwisko. Wymieniłem też moje.

— A!.. to pan może polak?

— Tak jest.

Niemiec zmienił natychmiast ton:—stał się w trójnasób uprzejmym.

— Choć nie cofnę, com powiedział — rzekł—ale niech mi pan wierzy na słowo, że my niemcy nie wszyscy jesteśmy za germanizacją—z zasady. Jeżeli jestem za nią, to, broń Boże! nie z nienawiści do polaków, ale—przez ostrożność.

— Przez ostrożność?

— Nie inaczej. Polacy zagrażają nam.

— Byłbym panu obowiązany za wytłómaczenie mi, czem zagrażać mogą polacy rządowi i państwu niemieckiemu? Nie więcej ich nad trzy miljony w obrębie Prus. Gdyby nawet—o czem nie myślę—zamarzyli o oderwaniu się od Prus, czyliż Niemcy nie mają trzymiljonowej armji? fabryki Krupa, wiercącej pół tysiąca armat rocznie? fabryki w Solingen, wykuwającej rocznie 50 tysięcy sztuk białej broni? stu fortec? olbrzymiej marynarki? A u polaków—ani jednego karabina! Wybaczy pan, ale wprost niezrozumiałem jest dla mnie hasło, rozlegające się dziś po Niemczech, przynajmniej po całej prasie niemieckiej: *ausrotten!*

— Zrozumie mnie pan—rzekł towarzysz mój, uśmiechnąwszy się lekko.—Wy, panowie polacy, nie dziś, to jutro dojdziecie do zgody z Rosją.

— A pan nie bierze pod uwagę umiejętności niemieckich mężów stanu godzenia interesów międzypaństwowych naszym kosztem?

— Tak to jest, niezawodnie. Ale—silniejszą niż dyplomacja, silniejszą niż sam nawet Bismark, jest konieczność dziejowa.

Zdziwiłem się, usłyszawszy z ust niemca, że może być coś wogóle silniejszego od pikelhauby, a cóż dopiero od samego Bismarka.

— Z Francją—ciągnął dalej mój towarzysz — rachunek nasz zamknięty. Niech ona zostawi nas tylko w spokoju, my gotowiśmy uczynić wszystko możliwe. Cesarz Wilhelm robi wszystko dla przywrócenia dobrych stosunków z Francją. Damy jej Marokko, damy jej pół Afryki, damy jej nawet Belgję i Luksemburg. Inna rzecz z Rosją. To ogień i woda: dwie rasy, dwie cywilizacje, dwa światy. Musi przyjść do starcia. To konieczność dziejowa. «*Drang nach Osten*» to nie pusty frazes. Gdy nam będzie za ciasno, dokądże my pociśniemy się, proszę ja pana? Dokądże mamy iść? Ruch ów, prowadzący do starcia, jakiego świat nie oglądał, może nastąpić, rozumie się, nieprędko. Ale cóż znaczy w przebiegu historji jakich 50 lat! Pan wie, czego nas uczy historja. Pan wie, że grecy poszli zdobywać Egipt i że zdobyli więcej niż kawał ziemi, bo zdobyli cywilizację egipską, którą przyswoili sobie. Pan wie, że rzymianie zdobyli Grecję wraz z cywilizacją grecką. Pan wie, że jednocześnie ze zniknięciem z widowni rzymian pojawili się na widowni galowie i germanie. Oto co działo się na olbrzymim gościńcu dziejów. Na gościńcu tym nie było jeszcze—słowian, a pojawić się na nim muszą oni, bo to konieczność dziejowa. To, co dzieje się w Czechach i w Poznańskiem, to tylko przygrywka, to ruch forpoczt, poprzedzający walkę olbrzymią, która rozegra się na tamtych, pogranicznych polach.

Milczałem. Towarzysz mój mówił dalej, nie zapalając się, dobitnie, niewątpliwie z głębi przekonania:

— Pan sądzi, że traf zdarzył, iż wojska nasze wracały z Chiu przez Trjest? Nie traf to zrządził ani kurtuazja względem Austrji. Potrzeba było pokazać narodowi niemieckiemu, kędy prowadzi najbliższa droga z Niemiec—do Śródziemnego morza. I dziś wyrostek każdy u nas marzy o Trjeście, bo w szkołach pokazują mu: tędy dziś prowadzi droga na morze Śródziemne, a tędy pójdzie wówczas, gdy Trjest do nas będzie należał. Widzi pan, że nietylko chodzi nam o ugruntowanie się na wschodnich kresach, ale i o wzmocnienie się—wszędzie.

— Wojna z Austrją?—wtrąciłem.

— Broń Boże! od czegoż układy? Tylko że czas przyjdzie na nie dopiero po zmianie w Austrji panującego. Damy Austrji: Saloniki, Serbję, damy nawet Konstantynopol, ale Trjest musimy mieć my, niemcy.

— I pan sądzi, że Rosja pozwoli tak gospodarować za Bałkanami?

— Widzi pan: samo to pytanie już jest w blizkim związku z tem, co mówiłem o konieczności dziejowej...

— Konsekwentnie zaś—rzekłem—powinien pan przypuszczać, że Rosja odegra wówczas rolę Rzymu wobec Grecji... A i Chinom powinien pan przyznać rolę «historyczną». Poczem już chyba koniec świata, lub pochód nowy, znów rozpoczynający się od Egiptu?

Towarzysz mój potrząsł ręką i głową.

— Nie, nie! Są rzeczy, których my, niemcy, nigdy nie przyznamy. A wie pan dlaczego? Bo my przygotowujemy się i obliczamy na lat pięćdziesiąt naprzód, czego nie czynili ani grecy, ani rzymianie.

Nie odpowiedziałem nic, bo nie chodziło mi o wyjawienie osobistych przekonań, jeno o dowiedzenie się, co myśli towarzysz mój, typ oczywiście niemca wykształconego i nieobojętnego dla spraw publicznych. Oto co myślał. Rozmowa nasza urwała się — dojeżdżaliśmy do Padwy.

Stach.

KOLONJE DLA OBŁĄKANYCH.

Rozmowa z d-rem Rychlińskim.

Spotkałem niedawno sekretarza Tow. opieki nad umysłowo chorymi w Warszawie, d-ra Rychlińskiego. Po wyrazie twarzy jego zawsze poznaję, jak stoją interesy Towarzystwa.

— Ma doktor coś przyjemnego do powiedzenia?

— Zgadł pan—odparł żywo.—Pamięta pan—Feliks Bobrowski w styczniu r. z. ofiarował nam 20-morgową kolonję «Karolin» w Otrębusach pod Brwinowem. Zastrzegł jednak, abyśmy najdalej w ciągu dwóch lat wznieśli na gruncie tym zakład dla chorych. Bardzo pięknie. Ale wobec zupełnego braku funduszów, obawialiśmy się, że rygoru tego wykonać nie będziemy mogli w tak krótkim czasie. I wyobraź pan sobie, że pan Bobrowski na posiedzeniu zarządu, którego sam jest członkiem, zgodził się na przedłużenie terminu do lat pięciu.

— Więc w ciągu lat pięciu zbierzecie potrzebną sumę?

— Ani na chwilę nie wątpimy o tem. Po pierwsze spodziewamy się stałej zapomogi od magistratu i od Rady miejskiej dobroczynności, co najmniej po 5 tys. rubli od każdej z tych instytucyj. Powtóre, wydział dochodów niestałych przy naszem Towarzystwie niebawem zajmie się organizacją odczytów i przedstawień, z których spodziewamy się także mieć zyski. Wydział ten ożywił się przez zaproszenie pań wpływowych i chcących coś dla nas zdziałać. A kobiety wszystko mogą...

— *A la bonne heure*... Jaki więc zakład myślicie zbudować w Karolinie?

— Projektujemy kolonję z czterema oddziałami: dla rekonwalescentów, dla

chorych, którzy odrazu kwalifikują się do kolonji, dla alkoholików i dla morfinistów. Karolin graniczy z lasami młockowskiemi, tuż obok Brwinowa. Miejscowość jakby stworzona dla tego rodzaju kolonji. Nadto zabieramy się do Drewnicy, którą mamy nabyć od zarządu schroniska Mikołajewskiego dla żołnierskich dzieci. Rokowania są na dobrej drodze. Zarząd ów zgodził się sprzedać nam dwa wielkie pawilony na 160 chorych i różne zabudowania gospodarskie wraz z oparkanieniem za 15 tys. rb. Chodzi tylko o to, czy ministerstwo dóbr państwa pozwoli nam korzystać z pięciomorgowej przestrzeni ornego gruntu, przylegającego do dóbr Radziwiłłowskich, na tych samych warunkach, co i zarządowi schroniska Mikołajewskiego, t. j. bezpłatnie. Zarząd schroniska postawił dla nas warunki bardzo przystępne: 3 tys. rb. mamy wypłacić przy podpisaniu kontraktu, resztę zaś, t. j. 12 tys. rb. będziemy mogli spłacać ratami w ciągu lat 15.

— Na co wam potrzebna drewnicka kolonja?

— Będzie to—uważa pan — kolonja dla spokojnych chorych przewlekłych, nie wymagających leczenia w szpitalach. Urządzimy tam dla nich warsztaty introligatorskie, koszykarskie, tkackie i plecenia słomianek. Niech pracują! Mamy w tem cel podwójny: zająć chorych odpowiednią dla nich pracą i przysporzyć środków zarządowi kolonji, tak, aby chorzy mogli zarobić przynajmniej w trzeciej części na swe utrzymanie. Obecnie chorzy tacy zajmują się pracą w szpitalach tylko dorywczo. W szpitalu Jana Bożego kilku wyrabia różańce, pantofle wojłokowe i chodniki. Materjału dostarcza jedna z dzielnych sióstr miłosierdzia, zbierająca u krawców niepotrzebne im krajki. Postaramy się wyjednać zmianę ustawy tak, abyśmy mogli chorych zamożniejszych przyjmować do Drewnicy i pobierać od nich opłatę.

— Mój panie—rzekłem do d-ra Rychlińskiego—a co też porabia ta masa chorych umysłowo, która nie dostaje się do szpitala wcale? Zwłaszcza ubogich?

— Zajęliśmy się organizacją opiek okręgowych. W tym celu np. Warszawę podzieliliśmy na 6 okręgów opiekuńczych, i w każdym z nich ustanowiliśmy opiekunki i lekarzy. Opiekunki mają udzielać doraźnych zapomóg i starać się o umieszczenie chorych w szpitalu, schronisku lub na czyjej opiece; lekarze mają kwalifikować do szpitali chorych, albo leczyć przychodniów w ambulatorjach.

— A środki na doraźną pomoc?—zagadnąłem.

— Z rocznych wkładek członków Towarzystwa.

— A wieluż ich macie?

Tu dr. Rychliński uroczyście wyliczył mi: 250 członków rzeczywistych z opłatą po 5 rb. rocznie, 11 wieczystych po 100 rb., jednego członka z opłatą wieczystą 1,000 rb., i kilku zwyczajnych z opłatą od 1 do 3 rubli rocznie.

— Ależ to okropnie mało! — zawołałem—Wszak w Królestwie chorych umysłowo bez liku!

— To też po odłożeniu 2,500 rb., które chowamy w banku, jako początek kapitału zakładowego dla urzeczywistnienia naszych szerszych projektów, pozostało nam w kasie zaledwie kilkanaście rubli...

Dr. Rychliński spoważniał i dodał:

— Niema pan wyobrażenia, jakich dramatów bywamy nieraz świadkami. Patrzymy na rodziny, które zaledwie na kęs chleba zarobić mogą, a jednak opiekować się muszą obłąkanym ojcem, bratem lub synem. Czekają lata całe na miejsce w szpitalu... a pomocy znikąd. Powiadam panu: straszne rzeczy!

— Mój doktorze — zapytałem go zamyślony—a gdyby ktokolwiek chciał zapisać się na członka waszego Towarzystwa, albo wnieść ofiarę, czy mogę go do pana skierować?

— Bardzo pana o to proszę: Żórawia 16.

Warszawa. *Testis.*

ECHA ZACHODNIE.

KURYTYBA (Brazylja), w grudniu.

[Szkolnictwo polskie w Brazylji].

△ W życiu rodaków naszych, w Paranie zamieszkałych, mało jest objawów głębszego znaczenia, które mogłyby szeroki nasz ogół zainteresować. Ale od czasu do czasu ujawnia się fakt jakiś, zasługujący na zaznaczenie.

W sprawie dla nas niesłychanie ważnej, a zupełnie, ogólnie biorąc, zaniedbanej w Paranie, mianowicie w sprawie szkolnictwa polskiego, mamy dziś do zanotowania pracę uczciwą, obraz wytrwałości i dobrych chęci człowieka skromnego, który powiedział sobie: bez szkoły zdziczejemy—szkoła być musi. Stworzył więc szkołę, utrzymuje ją i prowadzi. Mówimy o szkole polskiej, założonej przez ks. Wróbla na kolonji «Agua Branca». Kolonja ta liczy 120 rodzin zaledwie, a za naukę rodzice nie płacą wcale. Założona przed paru laty, szkoła ks. Wróbla dzieli się na dwa oddziały. Kurs nauk jest sześcioletni, z dwumiesięczną przerwą co rok na wakacje. Dzieci do szkoły uczęszczają w wieku od lat 6 do 13. W oddziale przygotowawczym lekcji udziela nauczyciel, przez ks. Wróbla z Europy sprowadzony. Dziatwy płci obojga uczy się w tym oddziale 35. Wykłady trwają przez dwadzieścia godzin tygodniowo dla chłopców i siedmnaście dla dziewcząt. Godziny nauk rozłożone są na pięć dni, gdyż sobota w obu oddziałach wolną jest zupełnie od wykładów. W oddziale wyższym, liczącym 80 dziatwy, wykłada osobiście ks. Wróbel. Tak chłopcy, jak i dziewczęta mają 15 godzin tygodniowo, przyczem dziewczęta uczą się od godz. 9 rano do 12, a chłopcy od 12 do 3. W obu oddziałach wykładane są: katechizm, historja św., język polski i portugalski, rachunki, geografja, historja powszechna, naturalna i śpiew. Szkołę zaopatrzył fundator w mapy, globusy i t. d.

Szkół polskich mamy sporo; tu i owdzie słyszymy o założeniu szkółki, ale otwierane są one z dobrej woli po to, aby za miesiąc lub parę zamknąć swoje podwoje. Szkoła ks. Wróbla stanowi pod tym względem wyjątek.

W tutejszem seminarjum biskupiem ukończone zostały niedawno egzamina roczne. Alumni-polacy, których jest tu pięciu, oprócz innych przedmiotów, składali także egzamina z języka polskiego ustne i pisemne, jak również z historji polskiej; w nagrodę z polskiego otrzymali piękne książki polskie: Franciszek Sielski nagrodę pierwszą, a po nim Józef Noch i Ludwik Woźniak. Z innych przedmiotów polacy złożyli egzamina też z odznaczeniem.

Ż.

BERLIN, 8 lutego.

[Bilans demonstracyj przeciw Schiemannowi. Skutki prześladowania. Koncert. Zgromadzenie niemieckich dziennikarzy katolickich].

△ Schiemann, ów «nadzwyczajny» profesor berliński, awansował. Rząd uznał, iż uciśnionej w osobie tego kurlandczyka niemczyźnie należała się nagroda. Nadzwyczajną katedrę historji wschodnio-europejskiej zamieniono na etatową i zwyczajną, i powierzono ją zasłużonemu hakatyście.

Nawet pismom, tak nieprzyjaźnie usposobionym względem polaków, jak «Berl. Tageblatt», nominacja ta nie przypadła do smaku. Przyznają, iż w sprawie tej przeważną rolę grała polityka. I szowinistów niemieckich musi niepokoić fakt, iż coraz częściej w państwie bojaźni Bożej interesy nauki podporządkowane bywają względom politycznym lub wyznaniowym. Jest to zejście na pochyłość, po której spadek, i to coraz szybszy, niechybnie musi nastąpić.

Schiemann, wespół z Zornem, a poniekąd i Spahnem, jest przedstawicielem tej czarno-biało-lojalnej nauki. Łaski i zaszczyty, jakie na nich spadają, rozniecą niechybnie apetyt w żołądkach innych karjerowiczów podobnego pokroju. A wraz nauce niemieckiej i uniwersytetom, którymi ziomkowie Kanta i Fichtego słusznie mogli się chlubić, grozi ciasny bizantynizm i dekadencja.

Równocześnie z tą nominacją ogłoszony został nowy wyrok berlińskiego senatu akademickiego w sprawie znanych demonstracyj przeciw Schiemannowi. Jeszcze dwóch studentów-polaków, poddanych pruskich, zostało z tutejszego uniwersytetu usuniętych; jeszcze trzech studentów-polaków, obcych poddanych, zostało wydalonych z granic państwa pruskiego. Można zatem obecnie złożyć bilans owych demonstracyj, któremi młodzież polska wyraziła swe oburzenie «nadzwyczajnemu» profesorowi: ogółem dziesięciu studentów polaków zostało wydalonych już to z uniwersytetu, już z Prus; Schiemann otrzymał nieoczekiwany awans. Czyż taki rezultat nie powinien być dla naszej młodzieży nauką na przyszłość?

Tembardziej, że łaska, doznana od rządu, zachęci z pewnością innych tego rodzaju karjerowiczów do szukania sposobności, ażeby wyrazić nią swą nienawiść względem narodowości polskiej. Manifestowanie tej nienawiści okazuje się procederem bardzo intratnym. Trudno przypuszczać, aby miało zbraknąć amatorów.

Jaki prąd powiał w tutejszych sferach uniwersyteckich pouczyć może przykład następujący. Pewien młody polak, poddany pruski, otrzymywał od paru lat stypendjum rządowe w kwocie 800 marek. Teraz objaśniono go, iż nadal zapomoga została mu cofniętą, ponieważ *ojciec jego jest polakiem.*

W ten sposób władze pruskie dokumentują równość wobec prawa, jaką wszystkim obywatelom, bez różnicy pochodzenia i religji, zastrzega konstytucja pruska. Przytoczony przezemnie wypadek miał wszakże chorakterystyczny skutek. Ów młodzieniec, kształcąc się od dłuższego czasu w Berlinie—wdzięczny władzom za udzielane mu stypendjum—garnął się bardzo gorąco do współobywateli niemieckich,—tak gorąco, iż jego krewni poczęli się już obawiać, by w przyszłości, po śmierci ojca, swej końcówki «cki» nie zamienił na bardziej lojalną «tzky». Decyzja zwierzchności uniwersyteckiej dokonała w nim nagle zmiany. Przestał chodzić do niemieckich stowarzyszeń i wrócił do polskich. Jego uczucia względem niemczyzny uległy radykalnemu przeobrażeniu. Niesprawiedliwe postąpienie władzy poruszyło w nim do żywa te struny, które rozczyn niemiecki poczynał już przegryzać. Oto skutek prześladowań.

Skoro mówię o młodzieży uniwersyteckiej, wspomnieć muszę o pięknym koncercie, który wczoraj urządziło tutejsze Towarzystwo naukowe polaków na cel dobroczynny. W obszernej sali Kellera zebrała się spora garść publiczności, niemal wyłącznie należącej do kół miejscowej inteligencji polskiej. W pierwszej części programu brali udział: p. Hela Karenówna, obdarzona miłym głosem sopranowym, p. Wacław Piotrowski, utalentowany skrzypek i p. Michał Zadora, młody pianista, którego pamiętam jeszcze z występów w Paryżu,—który atoli od tego czasu istotnie nader znaczne uczynił postępy. Młodzieniec to jeszcze — liczy bowiem zaledwie dziewiętnaście lat — ale rozporządza już techniką niezwykłą i traktuje sztukę poważnie i głęboko. W drugiej części programu kółko amatorów, pod umiejętnem przewodnictwem p. Piotrowskiego, nader udatnie wykonało «Bojomira i Wandę», starą operę Karola Kurpińskiego. Sam fakt, iż amatorzy mogli się podjąć tak trudnego zadania, chlubnie świadczy o muzykalności naszej kolonji.

W ubiegłym tygodniu, na zwykłe miesięczne posiedzenie stowarzyszenia niemieckich dziennikarzy katolickich zaproszono również kilku przedstawicieli prasy polskiej. W zebraniu uczestniczyło wielu wybitnych posłów centrowych. W dyskusji poruszoną została i kwestja polska; zabierał w niej głos i był bardzo pilnie słuchany p. Franciszek Morawski, naczelny redaktor «Kurjera Poznańskiego», który umyślnie przybył z Poznania na to zgromadzenie.

O uszy moje niejednokrotnie obijały się skargi członków centrum, iż polacy są dla nich sojusznikiem miłym i sympatycznym, ale zbyt mały udział biorącym w ich pracach i trudach. Na gruncie wspólnej pracy i użyteczności przymierze niewątpliwie nabrałoby mocy. Poznając się bliżej, można się wzajemnie lepiej ocenić. Działalność parlamentarna nie polega tylko na wypowiadaniu od czasu do czasu płomiennych mów, lecz na regularnej, wytrwałej i owocnej pracy w komisjach. Z tego względu udział p. Morawskiego w owem zebraniu niemieckich dziennikarzy katolickich bardzo korzystne wywarł w tych sferach wrażenie, stanowi bowiem poniekąd dowód, iż młodsza generacja wielkopolska zdaje sobie sprawę z tych braków i chce pracować nad ich usunięciem.

Gordon.

POZNAŃ, 8 lutego.

[Kółka rolnicze w W. Ks. Poznańskiem. Proces pani Brejskiej].

△ Na walnem zebraniu centralnego Tow. rolniczego, które się odbyło w ubiegłym tygodniu w Poznaniu, p. Józef Chłapowski, patron «kółek rolniczych», zdał sprawę z ich działalności w roku minionym. Kilka cyfr, wyjętych ze sprawozdania, rzuca jasne światło na tę instytucję, która w nieoceniony sposób przyczyniła się do podniesienia kultury wśród włościan poznańskich i która, dla swej wzorowej organizacji, słusznie może być poczytywaną za chlubę społeczności wielkopolskiej.

Zeszłego lata liczba «kółek» wynosiła 215; obecnie istnieje ich 330, lubo niektóre, w najnowszych czasach powstałe, nie zaczęły jeszcze funkcjonować. Czynnych było w roku sprawozdawczym 230 «kółek» z ogólną liczbą *ośmiu tysięcy* członków. Walnych zebrań powiatowych odbyło się 22 z ogólną liczbą uczestników 4 tys. Przecięciowo bywało na zebraniach po 200 członków.

Zebrań miesięcznych odbyły «kółka» w tym roku 1,800. Jeżeli policzymy, iż na każdem posiedzeniu omawiano przynajmniej trzy sprawy gospodarskie, to przyjdziemy do ogólnej sumy, razem z walnemi zebraniami, *5,466* referatów. 48 odczytów wygłosił p. Sulerzyski, prelegent, wydelegowany specjalnie w tym celu przez Izbę rolniczą.

Majątku swego «kółka» posiadają tylko 9 tys. m., od których odsetki w kwocie 450 m. przeznaczone są na premjowanie wystaw rolniczych. Tego roku, z powodu nieurodzaju, odbyły się tylko dwie podobne wystawy: w Michorzewie i w Poniecu.

Wogóle w pracach «kółek» brali żywy i czynny udział zarówno włościanie, jak inteligencja obywatelska, chętnie służąc radą i przestrogami młodszej braci. Uprawa roli jest we wszystkich miejscowościach, objętych «kółkami», zupełnie racjonalna i poprawna. Dobór zboża do siewu bardzo staranny. «Kółka» sprowadzają wspólnie nowe gatunki zboża i ulepszone gatunki kartoffli, o ile okoliczne dominja nie są w stanie ich dostarczyć. Niema «kółka», w którem nie posiadanoby udoskonalonych siewników.

Używanie sztucznych nawozów stało się prawie ogólnem: We wszystkich «kółkach» gospodarze, pojedyńczo lub wspólnie, sprowadzają znaczne ilości saletry, kainitu, superfosfatu i tomaszówki. Razem sprowadzono sztucznych nawozów około 125 tys. centn.

Rozwój «kółek rolniczych», to jedna z najjaśniejszych kart w dziejach cywilizacyjnej i ekonomicznej pracy społeczności wielkopolskiej.

Gdy tak pracujemy nad swym dobrobytem, władze pruskie prowadzą wciąż politykę kłócia szpilkami. Wytoczyły one proces pani Marji Brejskiej, żonie redaktora «Gazety Toruńskiej». Oskarżono ją o przestępstwo, przewidziane artykułem 130 kodeksu karnego, który głosi: «kto w sposób, zagrażający spokojowi publicznemu, pobudza jedną warstwę ludności do gwałtów przeciw drugiej, ma być karany grzywną do wysokości 600 marek lub więzieniem do dwóch lat». Na czemże polega występek pani Brejskiej, przeciw której wymierzoną została tak ostra artylerja? Zbrodnia jest rzeczywiście przerażająca. Pióro wzdraga się, by wypowiedzieć jej ohydę. Pani Brejska jest właścicielką księgarni polskiej w Bochum, a księgarnia ta wydała przed kilku laty, obok książek do nabożeństwa, kantyczek i t. d., także «śpiewnik polski», w którym znalazły się znane powszechnie pieśni polskie!... Z powodu tego «śpiewnika» prokuratorja pruska ściga, obok pani Brejskiej, również jej męża, redaktora «Gaz. Tor.», oraz p. Antoniego Brejskiego, redaktora «Wiarusa Polskiego». Nie należy wątpić na chwilę, iż sąd okaże się powolnem narzędziem w rękach prokuratorji.

Bart.

△ **Lwów.** W lwowskim świecie dziennikarskim zaszedł fakt, o którym warszawski „Kur. Polski“ opowiada, co następuje: „Na bruku warszawskim ukazywał się od czasu do czasu niejaki Fryling, reporter ze Lwowa i podobno korespondent jednego z dzienników warszawskich. Pan ten udawał tu bardzo godną osobę, wtrącał się bezecnie do miejscowych waśni, aby je podsycać niecnym językiem i intrygą. Był zawsze gorliwym rozmazywaczem wszelkich brudów, plotek, potwarzy warszawskich we Lwowie, a lwowskich w Warszawie. Zawsze jednak dzban do czasu tylko wodę nosi. I tu się ucho urwało. Pan ten, który innych tak chętnie sądził, został dotkliwie napiętnowany przez kolegów. „Na posiedzeniu rady miejskiej we Lwowie—pisze „Dziennik Polski“—sprawozdawcy wszystkich gazet zażądali od prezydjum miasta, ażeby dano im osobny stół, albowiem przy wspólnym stole z p. Frylingiem zasiadać nie będą. Kancelarja prezydjalna zarządziła przeto ustawienie drugiego stołu dla sprawozdawców, przy którym zasiedli referenci wszystkich pism codziennych, pozostawiając p. Frylinga samego przy dawnym stoliku“.

△ **Kraków.** Założony niedawno dziennik, „Nasz Głos“, przestał wychodzić. Historja jego powstania jest taka: Od kilku lat istnieje w Krakowie dziennik „Głos Narodu“, redagowany z początku przez p. Ehrenberga, a stanowiący własność wdowy po ś. p. Józefie Rogoszu. Byt jego był zapewnionym. P. Ehrenberg drukował wówczas 5 tys. egzemplarzy swego „Głosu Narodu“ i trząsł miastem, a przynajmniej sferami małointeligentnemi. „Nareszcie skończyła się—pisze „Słowo Polskie“ — nie cierpilwość naszego ogółu, ta zdaje się być bezgraniczna, ale skala środków, jakiemi p. Ehrenberg mógł się posługiwać. Tak długo karmił czytelników opowieściami o morderstwach rytualnych, smażeniu dzieci w kotłach, zbrodniach socjalistów i liberałów, że jakby najpieprzniejszemi potrawami czytelnikom poparzył podniebienia. To też, gdy w spekulacji na własny organ przed czterema miesiącami zwrócił p. Rogoszowej firmę „Głosu Narodu“, a sam zaczął dotychczasowym prenumeratorom nagle nasyłać „Nasz Głos“, ci masami przerzucili się do dawnego „Głosu Narodu“, redagowanego obecnie przez d-ra Beaupré. Prędko fundusze „Naszego Głosu“ się wyczerpały, a gdy liczba prenumeratorów zupełnie zmalała, p. Ehrenberg poszedł do Canossy, t. j. zawiesił „Nasz Głos“ i odstąpił swoich prenumeratorów pani Rogoszowej z powrotem. „Głos Narodu“ jest znowu bez rywali.

△ **Ruś halicka.** We Lwowie w sali „Narodnej Torhowli“ odbyło się zebranie w sprawie założenia osobnego ruskiego banku parcelacyjnego. Zebranie, pod przewodnictwem radcy sądowego p. Rewakowicza, uchwaliło narazie rozszerzyć działalność Towarzystwa „Sojuz kredytowyj“, a tymczasem starać się

o fundusze na przyszły bank parcelacyjny. Zrazu chciano na ten cel zaciągnąć pożyczkę w galicyjskim banku krajowym, ale członek rady nadzorczej tego banku, dr. Fedak, przedstawił trudność tej pożyczki, ponieważ „Diło“ publicznie oświadczyło, że ruski bank parcelacyjny zakłada się po to, „aby skupić ziemie polskie w Galicji wschodniej, a polaków wypędzić“. Istnieje projekt założenia ruskiego banku za fundusze wdów i sierot po księżach trzech djecezyj grecko-katolickich, ulokowane w Tow. kredytowem ziemskiem; ale niewiadomo, czy władze zgodzą się na to, bo ruski bank parcelacyjny nie może zagwarantować całości tych wdowich funduszów.

△ **Członek** Wydziału krajowego, rusin dr. Sawczak, który podczas ostatnich wyborów nie został obrany na posła sejmowego, ustąpił ze stanowiska członka Wydziału i wrócił do sądownictwa. Starania d-ra Sawczaka, aby namówić któregoś z posłów do zrzeczenia się mandatu na jego korzyść i umożliwić mu znowu wejście do Wydziału krajowego—spełzły na niczem.

△ **Rusini** organizują wyprawę dla ratowania braci zamorskich, osiadłych w Paranie. Drogą składek publicznych zebrano fundusze na zakupno drukarni, a oprócz tego mają zamiar wysłać kilku nauczycieli i drukarzy, którzy mieliby się zająć organizacją ruskich emigrantów, redagować dla nich popularną gazetkę i dbać o ich potrzeby religijne. Ekspedycja wyruszy w drogę prawdopodobnie na wiosnę.

△ **Wiedeń.** Dzienniki lwowskie donoszą o grzeczności, którą rząd austrjacki wyświadczył niemieckiemu. Gdy bowiem polskie firmy przemysłowe i kupieckie w Galicji zaczęły stale odsyłać cenniki, nadsyłane im przez firmy niemieckie, rząd niemiecki chcąc zapobiedz ogólnemu zaniepokojeniu, zwrócił się z prośbą do rządu austrjackiego, ażeby listy nieprzyjęte nakazał niszczyć, bez zwracania ich wysyłającym. Rząd austrjacki zgodził się na to; austrjackie ministerstwo spraw zagranicznych wywarło nacisk na ministra handlu, który wydał pocztom austrjackim rozkaz, w którego myśl wszystkie niemieckie listy nieprzyjęte, zwracane są do lwowskiej dyrekcji poczt, i tam ulegają zniszczeniu. Dzienniki polskie nadmieniają, że takie postępowanie nie jest zgodne z przepisami pocztowemi. Ale Wiedeń widocznie wiele rzeczy może zrobić *„pour le roi de Prusse“*.

△ **Berlin.** Polskie Koło sejmowe, z okazji ośmdziesięcioletnich urodzin czcigodnego swego prezesa, d-ra Henryka Szumana, wyprawiło d. 5 lutego na cześć jubilata obiad w restauracji hotelu „Monopol“. W uczcie brali udział wyłącznie członkowie sejmu, oraz ks. Sułkowski, ordynat na Rydzynie, członek Izby panów. Zasługi d-ra Szumana, który przeszło 40 lat zasiada w sejmie, podnosili kolejno w ozdobnych toastach ks. dr. Jażdżewski, p. Czarliński i szambelan Cegielski. Ten ostatni przywiózł równocześnie, jubilatowi błogosławieństwo ks. arcybiskupa Stablewskiego. Potem przemawiali jeszcze ks. Neubauer, książe Sułkowski i p. Głębocki. W ciągu dnia liczne owacje spotkały zacnego weterana parlamentaryzmu w sejmie pruskim; w czasie posiadzenia, życzenia złożyło mu całe biuro sejmowe, z marszałkiem Kroccherem na czele, i przedstawiciele różnych stronnictw.

Z KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Z NAD WISŁY, 10 lutego.

[Bojkot towarów niemieckich, czy popieranie rozwoju przemysłu miejscowego? Referat p. A. Donimirskiego w sekcji handlowej. Powinność podwodowa w Królestwie Polskiem].

+ W prasie warszawskiej i w całem społeczeństwie już od dłuższego czasu dają się słyszeć nawoływania do wyzwolenia się od zależności handlowoj od niemców. Niestety, głosy te zdradzają zwykle więcej dobrych chęci, niż prawdziwej znajomości rzeczy i stosunków, bez której każda akcja społeczna skazaną jest z góry na niepowodzenie. Tradycyjne «kiwanie palcem w bucie» nie wyzwoli nas z pod przewagi przemysłu niemieckiego. Oprócz tego chorujemy na brak wytrwałości i pod wielu względami przypominamy owego Sienkiewiczowskiego opata z «Krzyżaków», co to przy lada sposobności gotów jest «nakląć całą izbę», napomstować, nawrzeszczeć, a nawet wygrzmocić, kto mu w drogę wlezie, aby wnet potem uspokoić się i—ustąpić.

Dziś niemcy są największymi dostawcami zagranicznymi dla Rosji, a gdyby obliczyć osobno wywóz towarów niemieckich do Królestwa Polskiego, okazałoby się, że w zaopatrzeniu konsumpcji w Królestwie, Niemcy w stosunku procentowym większy mają udział, niż w imporcie do całego państwa.

Jest to fakt, z którym trzeba się liczyć. Nie zmienią go ani najbardziej płomienne artykuły dziennikarskie, ani urządzane naprędce ankiety gazeciarskie. Składa się nań cały szereg przyczyn, przedewszystkiem—blizkie sąsiedztwo Niemiec, ruchliwość firm niemieckich i zamiłowanie naszej publiczności do taudety. Tę ostatnią okoliczność stwierdzają raporty konsulatu angielskiego w Warszawie. Anglicy, których dewizą jest «drogo, ale dobrze», nie wierzą w możliwość zawarcia stosunków handlowych z nami, którzy poszukujemy przedewszystkiem towarów zagranicznych lecz tanich, bez względu na dobroć towaru.

Wygrażanie niemcom nic tu nie pomoże. Gusta publiczności zmieniają się nie w ciągu jednego roku. Granica niemiecka nie odsunie się na zachód. Natomiast przemysłowcy niemieccy wezmą się z pewnością do nas jeszcze z większą energją i ułatwią naszym kupcom kredyt. Na co się zda wówczas dzisiejsze wygrażanie?

Więc nie może być mowy o tem, abyśmy pod świeżym wpływem oburzenia na knowania hakatystów w Poznańskiem, zdołali zrzucić z siebie ciężkie jarzmo zależności handlowej od niemców. Możemy do tego dążyć stopniowo, pracując nad możliwem ograniczeniem importu z zagranicy i starając się wyzyskać położenie w interesie przemysłu krajowego.

Z tego punktu widzenia podniósł aktualną kwestję stosunków handlowych z niemcami p. Antoni Donimirski w odczycie swym, wygłoszonym na jednem z ostatnich posiedzeń sekcji handlowej. Był to niewątpliwie pierwszy głos rozwagi w ogólnym chaosie projektów, po większej części paradoksalnych, jeżeli nie wprost śmiesznych, z jakiemi tak obficie wystąpiła w ostatnich czasach prasa warszawska.

P. Donimirski jest bezwątpienia jednym z najgruntowniejszych znawców stosunków ekonomicznych w Królestwie. Łącząc głęboką wiedzę fachową z powagą i spokojem wytrawnego publicysty, w wystąpieniach swoich nie ulega nigdy naciskowi opinji publicznej, owszem, stara się zawsze nią kierować. Zalety te zjednały mu powszechne uznanie w naszem dziennikarstwie.

W odczycie swym, wygłoszonym z niepospolitą znajomością rzeczy, wskazał p. Donimirski przyczyny, dzięki którym o zupełnem wyparciu towarów niemieckich z naszych rynków mowy być dzisiaj nie może. Stwierdziwszy ten fakt, przeszedł prelegent do kwestji możliwego ograniczenia importu cudzoziemskiego na korzyść przemysłu krajowego. Przemysł nasz niewątpliwie pod wielu względami ustępuje przemysłowi zagranicznemu, ale dużo warunków jego rozwoju zmieniło się ostatniemi czasy na lepsze, a z teraźniejszego położenia rzeczy należy skorzystać, aby go pchnąć na lepsze tory.

Wobec prawdopodobnych zmian w taryfie celnej, towar zagraniczny stanie się droższy. Doda to niewątpliwie bodźca przemysłowi krajowemu. Jesteśmy wprawdzie społeczeństwem ubogiem, ale bądź co bądź znajdują się u nas kapitały, garnące się do przedsiębiorstw. Chodzi tylko o wskazanie odpowiedniej lokacji i warunków powodzenia przez grono kompetentnych osób. Gronem takiem mogłoby zostać—zdaniem prelegenta—Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, gdyby zgodziło się na powołanie ze swego łona specjanych delegacyj fachowych dla obmyślenia odpowiednich środków.

Innemi słowy: p. D. zaproponował zwołanie przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu specjalnej ankiety, złożonej z fachowców. Ankieta ta powinna się zająć następującemi kwestjami:

1) na mocy statystyki i wykazów celnych i kolejowych stwierdzić zagraniczny import towarów;

2) zbadać, jakie z przedmiotów importowanych z zagranicy, wyrabiają się w kraju; czy i dlaczego wyrób ich jest niedostateczny, tak że okazuje się jeszcze potrzeba sprowadzania ich z zagranicy;

3) co czynić, aby produkcję nową wytworzyć, czy też już istniejącą rozwinąć i uzupełnić, udoskonalić i do gustu publiczności zastosować?

Zadanie to niewątpliwie obszerne, ale może ankieta taka doprowadzi nas przynajmniej do poznania tego, co u siebie mamy i czego nam trzeba. Czas wreszcie, abyśmy przynajmniej w dziedzinie ekonomicznej wyszli z dawnego zwyczaju obliczania sił na zamiary.

Trzeźwy, poważny, fachowy głos p. Donimirskiego nie przebrzmiał bez skutku, bo w łonie Towarzystwa popierania przemysłu i handlu myśl zwołania takiej ankiety znajduje coraz więcej zwolenników. Praca ankiety będzie olbrzymią, bo brak nam wszelkiego materjału, niemniej jednak sekcja handlowa podjęła już inicjatywę w myśl projektu p. D., któremu należy się prawdziwa wdzięczność za podniesienie tej tak pożytecznej i ważnej dla naszego kraju sprawy.

«Warsz. Dniewnik» poruszył ważną sprawę t. zw. powinności podwodowej, t. j. obowiązku dostarczania furmanek przez właścicieli ziemskich i włościan. Autor artykułu oblicza, że, po potrąceniu indemnizacji, wypłacanej po 2 kop. za wiorstę, mieszkańcy Królestwa Polskiego tracą conajmniej 250 tys. rubli rocznie. Naczelnicy wojskowi, zdaniem autora, nadużywają prawa żądania podwód, opłata zaś jest daleko mniejszą niż w Cesarstwie, natomiast ciężar znacznie cięższy wobec znacznej liczby wojsk, konsystujących w Królestwie. Wreszcie autor proponuje zupełne zniesienie powinności podwodowej i zastąpienie jej stałym podatkiem.

B.

WARSZAWA, 10 lutego.

[Uciechy karnawałowe. Bale i maskarady. Cyrk amatorski na «nieuleczalnych». Nowe Towarzystwa].

+ Nie należy dnia chwalić przed zachodem; a karnawału ganić przed Popielcem. Tegoroczne zapusty zapowiadały się z początku bardzo ospale, zdawało się, że dolecą zaledwie do swego blizkiego kresu i klapną na progu Wielkiego postu, nie żałowane przez nikogo, tymczasem stało się inaczej. Warszawa się rozbawiła nagle, jakby nie chciała zadawać kłamu tradycji, że u nas: «choć bieda, to hoc!...» Mieliśmy tu kilka balów świetnych, hulaszczych, jak za najlepszych czasów, na których po kilkaset osób zapełniało sale i prawie do świtu wirowało przy dźwiękach walców i polek.

Nadzwyczajną sensacją jednak był poniedziałkowy bal secesyjny w Dolinie Szwajcarskiej, zamienionej z wielkim smakiem i pomysłowością w jakiś pałac Chimery, pełen egzotycznych roślin, fantastycznych kwiatów, wypchanych zwierząt, rojący się tłumem uroczych tancerek i tancerzy w malowniczych kostjumach. Warszawa, gdy się rozhula, to wiruje, niby bąk na sznurku.

Obowiązuje ją tradycja szalonych zapust polskich; dla tej tradycji utrzymują się maskarady, z których tylko jedna, dawniej «ta trzecia», od pewnego czasu «ta czwarta» zapełnia sale redutowe. Przyjdzie do trzech tysięcy osób, depcze sobie po nogach, ciśnie w tłoku, nagniecie się, napoci, znudzi i rozejdzie do domów, przyrzekając sobie nie przyjść już nigdy więcej na warszawską maskaradę, chyba aż... za rok.

⁂ Dla kontrastu intryga oddawna już z sal redutowych przeniosła się na bruk miejski, i bez maski przez całych dwanaście miesięcy broi i płata figle niewinnym ludziom; zato na maskaradach przy świetle elektrycznych słońc nawet znaleźć jej niepodobna.

Inną sensacją w swoim rodzaju, zupełnie nową i u nas nieznaną, był cyrk amatorski, urządzony przez grono osób «z towarzystwa», na korzyść godnego wsparcia i pomocy przytułku dla nieuleczalnych; z początku miały w popisach wyższej jazdy konnej i w pantominie przyjąć udział i damy, ale gdy ten pomysł wydał się za jaskrawym pewnej części opinji publicznej, zaniechano tego projektu, i tylko sami mężczyźni wypełnili program przedstawienia.

W ostatnich czasach przybyły nam znowu dwa towarzystwa, mające bardzo ważne zadania przed sobą, a szerokie pole otworem do pożytecznej działalności społecznej; pierwsze, to Towarzystwo ochrony kobiet, założone z inicjatywy i staraniem Gustawa hr. Łubieńskiego i d-ra Józefa Zawadzkiego. Członkami jego mogą być tylko osoby chrześcjańskich wyznań, ale Towarzystwo samo nie uchyla się od opieki nad kobietami innej wiary i religji. Drugie, to Towarzystwo kobiet fizycznie pracujących, które ma prawo założenia kasy pożyczkowo-wkładowej i zapomogowej dla swoich członków, potrzebujących pomocy i wsparcia. Szwaczki, kwiaciarki, magazynierki, telefonistki, krawczynie, modystki i t. p. pozyskały wreszcie oddawna upragnioną instytucję samopomocy, która tym wszystkim nieszczęsnym «niewolnicom igły» i helotkom rozmaitych pracowni, warsztatów i zakładów fabrycznych daje możność poprawienia i zabezpieczenia swojego losu na wypadek choroby, nieszczęścia, starości i niezdolności do pracy na chleb powszedni.

Warszawa takich biednych istot, przykutych do taczki życia z dnia na dzień, bez pewności lepszego jutra, posiada dziesiątki tysięcy. Chodzi teraz o to, aby te rozproszone jednostki skupiły się we własnym interesie, skorzystały z okazji utworzenia wspólnego ogniska, nauczyły się radzić o poprawieniu własnej doli, solidarnie wzięły się za ręce, jak siostry, i na gruncie bardzo szerokiej ustawy, małym kosztem miesięcznej składki uzbierały fundusz i środki potrzebne do celów Towarzystwa.

Nie łatwo to pójdzie pouczyć i przekonać większość kobiet, utrzymujących się u nas z pracy rąk, że powinny zapisywać się tłumnie na listę stowarzyszonych; wiele z nich nie rozumie jeszcze korzyści ztąd wypływających, wiele nie czytuje wcale pism i nie wie o istnieniu takiego Towarzystwa.

Mimo to jest wszelka nadzieja, że «kasa szwaczek», jak tu krócej nowe Towarzystwo nazywają, bo szwaczki rzeczywiście stanowią najliczniejszy zastęp kobiet pracujących fizycznie—oprze się wkrótce na trwałych fundamentach i pożyteczną swoją działalność rozwijać zacznie coraz pomyślniej.

Jest to także jedną z wielkich naszych wad społecznego charakteru, że nie umiemy głębiej i poważniej przejmować się duchem asocjacji, choć dużo na ten temat lubimy pisać i rozprawiać przy sposobności; nawołujemy do zakładania stowarzyszeń, opisujemy projekty, układamy ustawy, zabiegamy o ich zatwierdzenie przez władze, przepowiadamy sobie nadzwyczajny pożytek z ich powstania, ale gdy nareszcie uda się pewnemu gronu inicjatorów z niemałym nieraz trudem zorganizować jedno lub drugie towarzystwo, utworzyć upragnioną instytucję, wtedy najczęściej najbardziej interesowanych trzeba przemocą ściągać na członków—wtedy, gdy ochłoniemy z pierwszego zapału, odwracamy się obojętnie i pozwalamy zaledwie wegetować tym instytucjom i towarzystwom, albo troszczymy się niemi o tyle, o ile naszym osobistym interesom i ambicyjkom odpowiadają.

Gama.

+ **W** sprawozdaniu z balu, wydanego 27 stycznia w b. zamku królewskim, przez J. E. jenerał-gubernatora warszawskiego M. J. Czertkowa, „Warsz. Dniewn.“ nadmienił, że od lat kilkunastu nie wydawano już balów na zamku warszawskim.

+ **Władza** naukowa przystąpiła do wykonania nowych przepisów o organizacji stowarzyszeń studenckich. Inspekcja studentów uniwersytetu warszawskiego rozpoczęła wydawać wszystkim studentom przepisy drukowane, proponując im, by oświadczyli, jakie korporacje byłyby pożądane.

+ **Warszawa** ma stanowczo zamało kościołów. W r. 1827 Warszawa liczyła tylko 131,465 mieszkańców, a w tej liczbie 100,404 katolików. Podług ostatniego spisu Warszawa liczyła 711,988 mieszkańców, a między tymi 400,395 katolików. Liczba więc katolików czterokrotnie się zwiększyła; w ciągu zaś ubiegłego stulecia wzniesiono zaledwie 5 nowych kościołów, mianowicie: kościół św. Aleksandra, św. Augustyna przy ul. Dzielnej, Wszystkich Świętych, św. Piotra i Pawła na Koszykach, oraz św. Florjana na Pradze. Ofiary na budowę kościoła Zbawiciela przy ulicy Marszałkowskiej powinnyby więc napływać raźniej.

+ **W** Warszawie bawił znany organizator „arteli“, czyli związków roboczych z Rosji południowej, adw. Lewitskij. Prócz artelu szewców, zorganizowanego w Warszawie pod jego kierownictwem, wkrótce ma powstać kilka jeszcze organizacji korporacyjnych tego rodzaju. Pierwszy artel szewców, z 50 członków się składający, zamierza zająć się produkcją galanterji skórzanej. Szewcy, wyrabiający obuwie, zamierzają utworzyć osobny artel na dostawę towaru do jednej z gub. wewnętrznych Rosji. Nawet praczki warszawskie chcą utworzyć artel. Rzecz szczególna, że w Warszawie o tem nie pomyślano wcześniej. A przecież nie brak w niej ludzi, obznajmionych z zasadami związków roboczych.

+ **W** „Kurj. Warsz.“, pod tytułem: „Plotka“ znajdujemy następującą notatkę: W „Figaro“ z d. 2 b. m. czytamy w rubryce *„Le Monde et la ville“* co następuje: „W przeciągu dwóch dni, a mianowicie d. 26 i 27 stycznia zmarły w Warszawie dwie kuzynki: Władysławowa hr. Wielopolska, z domu Zyberk-Platerówna, małżonka Władysława hr. Wielopolskiego, koniuszego Dworu Jego Cesarskiej Mości, oraz pani Konstantowa Przezdziecka, z domu Zyberk-Platerówna, teściowa hr. Szapary, damy honorowej cesarzowej Austrji. Wypadnięcie z karety po drodze na bal było powodem tragicznej śmierci obu kuzynek. Wiadomość ta, od początku do końca fałszywa, obie panie bowiem cieszą się jaknajlepszem zdrowiem, dowodzi, że „Figaro“ nie zawsze czerpie informacje ze źródeł wiarogodnych“.

+ **Projekt** nowego gmachu poczty w Warszawie został rozpatrzony i zatwierdzony w d. 28 stycznia st. st. przez departament poczt i telegrafów. Po zrobieniu kosztorysu projekt przejdzie do Rady państwa. W przybliżeniu koszty przeróbki dzisiejszego starego gmachu poczty warszawskiej na mieszkania dla urzędników oraz koszty wzniesienia nowego gmachu wyniosą 400 tys. rb. Autorem zatwierdzonego projektu jest architekt p. A. Jabłoński.

+ **Zaprojektowano** założenie w Warszawie rosyjskiego Tow. muzycznego. Na czele założycieli-projektodawców stanęli: jenerał-major Hippius, oraz p. Mikołaj Mumenthal. Projekt doznał poparcia władzy miejscowej.

+ **Na** posesji przy zbiegu ulic Leszna z Żelazną, ma być wzniesiony budynek teatralny kosztem 60 tys. rb., z pomieszczeniem na 900 osób. Teatr ten, mający być urządzony jeszcze w r. b., wydzierżawi żydowskie Tow. dramatyczne, t. zw. „żargonowe“, które chce osiąść na stałe w Warszawie.

+ **Dr.** Mączewski, obwiniony o zamordowanie żony, z mocy decyzji sędziego śledczego został osadzony w więzieniu śledczem. Przed kilkunastu dniami Warszawa była poruszona wiadomością, że dr. Mączewski wraz z żoną zażyli kokainy w celach samobójczych. Żonę jego, z domu Hordliczkównę, znaleziono nieżywą, samego zaś uratowano.

+ **Dr.** Jan Piltz, były wice-dyrektor rządowej kliniki w Lozannie (Szwajcarja), został mianowany nadetatowym ordynatorem chorób nerwowych przy warszawskim „szpitalu prazkim“.

++ **Z Łodzi** piszą do nas: Na rynku przemysłowo-handlowym w dalszym ciągu

zauważyć się daje coraz większe ożywienie, wywołane przez znaczne zapotrzebowanie towarów wełnianych do wielu wewnętrznych i południowych gub. Cesarstwa. Zrażeni jednak tylokrotnie nadużytem zaufaniem przy oddawaniu materjałów na kredyt, fabrykanci nasi nie dają unieść się „chwili“ i pozostają bardzo ostrożni w przyjmowaniu weksli, zwłaszcza długoterminowych. Pomimo to sprzedaż idzie bardzo raźnie i nawet przewidywane jest prędkie wyczerpanie się zawczasu przygotowanych w podaży wyrobów „letnich“. Trudne położenie rynku bawełnianego, wobec małego popytu, przy względnie dużem zaofiarowaniu, niewiele zmieniło się na lepsze. Za to poprawiają się warunki płatnicze, a liczny napływ gotówki czyni dyskonto tańszem i łatwiejszem. — Zarząd kolei Fabryczno-Łódzkiej przystąpił już do gromadzenia materjałów, potrzebnych pod budowę nowej, trzeciej linji szerokotorowej. Roboty ziemne i układanie toru rozpoczęte będą z nastaniem wiosny, aby w jesieni wagony kolei Dąbrowskiej mogły już bezpośrednio przybywać do Łodzi.—Władze wyższe zezwoliły asygnować magistratowi łódzkiemu 8 tys. rb. na ustanowienie 4 stypendjów (po 80 rb.) imienia Puszkina. — Na ostatniem posiedzeniu członków sekcji technicznej, przewodniczący p. Arkuszewski wyjaśniał, jak znaczne sumy płacimy zagranicy za różne wyroby przemysłowe, które możnaby nabywać w kraju. Wobec tego p. A. wystąpił z wnioskiem, aby wypracować wykaz sprowadzanych przedmiotów, celem ogłoszenia go w pismach i ułatwienia w ten sposób porozumiewania się producentów z odbiorcami. Myśl p. Arkusz. przyjęto z uznaniem.—Dyrektor tutejszego Tow. muzycznego, p. Henryk Melcer, opuszcza swe stanowisko i przenosi się na stałe do Wiednia. *M.*

DEMONSTRACJE LWOWSKIE.

NOWE EKSCESY.

W dniu 26 stycznia n. st., w pięć dni po demonstracjach przed konsulatem rosyjskim, Lwów był znowu widownią smutnych i niepokojących zbiegowisk i zaburzeń ulicznych, tym razem bez określonego celu. Parotysięczny tłum, przeważnie z rzemieślniczej i uczącej się młodzieży złożony, rzucał się z jednej ulicy na drugą, «ogłuszając powietrze nieludzkim piskiem, gwizdaniem i krzykiem». W policję i wojsko, które starało się tłum rozproszyć, rzucano kamieniami. Kilku manifestantów i kilku żołnierzy poniosło mniej lub więcej ciężkie rany. Kres zbiegowiskom położyła dopiero groźba dowodzącego plutonem oficera, że jeżeli jeszcze jeden kamień padnie, każe strzelać. Żołnierze wzięli na cel, i tłum się rozproszył.

Tak brzmi sucha relacja tych dzienników, które zaburzenia 26 stycznia starają się zbagatelizować. Daleko efektowniej i dramatyczniej przedstawiają się one w grzeszącym widoczną przesadą opisie «Dziennika Polskiego» i «Kurjera Poznańskiego». Dużo jest obecnie rysów odmiennych, a najważniejszym —odwrócenie się od inicjatorów zaburzeń opinji polskiej.

Prasa zakordonowa, w ocenieniu wypadków 26 stycznia, okazała taką samą godną uznania stanowczość, jak z okazji demonstracyj przed konsulatem rosyjskim. Potępiła je stanowczo, szczerze i bez ogródek. Argumenty są naturalnie różne: inaczej potępienie swe uzasadnia prasa konserwatywna, inaczej liberalna, inaczej ta, która kokietuje z młodzieżą lub ludem. Ale to już kwestja drugorzędna. Ważnem jest, że się przeciw próbom rozstroju rozległ protest prawie jednomyślny.

PRASA LWOWSKA.

Lwowska «*Gazeta Narodowa*» zabrała głos natychmiast po powtórnych ekscesach ulicznych lwowskich:

«Pobudką niedzielnych awantur ulicznych we Lwowie nie był wcale patrjotyzm, ani też patrjotyzm nie kierował tymi, którzy awantury te zainscenowali. Trzeba to wyraźnie powiedzieć. Przeciwnie, społeczeństwo i kraj niejednokrotnie i niedwuznacznie awantury te *potępiło* i *boleje* nad niemi, i nie może przyjąć na siebie *odpowiedzialności za żadne konsekwencje*, jakieby z podobnych zaburzeń wyniknąć mogły.

«*Początków* tych wszystkich zaburzeń, które od kilkunastu miesięcy, z początku tylko pochodami i «Czerwonym sztandarem», potem wrzaskami, później biciem szyb, wreszcie rzucaniem nawet kamieni na wojsko, zakłócają sporadycznie porządek i spokój na ulicach Lwowa, *szukać trzeba* w *machinacjach* lwowskiej grupy *socjalno - demokratycznej*. Idzie ona innemi drogami, niżeli jej siostrzyce na Zachodzie. Nie mając nadziei stania się u nas stronnictwem politycznem, chcąc jednak czemś być, nadaje sobie pozory jakiejś obronicielki wszystkich cierpiących i nieszczęśliwych, jakiejś przewódczyni wszystkich niezadowolonych, nauczycielki nieoświeconych, a nawet, zapierając się obłudnie własnych zasad—apostołki myśli narodowej. Korzystają więc socjaliści lwowscy z każdej sposobności, aby okazać się takimi, a gdy sposobności brak, starają się ją wywołać. Potrzebny im jest ferment społeczny, zamieszki, zaburzenia, bo szumowiny wychodzą na wierzch tylko na rozpętanych falach, chociażby tylko lwowskich rynsztoków.

«*Do socjalistów* wówczas, gdy mieszają oni ferment, *przyłączają* się zawsze *ciemne osobniki*, których we Lwowie w ostatnich czasach namnożyło się wiele, osobniki bez zajęcia. Służą oni reżyserującym socjalistom jako statyści, mający przedstawiać proletarjat.

«Są jednak także ludzie, przeważnie *młodzi*, o umysłach wartkich lub zapalnych, a sercach egzaltowanych, którym za powolną lub za cichą wydaje się praca społeczna i narodowa całego kraju i którzy złudzić się dali wielkim słowom socjalistów o uświadomieniu robotników, o wyrównaniu stanów lub budowaniu Polski ludowej. Niedoświadczona młodzież chwyta w patrjotycznej osłonie podane hasło, nie widząc ukrytego haczyka i tego sznurka, który ma ją później pociągnąć w inne zupełnie strony. Ci, tak *złudzeni*, stają się *bezwiednie czynnikami w ręku socjalistów*. I tych społeczeństwu szkoda i dążyć należy do otworzenia im oczu.

Socjalistom—powiada «Gazeta»—każda demonstracja na rękę, bo po każdej zwiększa się przepaść między klasami społecznemi. Tedy, gdy zgoła niema żadnego powodu do demonstracji, trzeba ją sztucznie wytworzyć. To stałe, nieodmienne socjalistów hasło.

«Teraz, gdy sprawa wrzesińska zwróciła uczucia patrjotyczne wszystkich polaków w stronę W. Księztwa Poznańskiego, socjaliści korzystają znów ze sposobności i grają na założonej tylko w tym celu na swe skrzypce strunie patrjotycznej. Młodzież, uwiedziona obłudnemi słowami, nadużyciem haseł patrjotycznych, popychają do awantur ulicznych, do dalszego, w treści identycznego a tylko w formie różnego, ciągu wszystkich poprzednich awantur ulicznych, raz po raz, do coraz większych, aż takich jak wczorajsza, gdzie już kamienie padają na wojsko. Doprowadzić chcą do rozruchów, bo im większe zamieszki, im wyżej fale biją, tem łacniej męty z dołu na wierzch się wydostają».

Rozruchów na taką skalę, jakiemiby ich chciał mieć socjalizm, agitatorowie nie wywołują. Ale pomarnują wiele młodzieży, wiele sił młodych, nieodbicie społeczeństwu potrzebnych. Więc pisze «Gazeta»:

«Odzyskać te siły pragnęlibyśmy i zwrócić je na drogi proste. Takie demonstracje jak wczorajsza, to *szaleństwa, kierowane ręką złą, antynarodową*, dla celów antyspołecznych. Szaleństwa, które już przyniosły społeczeństwu polskiemu szkody, a przynieść mogą jeszcze nowe, i dlatego pokonać je winniśmy».

Źródła ostatnich lwowskich zaburzeń szuka «Dziennik Polski» wśród żywiołów rozkładowych, które umiejętnie skorzystały z wyjątkowego podniecenia temperatury narodowej i skierowały ją — ku swoim celom.

«Niczego bowiem nie dowodzi w tym wypadku fakt, że do tych tłumnych zbiegowisk, wrzasków, pisków i utarczek z organami bezpieczeństwa już w mieście, przyszło od manifestacji u stóp kaplicy na Wólce. Więc kto w niedzielę pchnął te bezmyślne, szare, bezimienne tłumy do skandalu, kto je narażał na pociski kul i na bagnety, a narażał z całą świadomością sytuacji i następstw strasznych? *Is fecit—cui prodest!* W każdem przecież społeczeństwie — a nie dopiero naszem, które dzięki wyjątkowym okolicznościom żyje od dziesiątka lat w ustawicznem niemal naprężeniu nerwów, znajdują się żywioły, zawsze i z wszystkiego niezadowolone, burzliwe, do porywów awanturniczych skore, a w danej chwili w mętnej wodzie chętnie ryby łowiące. Tym żywiołom zależy oczywiście na utrzymywaniu wrzenia w masach, na budzeniu dzikich instynktów i namiętności w proletarjacie, na dręczeniu społeczeństwa widmem bezimiennego terroru, trwogą o każde jutro...

«Żywioły te *nie są* zdecydowanie *socjalistyczne* (?), a tem mniej, naturalnie, *patrjotyczne*. Najbliżej im jeszcze do miana: *anarchji*. I on e to niezawodnie korzystają teraz z wyższego stopnia temperatury narodowej po wypadkach wrzesińskich, one nurtują wśród łatwowiernych dzieciaków czy to w mundurku szkolnym, czy w rzemieślniczej bluzie, i pchają jednych i drugich do bezcelowych demonstracyj... Że tego rodzaju i pokroju egzystencje katylinarne dają się w pewnych chwilach użyć za narzędzie w rękach politycznych agentów prowokacyjnych, to nie ulega wątpliwości! Historja większości ruchów rewolucyjnych w Europie, przez cały wiek ubiegły, poucza dostatecznie w tej mierze».

W zakończeniu artykułu «Dziennik Polski» dochodzi do wniosku, że w grze są «nikczemne jakieś żywioły prowokacyjne, które z garstką anarchistów działają na nieobliczoną szkodę całego narodu».

«Przeciw tym wrogom—jak przeciw zarazkowi dżumy—powinno też całe społeczeństwo stanąć do solidarnej walki, a czem prędzej zarazek stłumimy, tem mniej szkód dozna święta sprawa nasza w bliższej i dalszej przyszłości».

PRASA KRAKOWSKA.

Z pism krakowskich «*Czas*» podnosi, że eksploatują ekscesy lwowskie dwa pisma tylko, które ich nie potępiły, mianowicie «Kurjer Lwowski» i «Naprzód», usiłując zaburzeniom nadać charakter antyrosyjski. W dążeniu tem spotykają się z «Hałyczaninem», który z całkiem odmiennych powodów wodę tę na swój młyn kieruje. «Czas» więc pisze:

«Toczące się obecnie dochodzenia władz wykryją z pewnością źródło zaburzeń i rękę, która niemi kierowała. Groźniejszym, niż bałamucenie młodzieży gimnazjalnej, jest fakt, że napadu na redaktora «Dziennika Polskiego» i na profesora Jaworowskiego dopuściła się młodzież starsza, i że te napady mają—wedle zdania niektórych pism lwowskich—wszelkie cechy terroru, obmyślanego z zamiarem systematycznego wprowadzania ich w życie.

«Jakiekolwiek będą rezultaty dochodzeń, dzisiaj już widać, że atmosfera, w której żyje we Lwowie młodzież starsza i młodsza, jest niezdrową. *Młodzież* jest z pewnością *ostatnim czynnikiem*, któryby był *powołanym* do udziału w życiu *politycznem* i do manifestowania przekonań i opinij politycznych. Jest tak i dlatego, że jedynym jej obowiązkiem jest kształcić się i uczyć; jest tak dalej i z tego powodu, że tych przekonań i opinij jeszcze mieć nie może, że się przeto daje nadużywać i wyzyskiwać do cudzych celów. Powinno to było być dla niej oczywistem, gdy spostrzegła, że łączą się z nią rzesze, które swój «patrjotyzm» objawiały śpiewaniem «Czerwonego sztandaru».

«Z wyjątkiem dwóch pism, któreśmy wymienili na wstępie, jednomyślną była opinja całej zresztą prasy, że demonstracje były robotą *pour le roi de Prusse*. Tam to wyciągną największe zyski z zaślepienia, lekkomyślności i niedojrzałości tych kilku setek, które się dały unieść i pociągnąć. Pisaliśmy już, że demonstracje lwowskie będą tylko żerem dla tych, którzy posądzają społeczeństwo polskie o «wielkopolską agitację», i którzy pragną wmówić w Europę, że istnieje «niebezpieczeństwo polskie», aby tem usprawiedliwić swój prześladowczy system.

«Na wewnątrz demonstracje wywołują *złudzenie*, że się coś czyni dla sprawy narodowej, złudzenie, odciągające od pracy i tych wszystkich codziennych wysiłków, które mogą nużyć swoją jednostajnością i szarością, ale które jedynie i wyłącznie zapewnić nam mogą rozwój. Każde podniecenie, każda gorączka trawi organizm i prędzej, później wiedzie go do upadku i ruiny.

«Rozwaga przeto i trzeźwy sąd musi wywołać potępienie demonstracji u wszystkich rozumnych—wywoła je tem pewniej, że argumenty, których używają uwodziciele, mogą trafiać rzeczywiście chyba tylko do umysłów dzieci. Godności narodowej, o której prawią, nie strzeże się na ulicy, bo tam się ją tylko szarga. Odwagi, do której wzywają, nie okazuje się w krzykach i napadach na bezbronnych ludzi, bo dowody jej składa się w tej ciężkiej pracy, która pokonywa trudności i nie cofa się przed przeszkodami, a tych natrafiamy przecież tak wiele w naszym rozwoju. Nie może wreszcie służyć za przykład żaden dojrzały *naród*, bo ten *nie przez łatwe demonstracje wzmaga się i rośnie, ale przez trudy i ciężkie wysiłki*».

«Czas» domaga się zastosowania surowych środków przez władzę szkolną oraz współdziałania domu rodzicielskiego w uspakajaniu młodzieży.

«*Głos Narodu*» podziela co do ekscesów lwowskich zapatrywania «Przeglądu» lwowskiego. Widzi on w nich powtarzający się od wieków wśród społeczeństwa naszego objaw «bałamucenia» niekarnego tłumu przez zręcznych agitatorów, siejących wszędzie, gdzie się da, niepokoje i pierwiastki rozkładowe.

«Więc znowu miał Lwów demonstrację, bezmyślną, bezcelową, dziecinną, a jednak niebezpieczną. Gdyby ktoś zapytał każdego z uczestników tych ulicznych pochodów z osobna, jaką myśl polityczną chcieli zaznaczyć i *przeciwko komu* demonstrowali, byliby niezawodnie w niemałym *kłopocie*. Prawdziwy cel jest zapewne znany tym, którzy, stojąc dyskretnie zdaleka, kierują całym ruchem; zetknięcie się jednak z nimi jest niemożliwe, bo konsekwentnie unikają światła. Nie wiemy zatem, kto oni? zkąd przychodzą? i do czego dążą? *Nie* bardzo *wierzymy* w *agentów prowokacyjnych*, których robota jest zwykle nie tak gruba—ale to pewna, że komuś zależy na utrzymywaniu w kraju fermentu, nieporządku i na rozbiciu solidarności narodowej. Nikogo nie ucieszyły tak lwowskie demonstracje, jak prusko-niemiecką prasę, która je przyjęła z nietajonem zadowoleniem. *Żywioły międzynarodowe* w kraju wystąpiły również z gorącą obroną demonstracyj. Dlaczego? w czem mogą one być pożyteczne dla sprawy socjalizmu? Czy sprawa przewrotu społecznego posunie się przez to choćby o krok naprzód? Z pewnością nie. Więc chodzi tylko o wywołanie wrażenia, że nawet wbrew chęci i opinji ogromnej większości społeczeństwa, radykalizm społeczny potrafi tłumy, a przynajmniej ułamki tłumów poruszyć i kierować niemi według własnego widzimisię.

«*Zła to robota*, zarówno przez swe pobudki, jak i przez dalsze następstwa. Społeczeństwo polskie rozpoczęło, a właściwie było zmuszone rozpocząć męzką, trudną, ogromną walkę z Niemcami, w której chodzi o całą niemal przyszłość narodu, o jego najżywotniejsze interesy. Walka to sprawiedliwa i konieczna, i wymaga wytężenia wszystkich sił naszych, materjalnych i duchowych; w takiej chwili rozstrzygającej *grzechem* jest nie do darowania, urządzać niejako *na tyłach armji narodowej dywersje* krzyżujące cały plan kampanji, wywoływać nieporządki i awantury w szeregach narodowych, rozpoczynać prawie *wojnę domową*».

«*Nowa Reforma*», robiąc rozmaite zastrzeżenia co do sposobów uspakajania młodzieży, oświadcza jednak, że demonstracje były «szkodliwe», «bezcelowe» i że «trzeba je uśmierzyć koniecznie».

PRASA POZNAŃSKA.

«*Dziennik Poznański*», powtarzając domysły lwowskiego «Dziennika Polskiego» o agentach prowokacyjnych, czyni następujące uwagi:

«Prasa niemiecka zaprzecza temu (t. j. istnieniu agentów prowokacyjnych), a więc zwala winę na rozwiązłość żądz politycznych. Gdyby tak było, możnaby odpowiedzialność za te wybryki zwalić na barki skrajnych żywiołów, reprezentowanych przez *znany odłam prasy*, który już i u nas *tak ciężko dał się we znaki* sprawie polskiej. Dość przeczytać mowy nieprzyjaciół naszych, wygłoszone w sprawie interpelacji w Berlinie. Wynika z nich, że porówno z hakatystami nęka nas przedewszystkiem tak pożądany dla policji pruskiej: «Przegl. Wszechpolski».

«Niech o stosunkach galicyjskich sądzi lepiej informowana prasa miejscowa. Tyle niech nam jednak wolno będzie powiedzieć, że, czy samochcąc bałamucący, czy obałamuceni za kulisami działający politycy «czynu», chyba obok wszystkich innych klęsk, chcą na nas sprowadzić nowe święte przymierze, które nas «zjednoczy», ale na swój sposób.

«Odzywamy się i my do obałamuconej młodzieży, która raz przecie powinna dojść do przekonania, że zadaniem jej jest uczyć się, a nie sejmikować, wydawać gazety, «organa młodzieży», i hałasy wyprawiać po ulicach».

«*Kurjer Poznański*» zamieścił w numerze z dnia 31 stycznia artykuł, który w całej Wielkopolsce duże wywołał wrażenie. Redakcja charakteryzuje obecny ruch narodowy w Poznańskiem następującemi słowy:

«Główną, charakterystyczną jego cechą jest zerwanie z dawną tradycją demokracji szlacheckiej, z tradycją niegdyś zrywania sejmików, a później wią-

ry w skuteczność powstań i orężnych zapasów.

«Nasza demokracja, prawdziwa, zdrowa, dobra, polegająca na wspólnem prawie i obowiązku pracy wszystkich, różni się zasadniczo od swej szlachecko-warcholskiej poprzedniczki i od obecnie pod mianem patrjotyczno - demokratycznem objawiających się w Galicji oznak—obłędu.

«Właśnie w tej dzielnicy polskiej, która pod względem narodowym na najmniejsze są narażone trudności, obłęd ten w ostatnich szczególnie czasach coraz jaskrawsze przybiera formy.

«We Lwowie zdaje się panować zupełna anarchja. Ekscesy uliczne, czynne znieważanie osób szanowanych i poważnych są tam na porządku dziennym. Jak słyszymy, i w innych miejscowościach Galicji podobnych wybryków panuje obawa (?).

«To, co Września dla nas w oczach całego świata zrobiła, to koniecznie trzeba było zniweczyć, lub przynajmniej próbować zniweczyć objawami przeciwnemi dzikości i anarchji ze strony polaków. I tej roboty podjął się motłoch lwowski, prowadzony mądrze a tajnie.

«Po całym świecie telegraf roznosi wieści o niebezpieczeństwie polskiem, o buntach, rewolucjach, które wszystkim, a specjalnie trzem państwom, jak wyraził się hrabia Bülow, stłumić należy. Z tego wszystkiego wynika zdwojony obowiązek baczności z naszej strony.

«Myśmy powinni pamiętać, że choć u nas społeczeństwo zdrowe, choć jedynie w pracy widzi pomyślny rozwój narodu, to jednak zaraźliwa choroba i najzdrowszemu organizmowi może być niebezpieczną. Więc czy prasa, czy związki, czy poszczególni obywatele, każdy w miarę swego wpływu i zdolności powinien bacznie czuwać, by każdy z tych zarazków, któreby się do nas przedostać mogły, natychmiast, bezwzględnie i z jaknajwiększą energją był stłumionym w samym zarodku.

«Nam tu chodzi o życie, chodzi o to, by nie został spaczonym piękny całokształt naszej pracy narodowej; więc w obronie tego świętego naszego skarbu winniśmy żadnemi względami, żadną słabością lub wahaniem się nie powodować, lecz wroga z wewnątrz uważać za conajmniej równie dla nas niebezbiecznego, jak otwartego nieprzyjaciela z zewnątrz».

Program «Kurjera Poznańskiego» znalazł natomiast zupełne uznanie w «*Orędowniku*», organie umiarkowanych ludowców. Polemizując z «Gońcem» i z «Dziennikiem Berlińskim», «Orędownik» temi słowy charakteryzuje działalność tych dzienników:

«Energja w «Dzienniku Berl.» jest. «Goniec» także ją w sobie produkuje, i po dwóch prawie latach wykazuje się, że to jest energja, prowadzona kosztem istotnych interesów ludowych i demokratycznych. Społeczeństwo, a przedewszystkiem koła ludowe, mają obowiązek przeciwstawić temu energję zdrowego zmysłu i obrachunku politycznego. Na to skoncentrowane krzykactwo polityczne, które w nędzny sposób wyzyskuje nasze interesy ludowe i demokratyczne, powinniśmy wszyscy ludowcy uderzyć z całą siłą energji zdrowego zmysłu politycznego».

«*Wielkopolanin*» jasno i zwięźle określa cel, ku któremu dąży prasa niemiecka hakatystyczna, podnosząc wielki hałas z powodu obrażenia we Lwowie konsulatu rosyjskiego. Nie: niemieckiego—ale: rosyjskiego. Rrzecz prosta. Na alarm, rzucony przez prasę niemiecką pod adresem Austrji i Rosji, na denuncjację że polacy z trzema naraz mocarstwami walczyć pragną, na wezwanie do «wspólnej» przeciwko polakom akcji, odpowiedziała Austrja milczeniem, a prasa rosyjska dała niemcom znaną odprawę. Tedy trzeba teraz, opierając się na ekscesach lwowskich, dowieść, że się miało rację. Ztąd okrzyki i oburzenia niemieckie.

«Dalej wynika ze skwapliwości, z którą podniesiono demonstrację lwowską przed rosyjskim konsulatem, jak bardzo nie na rękę jest naszym najserdeczniejszym możliwe złagodzenie stosunków pomiędzy rosjanami a polakami. Niezaprzeczonym faktem jest, że chociaż jeszcze daleko do wyrównania różnic pomiędzy rosjanami a polakami, dużo już zmieniło się na korzyść naszą. Niezadowolenie, z jakiem patrzą pewne koła na to złagodzenie u nas opinji Rosji, powinno być dla wszystkich najwyraźniejszą wskazówką. Jedno jest pewnem, że hałaśliwe demonstracje, w guście ostatniej, sympatji nam nie przysporzą. Pytamy się wreszcie, co zyskało poczucie narodowe polskie przez ostatnie demonstracje? Jaką stratę poniosłoby poczucie narodowo-polskie, gdyby tych demonstracji nie było? Na pierwsze pytanie brzmi odpowiedź: «Nic». Na drugie: «Żadnej!» Rezultatat demonstracji: «Najzupełniejsza jałowość!»

Prowincjonalne pisma wielkopolskie i szlązkie wyrażają się w tym samym tonie.

Odezwa.

Pisma zakordonowe ogłaszają następującą odezwę:

Ostatnie okrutne prześladowania rządu pruskiego, których najjaskrawszym wyrazem były zajścia we Wrześni i bezprzykładny wyrok sądu gnieźnieńskiego, znowu zwróciły uwagę Europy na sprawę polską. Wrażenie tych wypadków spotęgowało jeszcze solidarne a pełne godności zachowanie się polaków.

Dalecy od wszelkiej prowokacji, zaznaczyliśmy jednak niezłomną chęć obrony uciśnionych braci naszych. Dla ulżenia ciężkiej ich doli, obficie, jak na biedny kraj nasz, popłynęły składki, a były one tem donioślejszą manifestacją polityczną, że bardzo znaczną ich część złożyły i mniej zamożne warstwy naszego społeczeństwa. Objawy te musiały dumą i radością napełnić serca każdego prawego polaka.

Ale w dniach ostatnich zaszły, niestety, we Lwowie wypadki, które mogłyby zniweczyć to potężne wrażenie, wywołane ogólnem zachowaniem się narodu naszego.

W tak wytworzonej sytuacji, podpisani uważają za rzecz stosowną odezwać się do całego społeczeństwa polskiego i zwrócić jego uwagę na wynikające ztąd niebezpieczeństwa. Wszyscy politycznie dojrzali obywatele powinni od objawów tego rodzaju powstrzymywać młodzież naszą, niewątpliwie pełną uczuć szlachetnych, ale bez dostatecznego doświadczenia i niepowołaną do kierowania polityką całego narodu. Tym tylko brakiem dojrzałości politycznej możemy sobie wytłómaczyć zachowanie się pewnej jej części, tak szkodliwe dla nas, a pożądane jedynie dla odwiecznego wroga naszego.

We Lwowie, dnia 1 lutego 1902 r.

Adam Sapieha,

Antoni Małecki, Leoncjusz Wybranowski,

Bełza Władysław, Bieliński Stanisław, Brykczyński Stanisław, Brzozowski Karol, Bykowski Juljusz, Bylicki Władysław, Cielecki Artur, Cieński Stanisław, Ciuchciński Stanisław, Drechsler Ignacy, Fiedler Tadeusz, Gluziński Antoni, Głąbiński Stanisław, Hirschberg Aleksander, Kadyj Henryk, Kamienobrodzki Alfred, Kędzierski Zygmunt, Kętrzyński Wojciech, Kosiński Adam, Kropiowski Karol, Krzysztofowicz Mikołaj, Kubala Ludwik, Leńko Zenon, Lerski Jan, Łukasiewicz Włodzimierz, Markiewicz Stanisław, Mars Antoni, Matkowski Stanisław, Michalski Michał, Ochenkowski Władysław, Opolski Wiktor, Pawlikowski Antoni, Papée Jan, Piepes-Poratyński Jakób, Pomianowski Aleksander, Rajski Albin, Riedel Edmund, Riedel Jan, Rosner Ignacy, Rożański Józef, Rychter Józef, Schramm Hilary, Skałkowski Bronisław, Skałkowski Tadeusz, Skibiński Karol, Stroynowski Edward, Szachowski Stanisław, Szeliski Henryk, Szydłowski Zdzisław, Trzcieniecki Kazimierz, Tyniecki Władysław, Wereszczyński Józef, Wojciechowski Tadeusz, Ziembicki Grzegorz, Ziembicki Gwalbert, Zuber Rudolf.

UWAGI.

Petersburg, 1 (14) lutego.

Pobyt arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda w Petersburgu wywołał w prasie europejskiej szereg ciekawych uwag co do stosunków rosyjsko-austro-węgierskich. Nie zdaje się już ulegać wątpliwości, że mają one dziś cechy zażyłości i zaufania wzajemnego, jakich nie znano od pół stulecia. Cieszą się ztąd pisma wiedeńskie i peszteńskie, wtóruje im prasa petersburska, a zdaleka, z Paryża i z Londynu dochodzą echa życzliwe. Ogromnie zmieniają się czasy i dzieją się rzeczy, o których ojcom naszym się nie śniło.

Minęły bezpowrotnie lata 1848—49. Węgry dzisiejsze powitały przed paru laty z uczuciem wdzięczności rozkaz Cesarza Wszechrosji odesłania do Budapesztu przechowywanej dotąd w Petersburgu relikwji węgierskiej—szabli Rakoczego. Pisma budapeszteńskie głoszą dziś, że „cała ojczyzna węgierska, ożywiona nadzieją radosną, wita podróż arcyksięcia do Petersburga, podjętą w celu stwierdzenia przyjaźni dwóch mocarstw sąsiednich“.

Życzliwe artykuły prasy petersburskiej powitano i w Peszcie i w Wiedniu najsympatyczniej.

Wygłoszone przez Najjaśniejszego Pana i arcyks. Franciszka-Ferdynanda w serdecznych wyrazach toasty podczas obiadu galowego w pałacu Zimowym utwierdzą niewątpliwie w całej Europie przekonanie, że znaleziono trwalszy pomiędzy Wiedniem i Petersburgiem „*modus vivendi*“, i że niewcześnie zabieraliby się do przewrotów na półwyspie bałkańskim ci wszyscy, którym chodzi o zakłócenie tam porządku istniejącego i pokoju.

Telegramy przyniosły przed kilku dniami wiadomość, że we Lwowie zawiązał się komitet obywatelski, mający na celu przeciwdziałać powtarzającym się demonstracjom ulicznym. Dziś mamy przed sobą pierwszy akt działalności komitetu: odezwę do społeczeństwa polskiego, aby młodzież od udziału w szkodliwych dla kraju manifestacjach powstrzymało. Nie jest to manifest jakiejś frakcji politycznej; znajdujemy pod nią podpisy przedstawicieli różnych obozów i szerokich kół obywatelskich, związanych jedną tylko myślą, jednem uczuciem, jedną troską: o spokój i dobro ogółu. Odezwa jako taka, powinna zrobić wrażenie.

W liczbie 62 podpisanych znajdujemy nazwiska 24 profesorów uniwersytetu, 7 posłów i przedstawicieli ziemiaństwa, 8 członków rady miejskiej, wśród których obu wice-prezydentów miasta Lwowa, 4 prawników, 10 przedstawicieli świata lekarskiego i 3 technicznego, dwóch zasłużonych pisarzy: sędziwego poety Karola Brzozowskiego i Wład. Bełzy, prezesa lwowskiej izby handlowej p. Piepes-Poratyńskiego i członka wydziału krajowego p. Wereszczyńskiego. Na czele listy figurują nazwiska: ks. Adama Sapiehy, jako prezesa, oraz prof. Małeckiego i Leonc. Wybranowskiego, jako wiceprezesów.

Pojawienie się tej odezwy jest faktem niezmiernie pocieszającym, wskazuje bowiem, że równolegle z usiłowaniami, zmierzającemi do popchnięcia społeczeństwa na drogę, tylu klęskami znaczoną, rośnie przezorność i mądrość polityczna, zjawia się najsilniejsza tych klęsk zapora — obywatelska odwaga. Zmieniają się czasy, zmieniają ludzie. Nazwisko „czerwonego księcia“ pod odezwą z d. 1 lutego, to także symptom czasu, i nie najbłahszy.

Przed paru laty przyszło do głowy jakiemuś gimnazjalnemu wyrostkowi napisać do cesarza Wilhelma list, prosząc go o—podarunek „na gwiazdkę“. Cesarz, ubawiony bezceremonjalną propozycją, posłał coś tam małemu. Rozpisała się o tem prasa szeroko i długo, a uprzejmość monarsza podobała się niezmiernie wszystkim bez wyjątku małoletnim poddanym jego ces. mości. Nuż tedy rzucać do stóp tronu przedgwiazdkowe supliki. Rzecz prosta, te już pozostawiono bez odpowiedzi, a natręctwo musiało przybrać niepospolite rozmiary, skoro niedawno pojawił się cyrkularz pruskiego ministra oświaty, zabraniający kategorycznie młodzieży szkolnej—pisać do cesarza. Nie o anegdotyczną jednak stronę faktu chodzi. Dzienniki podały kilkanaście listów małoletnich niemczyków, nietylko bardzo naiwnych, ale i bardzo charakterystycznych. O jaki podarek proszą cesarza studenciki pierwszej, drugiej klasy gimnazjów? O książkę? o konika? o domino? o przybory rysunkowe? Nie. Jeden domaga się—szabelki, drugi—fuzyjki, trzeci—munduru żołnierskiego, czwarty—armatki, piąty—kaszkietu ze szpicą pięknie błyszczącą, szósty—znów fuzyjki i tak dalej, w kółko, bez zmian. Oto upodobania, rozwijające się na ławce szkolnej, oto „ideały“ zaledwie od ziemi odrosłych głów. Powiedział przed laty Bismark: „dążyć będę do tego, aby każdy obywatel Niemiec miał w izbie swojej sztucer najlepszego systemu“. Posiew Bismarka padł na wdzięczną rolę. Dziś obywatele Niemiec domagają się sami, niemal w kolebce, strzelby, szabli, armaty, a bodaj tylko kaszkietu i munduru. Blizko w Niemczech leżą jabłka od jabłoni.

J. E. ks. biskup Niedziałkowski wydał niedawno zajmującą, choć nieco jednostronną rozprawę p. t.: „Dlaczego w poezji naszej nie mamy słowików?“ Traf zdarzył, że ze wszystkich sprawozdawców najobszerniej (w „Słowie“) rozpisał się o niej kapłan, ksiądz Charszewski. Gdy władza duchowna skarciła księdza Ch. za skrytykowanie hierarchicznego zwierzchnika swego, w obronie księdza Ch. wystąpił inny kapłan, dr. teologji ks. Kowalski. W obronie swej uniósł się aż do twierdzenia, że: ...„Ksiądz, otrzymawszy rozporządzenie swego biskupa, jeżeli uważa rozporządzenie to za niezgodne ze swojem sumieniem, o ile ono nie zawiera prawa ogólnego, może nie słuchać biskupa, okazując dla jego rozporządzeń t. zw. *resistentiam passivam*, opór bierny. Może (ksiądz) schować papier biskupi do archiwum i nie troszczyć się o jego wykonanie“.

Przewidzieć nie trudno, jak władza kościelna przyjęła tego rodzaju oświadczenie. Karność, subordynacja hierarchiczna nie mogą być w kościele katolickim martwą literą. Cement to, sprzęgający ów gmach potężny, trwający od wieków. Tego rodzaju polemiki, jak zacytowana powyżej, prowadzone w pismach świeckich, są wręcz szkodliwemi dla powagi i dobra Kościoła.

Ksiądz Kowalski popełnił wielki błąd, rzucając nieopatrznie na stół dziennikarskiej dyskusji kwestję specjalną z dziedziny prawa kanonicznego, kwestję drażliwą i elastyczną. Ale z drugiej strony niech nam wolno będzie wyrazić zdanie, że ludzie świeccy nigdy nie zrozumieją, dlaczego ksiądz w innych kwestjach: czysto literackich, nie mających nic wspólnego z religją, kościołem i kanonami, miałby być krępowanym stosunkiem podwładności? Czyby więc nie można było dla położenia kresu niepożądanym między kapłanami polemikom, które od lat kilku w zwyczaj weszły i wywołują zgorszenie, ustalić zwyczaj, aby pisarze ze stanu duchownego, zwłaszcza do wyższej hierarchji należący, ilekroć razy wstępują w szranki literackie, używali, idąc śladem ks. biskupa warmińskiego, pseudo- lub kryptonymu? W taki sposób drukowaliśmy w „Kraju“ listy i artykuły pasterzów naszych. Nie przypuszczamy też ani na chwilę, aby jakiekolwiek pismo uchylić się chciało od podporządkowania interesu dziennikarskiego — ogólniejszemu.

Niemałego rozgłosu nabrał fakt, że jeden z byłych stypendystów Muzeum raperswylskiego, chemik p. A. S., zwrócił zarządowi tegoż Muzeum nietylko całą sumę, udzieloną mu w formie stypendjum zwrotnego, ale i procenty od niej. *Jedyny* to fakt, jaki miał miejsce w ciągu lat dziesięciu w dziejach Muzeum, pomimo, że każdy ze stypendystów zaciąga moralne zobowiązanie, że po 10 latach dług swój spłacać zacznie. W czasie od 1892 do 1902 roku rozdano 130 tysięcy franków *134* stypendystom; żaden z nich, oprócz p. A. S., nie poczuł się do obowiązku zwrotu pieniędzy.

To samo, co w Raperswylu, dzieje się we wszystkich instytucjach i stowarzyszeniach krajo-

wych. Były student, który zwraca zapomogę, to *rara avis*. Jeżeli się nie mylimy, to np. w tutejszem rz.-katol. Towarzystwie dobroczynności ptak ten przez lat kilkanaście nie zawitał ani razu, pomimo, że wielu z obdarowanych nie toczy już walki o chleb.

Sądzimy, że w interesie biednej a łaknącej wiedzy młodzieży byłoby przyjęcie przez instytucje i stowarzyszenia, zajmujące się rozdawnictwem zapomóg dla młodzieży, ogólnej zasady, aby wszystkie zapomogi udzielane były jako pożyczki zwrotne, bezprocentowe za piśmiennym rewersem. Zaciągnięty w ten sposób dług podlegałby pod rygorem sądowym zwrotowi po upływie określonej liczby lat. Zarząd każdej instytucji miałby wszakże prawo odraczać spłatę, lub nawet umarzać zupełnie dług osobom, których stan materjalny byłby uznany za niepomyślny.

Przybliżone obliczenie wykazuje, że w razie wprowadzenia takiego systemu odradzających się kapitałów zapomogowych, ucząca się młodzież polska zyskałaby kilkanaście tysięcy rubli rocznie.

Ubiegły styczeń przyniósł zapowiedź poważnych reform w życiu włościan, stanowiących niemal 90 proc. ludności państwa rosyjskiego. Powstały dwie nadzwyczajne komisje *(osobyja sowieszczanja)*, powołane do polepszenia ich bytu. D. 15 stycznia ogłoszono o utworzeniu pod przewodnictwem ministra spraw wewnętrznych komisji do reformy ustaw o samorządzie włościańskim, gminnem władaniu ziemią, prawach cywilnych i sądowych włościan; d. 24 stycznia utworzono drugą komisję, złożoną z najwyższych dostojników państwa, pod przewodnictwem ministra skarbu, w celu „wyjaśnienia potrzeb i obmyślenia środków ku podniesieniu przemysłu rolnego". Ta druga komisja, ze względu na niezwykły skład osobisty, zwróciła znacznie większą uwagę prasy rosyjskiej, która wyraziła jednogłośnie życzenie, aby nowe *„sowieszczanje»* obmyśliło rzetelne środki ku ogólnemu polepszeniu bytu i uświadomieniu społecznemu wielkich rzesz rosyjskiego ludu rolnego. Większość pism, kładąc nacisk na konieczność usunięcia form jurydycznych, krępujących rozwój rolnictwa i dobrobytu włościan, przywiązuje wielkie nadzieje do osoby ministra skarbu p. Wittego. „Now. Wremia" wskutek tego wystąpiło z wyjaśnieniem, że komisja pod przewodnictwem p. Wittego jest powołana przeważnie do obmyślenia środków ekonomicznych, natomiast zmiany prawne są zadaniem komisji, utworzonej pod przewodnictwem ministra spraw wewnętrznych p. Sipiagina, której Najwyżej polecono obmyśleć je „na gruncie zasad reformy włościańskiej r. 1861 i w dalszem ich rozwinięciu". Obie komisje przeto wzajem się dopełniają. A rywalizacja ich jest wykluczona wskutek tego, że minister spraw wewnętrznych wchodzi do składu komisji pod przewodnictwem p. Wittego. Obu komisjom, jak wiadomo, przysługuje prawo powoływania do narad osób postronnych, obeznanych ze sprawami włościańskiemi i rolnemi.

Mówiąc o składzie komisji ministra p. Wittego, „Graždanin" zwraca uwagę na fakt, że do niej należą prezesi departamentów Rady państwa, postawieni hierarchicznie wyżej od ministra. „Fakt taki jest świadectwem patrjotyzmu tych mężów stanu — pisze „Graždanin" — gdyż interesy rangi stawiają oni niżej od sprawy powierzonej im przez zaufanie Monarsze". Zadanie obu komisyj jest tem ważniejsze, że—jak się wyraża „Now. Wr."—włościaństwo jest „fundamentem Rosji" i dlatego też sprawa polepszenia jego bytu wymaga połączenia wszystkich sił wyższego zarządu państwa.

Wzrost liczby szkół handlowych w państwie (jest ich już około 40), nasunął „War. Dniewnikowi" myśl wyjęcia tych szkół z pod opieki ministerstwa skarbu i oddania ich ministerstwu oświaty. „Warsz. Dniewn." pyta: „poco w łonie ministerstwa skarbu tworzyć jakieś nowe ministerstwo oświaty? Toć i na Zachodzie nic podobnego nie ma". Przeciwko tym poglądom redakcji występuje na szpaltach tegoż samego „Warsz. Dniewn." p. Braiłowski, który bierze w obronę ministerstwo skarbu. Autor zapewnia, że w tem ministerstwie zrozumiano, iż należy ufać w siły społeczeństwa, i dlatego pozwolono na zakładanie i utrzymywanie szkół handlowych środkami społeczeństwa, a nadto zapewniono przedstawicielom tego społeczeństwa wpływ na bieg spraw szkolnych. Zauważono nawet — pisze p. Braiłowski — że nauczyciele szkół ministerstwa oświaty chętnie przechodzą do szkół handlowych, ponieważ nie istnieje w nich krępowanie życia mnóstwem form i przepisów, jak w szkołach ministerstwa oświaty. Tak samo zapatruje się widocznie i rząd, skoro pozwolił na zbudowanie kosztem 7 miljonów rb. nowej politechniki w Petersburgu, zależnej od ministerstwa skarbu, pomimo, że w stolicy państwa istnieje Instytut technologiczny, pozostający w zawiadywaniu ministerstwa oświaty. Dodajmy, że przy wszystkich prawie ministerstwach istnieją osobne wydziały „oświaty", a przy ministerstwie skarbu utworzony został przed paru laty na prawach departamentu *„uczebnyj otdieł"*, którym zarządza p. Anopow, jeden z najświatlejszych urzędników, który, między innemi, przyczynił się do założenia politechniki warszawskiej.

Umarł jeden z najdzielniejszych ludzi w Warszawie — Lucjan Wrotnowski. Z najdzielniejszych i najczynniejszych. Nie było sprawy publicznej, w którejby nie brał udziału, a w każdej grał rolę wybitną. Miał wysokie poczucie obowiązków obywatelskich, był przytem szczerym i odważnym, t. j. posiadał dwa przymioty, równie cenne jak rzadkie w naszem życiu publicznem.

Od roku gonił już resztkami zdrowia i życia. Wszyscy to widzieli, tylko on nie widział lub widzieć nie chciał. Zamiast odpocząć i leczyć się, rozszerzał zakres interesów, brał nad siły. Ale marzeniem jego było rzucić po pewnym czasie adwokaturę i sprawy przemysłowe, które mu cały czas zabierały, i poświęcić się wyłącznie robocie społecznej i dziennikarskiej. Chciał zostać faktycznym redaktorem „Słowa". Było to ostatnie złudzenie.

Śmierć ś. p. Wrotnowskiego, to wielka strata i dla społeczeństwa, które gorąco kochał i któremu uczciwie służył, i dla stronnictwa, do którego z przekonań swoich należał.

Komitet zeszłorocznej jubileuszowej wystawy mińskiej zaszczycił „Kraj" odznaczeniem. Poświęcając jej opisom i odtworzeniom wyjątkowe staranie i miejsce w piśmie naszem, kierowaliśmy się jedynie względami na doniosłość objawu, oraz zainteresowanie się nim społeczeństwa naszego. Komitet wystawy (która, mówiąc nawiasem, dała świetny nawet materjalny rezultat) z hr. Jerzym Czapskim na czele, nadesłał nam obecnie wspaniały dyplom, wyrażający oficjalne podziękowanie dla redakcji „Kraju" za „wyjątkowe jej usługi", oddane wystawie. Tekst opatrzony podpisami wszystkich członków komitetu, skreślony w ramie przepysznej kompozycji Henryka Weyssenhofa, odtwarzającej motywy swojskiego rolnictwa i przemysłu. Ten dyplom oficjalny oraz załączony list prezesa b. wystawy, stanowić będą dla nas cenną pamiątkę.

W chwili oddania numeru pod prasę otrzymujemy z Warszawy telegram o śmierci znanego poety Włodzimierza Zagórskiego (Chochlika).

NAPAŚĆ.

Opowiedzieliśmy już na podstawie relacyj dzienników, historję brutalnej napaści, jakiej w d. 24 z. m. stał się pastwą redaktor «Dziennika Polskiego» p. Ostaszewski-Barański, za to, że w artykule o demonstracjach, 21 t. m. posądził młodzież o bezwiedne służenie za narzędzie cudzoziemskim agentom prowokacyjnym.

Podaliśmy już w N-rze 3 «Kraju» głosy dzienników galicyjskich i poznańskich, potępiających napaść w słowach mocnych i stanowczych. Uzupełniamy sprawozdanie przytoczeniem zdań dwóch pism codziennych nowopowstałych we Lwowie: «Wieku Nowego» i «Wieku XX». Oto co pisze pierwsze z tych pism:

«Zajście wczorajsze—pisze «Wiek Nowy» — musimy potępić z całą stanowczością, zarówno ze stanowiska dziennikarskiego, jak z ogólnoludzkiego i etycznego.

«Ze stanowiska ogólno-ludzkiego i etycznego zajście wczorajsze w restauracji Musiałowicza musimy traktować jako pospolitą burdę karczemną, przynoszącą tylko ujmę tym, którzy byli jej sprawcami. Brutalny napad sześciu ludzi na jednego bezbronnego człowieka, pobicie go, a potem bezładna ucieczka—to zaprawdę nie bohaterstwo, nie czyn, godny młodzieży, która w piersi swojej nosi wyższe, szlachetniejsze ideały. Kto ma śmiałość drugiego potępiać i karcić go za to czynnie, niechże występuje z otwartą przyłbicą, niechaj nie naśladuje ulicznego brukotłuka i napastnika, ale wyjawi swe nazwisko, i—jak na człowieka honoru przystało, przyjmie odpowiedzialność za te objawy swej odwagi i krewkości. Ale bić na ślepo i uciekać — to, co najmniej, nieładnie... Dalecy jesteśmy od tego, abyśmy za to, co się wczoraj stało, mieli zwalać winę na całą młodzież naszą. Za wysokie mamy o niej wyobrażenie, abyśmy podejrzywali ją choć na chwilę o solidarność z tego rodzaju awanturą. Jesteśmy też przekonani, że ogół młodzieży zrozumie ciążący na niej w tej chwili obowiązek i potrafi spełnić go z przystojną jej godnością. Teraz głos do niej należy!»

Jeszcze ciekawszym jest głos «*Wieku XX*» ze względu, że pismo to jest codziennem uzupełnieniem «Przeglądu Wszechpolskiego, organu «Ligi Narodowej«. «Wiek XX» nie godzi się z treścią artykułu «Dziennika Polskiego», ale swoją drogą pisze:

«O tym artykule pisaliśmy wczoraj, zdania więc naszego powtarzać nie będziemy. W każdym razie w wystąpieniu «Dziennika Polskiego» nie było nic takiego, coby napad brutalny usprawiedliwiało. Załatwianie sporów dziennikarskich, czy politycznych w podobny sposób, jest tylko dowodem zdziczenia obyczajowego.

«Fakt ten zasługuje tembardziej na potępienie, że napadających było kilku, i że podobno, jak opowiadają świadkowie zajścia, po znieważeniu p. Ostaszewskiego-Barańskiego pośpiesznie opuścili lokal».

Pod tem oświadczeniem podpisał się i «Goniec Wielkopolski».

PRZEGLĄD PRASY.

— Z powodu wizyty *arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda w Petersburgu* «Journal de St-Petersbourg» mówi:

„Jego cesarska i królewska wysokość arcyksiążę Franciszek-Ferdynand przybywa do Petersburga, aby podziękować Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Panu za mianowanie go jenerałem jazdy w szeregach armji rosyjskiej. Przed kilkoma laty następca tronu austrjacko-węgierskiego był już w Rosji i pozostawił po sobie najmilsze wspomnienia. Obecny jego przyjazd nie może nie wzbudzić najżywszej i najszczerszej sympatji. Wybitne przymioty arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda zjednały mu serca narodów w Austro-Węgrzech. W Rosji zaś, gdzie imię jego cesarskiej i królewskiej mości Franciszka-Józefa jest tak bardzo szanowane, jego wysokość będzie mieć możność jeszcze raz zauważyć te uczucia, które wzbudzają ku sobie sędziwy monarcha i następca jego korony. Węzły przyjaźni tradycyjnej, wiążącej oba sąsiednie państwa, nie mogą nie zacieśnić się jeszcze bardziej przez dalsze utrzymywanie i utwierdzenie stosunków osobistych między domami panującemi, stosunków tak pomyślnych dla dobroczynnego wpływu zasad monarchicznych i utrzymania pokoju powszechnego".

Z dzienników petersburskich notujemy tu bardzo charakterystyczny głos «Swieta», poświęcony tej wizycie.

„Dla nas, rosjan—pisze dziennik—przyszłe losy Austrji nie są bynajmniej obojętne. I losy Austrji narodowościowe i losy Austrji religijne bezpośrednio nas dotyczą. W Austrji więcej niż połowę mieszkańców stanowią słowianie.

„Nie możemy zrobić tak — czytamy w innym artykule tegoż pisma — aby słowianie austrjaccy „nagle" przestali być poddanymi Habsburgów. Sami oni nie życzyliby sobie tego i chociaż prowadzą namiętną walkę z żywiołem niemieckim, stawając w obronie nienaruszalności swoich praw narodowych i swego języka, jednak walka ta nie przeszkadza im być wiernymi poddanymi swego monarchy. Rosja nigdy nie dążyła do podbicia sobie słowian zachodnich i południowych, i tylko dążyła i dąży do obcowania z nimi w Słowiańszczyznie. Pomimo różnych systemów rządu, pomimo osobistości monarchów, którym podlegają zachodnie i południowe dzielnice słowiańskie, związek duchowy Rosji ze słowiańszczyzną nie może być naruszony... Ze względu na to, jednym ze środków utrzymania związku duchowego ze słowianami austrjackimi, jest dobry sąsiedzki stosunek z Austrją".

Organ p. Komarowa, przechodząc do kwestji religijnej, wygłasza zdanie, zasadniczo różniące się od dotychczasowych poglądów na katolicyzm i protestantyzm:

„W Austrji — pisze — przeważnie panuje wyznanie rzymsko-katolickie, zasadami bliskie do prawosławia i obce rozkładowym, tak niesympatycznym i szkodliwym ideom racjonalizmu luterańskiego. Wśród mieszkańców austrjackich znajduje się przeszło 7 milj. osób wyznania czysto prawosławnego albo unickiego z obrządkiem prawosławnym. Wszystko to razem stanowi taką podstawę do przyjaznego stosunku dwóch mocarstw: Rosji i Austrji, że zapomnieć o niej niepodobna w takiej chwili, jaką jest przyjazd następcy tronu austrjackiego Franciszka-Ferdynanda do Rosji".

— Z powodu wciąż omawianego w prasie projektu przekształcenia gospodarstwa lokalnego (ziemskiego) w gub. zachodnich, który, jak wiadomo, wyklucza wprowadzenie tam prawidłowej reprezentacji ludności miejscowej, «Birż. Wied.» niedawno uczyniły taką uwagę:

„Jednakże prawidłowa organizacja, za pomocą wyborów miejscowego przedstawicielstwa, stanowi w instytucjach ziemskich tak nieodzowny składnik, że utworzone bez niego instytucje pozbawione będą właściwego charakteru „ziemskiego". Twierdzenie to rozwinął i dokładnie umotywował prof. Kuźmin-Karawajew, charakteryzujący nowe urządzenia z punktu widzenia istotnej reformy ziemskiej. Zasadnicze cechy czynnych w ciągu lat 30 specjalnych ziemskich instytucyj — pisze p. Kuźmin-Karawajew—określone zostały w ukazie d. 1 stycznia 1864 r. nader dobitnie: włożenie obowiązku zawiadywania sprawami, dotyczącemi potrzeb i korzyści każdej guberni i każdego powiatu „na miejscową ich ludność za pomocą obieralnych przez nią osób". Te cechy—udział ludności w zarządzie sprawami miejscowemi i zasada wyborcza, jako jedyny ku temu środek — oto podstawy samorządu.

„Projekt ziemskiego zarządu guberni nieziemskich mocno się różni od tych podstaw i poglądów. Twórcy projektu dążyli do stworzenia systemu urządzeń biurokratycznych, działających na zasadach, właściwych instytucjom nie-społecznym".

Wykazując, że nowa organizacja jest połączeniem rozmaitych zasad—biurokratycznej i ściśle społecznej (samorządu)—autor artykułu w «Birżew. Wied.» wypowiada zdanie, że skoro już takie pomieszanie dwóch różnych typów uznano za jedynie możliwe w gub. zachodnich, to może ono nie przynieść szkody tylko pod tym warunkiem, jeżeli równolegle z temi napół ziemskiemi instytucjami, w których zasiadać będą przedstawiciele ludności, zamianowani przez rząd, rozwinięty zostanie w szerokim zakresie system drobnych jednostek terytorjalnych, w rodzaju gmin wszechstanowych w Królestwie Polskiem.

«Kijewlanin» niedawno również wyraził zdanie, że zaprowadzenie samorządnych gmin wszechstanowych w spokojnych gub. zachodnich jest bardzo pożądane, bo nawet w Królestwie, gdzie istnieją o wiele poważniejsze względy natury politycznej, gminy takie uznane są przez rząd za bardzo pożyteczne.

— Jak wiadomo, p. Diedłow zapewniał niedawno w feljetonie «Nowego Wr.». że *bronzowy Mickiewicz* na Krakowskiem-Przedmieściu «przeklął dolę, która kazała jemu—rosjaninowi być polakiem». Z tego powodu «Piet. Wiedomosti» zamieściły artykuł, podpisany pseudonymem «Polak». Autor artykułu zaznacza, że skoro Mickiewicz powiedział dawno całemu światu, kim był, to naprawdę dziwnem jest, że p. Diedłow nie chce wierzyć samemu Mickiewiczowi. P. Diedłow kładzie nacisk na to, że Mickiewicz urodził się w gub. mińskiej. Ale w takim razie należałoby uważać i

Kościuszkę za rosjanina i należałoby również mniemać, że do rosyjskiej literatury tylko przez przypadkowe renegactwo nie weszli ani wołynianin Słowacki, ani urodzony w gub. siedleckiej Sienkiewicz, ani pochodząca z gub. grodzieńskiej Orzeszkowa.

„Sądzę—pisze autor artykułu w „Piet. Wiedomosti"—że niepodobna pociągać do odpowiedzialności żywych i umarłych polaków za to, że uważają siebie za polaków, skoro urodzili się w Kraju zachodnim. Ten kraj posiada mieszaną ludność rusko-litewsko-polsko-żydowską, a przeto mogą zeń wychodzić znakomici ludzie wszystkich czterech narodowości. Tymczasem niektórzy publicyści nie mogą odróżnić pojęcia o narodowości, od pojęcia o guberni, choć jest to rzecz bardzo łatwa. Podobną pomyłkę robią stale pruscy landraci, zmuszając pod karą pieniężną polskich Szulców do pisania swego nazwiska „Schultz", jakby w obawie, aby nie narodził się genjalny poeta polski z nazwiskiem Szulc, który, jako Schultz może być pożytecznym pruskim urzędnikiem".

Autor nazywa metodę p. Diedłowa dziwaczną i dodaje:

„Kiedyś taką metodę chciał zastosować do mnie pewien poczciwy dyrektor gimnazjalny, rozkazując mi na przyszłość mianować się—nie wiem dlaczego—małorusinem. Ja zaś doskonale rozumiałem, że pod berłem Cesarza Rosji jest chyba dość miejsca dla wszystkich słowiańskich narodowości i, nie zważając na wielkie moje dla małorusów sympatje, pozostałem tym, kim byłem, t. j. polakiem. I dlatego powtarzam: smutno mi się robi, gdy p. Diedłow przeszkadza być polakiem—nawet Mickiewiczowi".

Powyższy artykuł w całości przytoczyła niemiecka «Pet. Zeitung», a «Nowosti», przytaczając jego treść, czynią uwagę:

„Jeżeli p. Diedłow na dobre się rozmacha, to gotów jest kiedyś Szekspira zaliczyć w poczet „poszechończyków".

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Dworskie.

× W dniu 25 stycznia (7 lutego) przybył do Petersburga arcyksiążę Franciszek-Ferdynand austrjacki. Na dworcu kolejowym powitali arcyksięcia: Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan z Jego Cesarską Wysokością Następcą Tronu i Wielkim Księciem Michałem Mikołajewiczem. Arcyksiążę Franciszek - Ferdynand wraz z Jego Cesarską Mością Najjaśniejszym Panem udał się do pałacu Aniczkowskiego, gdzie przyjęty był przez Najjaśniejszą Panią Marję Teodorównę, a następnie do pałacu Zimowego, gdzie wysoki gość został przyjęty przez Najjaśniejszą Panią Aleksandrę Teodorównę. Razem z jego wysokością przybyli: jener.-lejtn. hr. Nostitz, ks. Windischgraetz, bar. Rumerskorch i lejtn. Remi.

Tegoż dnia w teatrze Ermitażu odbyło się przedstawienie teatralne, na które byli zaproszeni: członkowie ciała dyplomatycznego, ministrowie, wyżsi dostojnicy dworscy i cywilni, przedstawiciele wojsk gwardji oraz damy. O godz. 9 do sali weszli: Ich Cesarskie Mości i Ich Cesarski Wysokoście. W pierwszej parze szła Jej Cesarska Mość Najjaśniejsza Pani Marja Teodorówna z arcyksięciem Franciszkiem-Ferdynandem. Na scenie odegrano ustęp z opery «Lohengrin» i balet «Les Millions d'Arlequin». Wykonawcami w operze byli: pani Bolska i p. Figner, w balecie p. Krzesińska i inne.

Nazajutrz arcyksiążę złożył na grobie Cesarza Aleksandra III wieniec ze świeżych kwiatów i palm, przewiązanych wstęgami o barwach austrjackich. Tegoż dnia wieczorem w sali koncertowej pałacu Zimowego odbył się obiad galowy, podczas którego Jego Cesarska Mość, zwróciwszy się do arcyksięcia, wygłosił następujący toast:

«*Heureux de Vous voir parmi Nous, Monseigneur, Je bois à la santé de sa Majesté l'Empereur et Roi François-Joseph et à la santé de Votre Altesse Impériale*».

Arcyksiążę odpowiedział w te słowa:

«*Au nom de Sa Majesté l'Empereur et Roi François-Joseph et en mon propre nom, je remercie Votre Majesté de tout coeur pour les aimables paroles qu'Elle vient de prononcer.*

«*Trés touché du gracieux accueil dont je viens d'être l'objet, je bois à la santé de Votre Majesté, de Leurs Majestés les Impératrices Maria Féodorovna et Alexandra Féodorovna ainsi que de toute la Famille Impériale*».

Następne dni arcyksiąże poświęcił wizytom dworskim, oraz zwiedzeniu poselstwa austrjackiego, jakoteż instytucyj i pamiątek miasta.

D. 20 stycznia (11 lutego) u Ich Cesarskich Mości w pałacu Zimowym odbył się w sali Koncertowej drugi bal, na którym arcyksiążę Franciszek - Ferdynand był w uniformie swego bugskiego pułku dragonów. Nazajutrz jego cesarska i królewska wysokość o godz. 3 wyjechał zagranicę. W celu pożegnania wysokiego gościa, na dworzec warszawski przybyli: Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan, Jego Cesarska Wysokość Następca Tronu i Wielki Książę Michał Aleksandrowicz i inni Członkowie Rodziny Cesarskiej, oraz liczni dostojnicy.

Ogólne.

× Podług powziętych przez nas informacyj, na stanowisko kuratora warsz. okręgu naukowego, opróżnione po r. t. Zengerze, mianowanym towarzyszem ministra oświaty, powołany został rz. r. st. Szwarc, kurator ryzkiego okręgu.

× Ostatni numer urzędowych «Wied. Ministerstwa Ziemledielja» ogłasza wyjaśnienie w sprawie *kolonizacji Syberji na zasadzie prawa z dnia 8 czerwca r. z.*, o wypuszczeniu w ręce prywatne gruntów skarbowych. Podział gruntów pomiędzy kandydatów, których okazało się bardzo wielu, nie mógł dotąd się odbyć, gdyż Rada państwa i Senat nie określiły jeszcze ilości rozporządzalnej w celach kolonizacyjno-rolniczych ziemi, oraz nie ustanowiły przepisów licytacji i t. p. W projektach tymczasowo figurują następujące cyfry: w gub. tobolskiej przeznaczono dla przyszłych kolonistów 47,095 dziesięcin (pow. iszymski, tiukaliński i tarski); w tomskiej—3,544 (w powiecie marjańskim); w jenisiejskiej — 36,512 dziesięcin (pow. minusiński, aciński, kański, krasnojarski); co do gub. irkuckiej, oczekiwane są jeszcze informacje od władz miejscowych. Niektóre osoby zwracają się do ministerstwa z prośbami zupełnie niezgodnemi z prawem, prosząc np. o 20 tys. dziesięcin lub więcej. Tymczasem wszystkie prośby co do kupna gruntów skarbowych w Syberji obecnie pozostawiane będą bez skutku, póki nie zostaną dopełnione niezbędne pomiary.

× W celu rozciągnięcia większego nadzoru nad przestrzeganiem *przepisów myśliwskich*, minister spraw wewnętrznych w okólniku do gubernatorów zalecił nadzór ten wzmocnić. Odtąd gromady wiejskie mają udzielać pozwoleń na polowanie na ich gruntach tylko piśmiennie. Policja powiatowa winna zwracać uwagę nietylko na sposoby polowania, ale także śledzić dostawy i sprzedaż zwierzyny w czasie zakazanych polowań. Do tegoż samego obowiązani zostali żandarmi kolejowi i urzędnicy leśni w obrębie ich działalności. Rady miejskie winny wydać przepisy obowiązujące w zakresie handlu zwierzyną; wreszcie polecono zwrócić się do Towarzystw myśliwskich z prośbą o wyznaczenie osób, któreby pomagały do wykrywania nadużyć na polowaniach.

× Zebranie szlachty gub. moskiewskiej—jak donosi «Ros. Ag. Tel.»—postanowiło starać się, aby szlachcie moskiewskiej pozwolono *wyrazić swe zdanie* w sprawie reformy szkoły średniej.

× Dla rozciągnięcia *kontroli nad instytucjami ubezpieczeniowemi* — według doniesienia «Birż. Wied.»—wydział asekuracyjny ministerstwa spraw wewnętrznych wydelegował do wszystkich Towarzystw ubezpieczeń specjalnych urzędników. Delegaci owi mają praktycznie zaznajomić się z procedurą ubezpieczeń, aby z czasem opracować zasady prawidłowej kontroli nad Towarzystwami asekuracyjnemi, oraz przedsięwziąć środki, zmierzające do szybkiego rozwoju różnego rodzaju ubezpieczeń w Rosji.

× Jak donoszą «Nowosti», duchowni prawosławni otrzymali polecenie, aby w wypadkach naruszenia przez sekciarzy lub roskolników przepisów obowiązujących, nie zwracali się o *pomoc do policji*, lecz donosili poufnie miejscowemu biskupowi prawosławnemu, który postąpi, jak sam uzna za stosowne.

× Dzienniki rosyjskie donoszą, że wkrótce będzie mianowany *biskup prawosławny dla Mandżurji*. z rezydencją w Pekinie. W Mandżurji, jak wiadomo, istnieją już dwa biskupstwa katolickie: w Mukdenie i Girinie.

× W ministerstwie komunikacyj rozpatrywany będzie projekt osuszenia na wielką skalę *błot poleskich* w miejscowościach, przez które zamierzonem jest przeprowadzenie nowych linij kolejowych.

× Na stanowisku prezydenta m. Mińska (*gorodskoj gołowa*) zatwierdzony został *Mieczysław Rajkiewicz*, obrany przez mińską radę miejską.

W Petersburgu.

= **Deputacja.** Arcyksiążę Franciszek-Ferdynand d. 27 stycznia (9 lutego) przyjął deputację miasta Petersburga z prezydentem p. Lelanowem na czele, który złożył arcyksięciu chleb i sól w darze.

= **Raut szlachecki.** Szlachta z gub. petersburskiej d. 27 stycznia (9 lutego) w sali swoich zebrań wydała raut dla deputacji gruzińskiej, która przybyła w narodowych strojach do Petersburga, z powodu 100-nej rocznicy przyłączenia Gruzji do Rosji. Raut zaszczycili swą obecnością Ich Cesarskie Wysokoście Wielcy Książęta Mikołaj Michałowicz i Sergjusz Michałowicz; zaproszeni też byli ministrowie i liczni dostojnicy państwowi.

= **Wieczór litewski.** W sobotę 16 lutego w sali Pawłowej (Troicka 13) odbędzie się, urządzane staraniem litewsko-żmudzkiego Tow. dobroczynności, przedstawienie amatorskie w języku litewskim. Kółko amatorów pod kierownictwem p. L. Winklera, odegra dwuaktową komedję Korzeniowskiego „Okrężne" («*Pabaigtuvės*»), że śpiewami i tańcami, w strojach ludowych litewskich. W przedstawieniu brać będzie również udział chór amatorski p. Józefa Pranajtisa. Po przedstawieniu tańce.

= **Bal polski.** Urządzany przez rz.-katolickie Tow. dobroczynności doroczny „Bal polski" odbędzie się w sobotę d. 9 lutego w sali zebrań szlacheckich (*Dworiańskoje Sobranje*) na placu Michajłowskim. Świetna tradycja balów polskich w Petersburgu, na które zjeżdżają się goście z najdalszych okolic, jest niewątpliwą gwarancją powodzenia. Na gospodynie balu zaproszono panie: hr. A. Dienheim-Szczawińską-Brochocką, G. Brochocką, B. Borkowską, Z. Brzeską, B. Czechowiczową, L. Czeczottową, H. Gnoińską, W. Jacynową. Z. Kolankowską, H. Kiewnarską, M. Maleszewską, H. Piltzową, H. Pogorzelską, E. Rylską, N. Spasowiczową, W. Sędzikowską, J. Święcicką, J. Sztolcmanową, L. Wołowską, M. Wojewódzką, M. Zakrzewską, Z. Zwolińską, M. Żarnowską i J. Żukowską. Bilety imienne w cenie 5 rb. od osoby, nabywać można u pp. gospodyń balu i w zarządzie Tow. dobroczynności (Newski prosp. 32) od godz. 12 do 3 popołudniu. Początek balu o godz. 10 wieczór.

= **Koncert Barcewicza.** We wtorek bieżącego tygodnia, tłumnie zgromadzona publiczność w sali Tow. kredytowego, oklaskiwała gorąco St. Barcewicza. Znakomity nasz skrzypek, któremu równych niewielu ma w chwili obecnej Europa, święcił rzetelny tryumf. „Koncert" G-mol Brucha, parafraza z „Meistersingerów", „Intermezzo" Cui'ego, mazur Kątskiego, że nie wspomnimy o nadprogramowych utworach Sarasate'go, Wieniawskiego, Paderewskiego—oto rozległa siła siły, uczucia, śpiewności, niezrównanej biegłości technicznej, którą przebiegł świetny artysta, budząc zapał słuchaczy i zachwyt krytyków. Prasa petersburska jednomyślnie, a w wyjątkowo gorącym tonie zawtórzyła oklaskom i owacjom publiczności.

= **Z „Lutni".** W ubiegłą sobotę d. 26 stycznia grono amatorów odegrało bardzo udatnie dwie jednoaktówki: „Pokój do wynajęcia" A. Popławskiego i „Pieśń przerwaną" E. Orzeszkowej i Z. Przybylskiego. Dzięki osobistemu udziałowi w przedstawieniu znanej pianistki, p. Jadwigi Zaleskiej i staraniom wszystkich amatorów, komedyjki zjednały uczestnikom gorące brawa. Po przedstawieniu tańczono ochoczo do godz. 4 zrana. W koncercie, mającym się odbyć d. 2 lutego, uprzejmie przyobiecali udział: pani M. Żarnowska, pani A. Nebelska, panna E. Makorska, p. K. Drac, i orkiestra amatorska pod batutą p. Z. Zaremby. W d. 14 lutego w sali „Błagor. Sobr." odbędzie się doroczny bal kostjumowy.

= **Z teatrów i widowisk.** Wagnerowskie „Walkirje", wystawione w ubiegłym tygodniu na scenie Ces. opery rosyjskiej, doznały wielkiego powodzenia. Lwią część oklasków zebrała ulubienica publiczności pani Bolska.—W teatrze Maryjskim ubiegłej niedzieli odbył się pożegnalny benefis p. Henryka Czeketti, długoletniego nauczyciela szkoły baletowej przy tymże teatrze, zaangażowanego na stanowisko baletmistrza teatrów rządowych w Warszawie.—Opera włoska wznowiła dawno niewidzianego w Petersburgu „Wilhelma Tella" Rossiniego, wystawionego po raz pierwszy w 1829 r. w Paryżu. Partję tytułową śpiewał p. Battistini, partję Arnolda młody debiutant, obdarzony pięknym tenorowym głosem, p. Mariacoeur.—Teatr Tow. literacko-artystycznego wystawił tłómaczoną z francuzkiego nową komedję pp. Lenotra i Martina „Pod białą lilją" (w oryginale „Colinetta"). Treść „Colinetty", wzięta z życia Ludwika XVIII i jego dworu, jest identyczną prawie z treścią znanej komedji Sardou „Madame Sans-Gêne".—W teatrze Nowym zapowiedziane na d. 30 b. m. „Quo vadis" na czas krótki odłożono.—W teatrze „Aquarium", w dzień benefisu p. Betti Stojan, wystawiono nową operetkę Dellingera p. t.: „Szansonetka".

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Francja. „Ag. Tel. Ros." komunikuje, iż poważne dzienniki wyrażają zadowolenie z tego, że socjaliści, wrew własnej woli, wywołali w Izbie deputowanych wielką manifestację pod adresem Rosji i przymierza francuzko-rosyjskiego. „Petit Parisien" pisze: „Prawie jednomyślne zatwierdzenie kredytu dowodzi wierności naszego kraju dla tego przymierza międzynarodowego, które jest podstawą naszej polityki i głównym czynnikiem, zapewniającym pokój całego świata. Dzięki przyjaźni i przymierzu obu narodów, równowagę europejską podtrzymują ich siły wojskowe na lądzie i na morzu, ponieważ przymierze Rosji z Francją ma cel pokojowy".

Anglja. Na jednym z bankietów lord Salisbury oświadczył, że znacznie ważniejszą sprawą niż wojna boerska, jest utrzymanie potęgi angielskiej w Irlandji. Gdyby dążenia te ustały kiedykolwiek, państwo znalazłoby się w wielkiem niebezpieczeństwie. Dużą sensację wywołało oświadczenie ministerstwa w parlamencie, że rząd angielski postanowił zaniechać zamiaru obwarowania zajętego w Chinach portu Weihaiwei i zamierza urządzić tam stację klimatyczną dla oficerów angielskich. Dzienniki europejskie nie znają powodów tego ważnego kroku i oświadczają zarazem, że mogło się to stać w celach dogodzenia bądź Niemcom, bądź Rosji.

Austrja. „Neue Freie Presse" pisze w sprawie trójprzymierza, że stosunki pomiędzy Austro-Węgrami a Rosją poprawiły się doskonale, tak że można mówić o utrwalonej na długo harmonji pomiędzy temi dwoma państwami. Tak Austro-Węgry, jak i Rosja doszły do przekonania, że interesy obu stron na półwyspie bałkańskim będą zabezpieczone najlepiej na drodze szczerego, lojalnego porozumienia, i że na tejże drodze będzie usunięte niebezpieczeństwo udręczających rozczarowań. Podróż arcyksięcia dopełnia istniejące położenie pokojowe.

Niemcy. Z Berlina komunikują, że cesarz Wilhelm uda się z wizytą do Petersburga w połowie lipca. Będzie on obecny na rewji artylerji morskiej pod Rewlem.

Turcja. Sądy tureckie skazały szwagra sułtańskiego, Mahmuda Damata baszę, *in contumaciam* na śmierć. Jak wiadomo, basza ten przed paru laty wyemigrował z Turcji zagranicę. Skazanie na śmierć nastąpiło pod zarzutem zdrady stanu. Skazano również na śmierć dwóch współtowarzyszów baszy.

Transwaal. Rząd angielski zakomunikował w Izbie gmin, że kopje noty holenderskiej w sprawie pokoju przesłano wodzom boerów, stojącym w polu. „Agencja Reutera" donosi: Lord Kitchener zarządził wielką obławę w celu schwytania De-Weta. Oddziały angielskie wraz z linjami fortów otoczyły pierścieniem rozległą przestrzeń dokoła Frankfortu. Anglicy pod dowództwem samego Kitchenera osaczyli oddział De-Weta, liczący 2 tys. ludzi. De-Wet podzielił swe siły na drobne oddziały i polecił im przedzierać się w rozmaitych kierunkach. Boerzy, pędząc przed sobą bydło, zdołali przerwać pierścień, pozostawiając 280 zabitych, rannych i wziętych do niewoli. De-Wet umknął i zgromadził rozproszonych swych ludzi pod Heilbronem.

Chiny. Do „Timesa" donoszą z Szanghaju: Po śmierci Li-Hung-Czanga zaczęły wyraźnie zawiązywać się stosunki przyjacielskie pomiędzy Chinami a Japonją. Zbliżenie ujawnia się zwłaszcza w postępowaniu wice-królów Peczili i prowincji w okręgu Jangtse, którzy bardzo chętnie słuchają rad japończyków w sprawach reorganizacji.

SKOROWIDZ ADRESÓW.

DR. BARBARA BURBO, b. kilkoletnia asystentka prof. okulistyki Wicherkiewicza, a także w sanatorjum D-ra Lahmanna na Weissen-Hirsch pod Dreznem. Wilno. Zawalna ul. d. Reform. Kollegjum. Choroby oczu i wewnętrzne. Od 9—1 g. rano, dla biednych bezpłatnie we wtorki i piątki od 4—6 pop.

DR. JAN PILTZ, specjal. od chorób nerwowych, osiadł w Warszawie; przyjmuje od godziny 9 — 10 rano i od 4—6 po poł. Piękna 14.

NADESŁANE.

WYSZŁY Z DRUKU
WINCENTEGO KOSIAKIEWICZA
POEZJE.
Są do nabycia w warszawskim Kantorze „Kraju". Marszałkowska 119.
Cena 1 rb., z przesyłką 1 rb. 25 k.

KRONIKA.

Kościół i duchowieństwo.

* Z Watykanu donoszą „Przeglądowi Katolickiemu", że w d. 3 marca, razem z rocznicą koronacji Leona XIII, rozpoczyna się **dwudziesty piąty rok panowania Papieża**, czyli rok jubileuszowy Jego papieztwa, który będzie uroczyście obchodzony. Leon XIII doczekał się trzeciego swego jubileuszu: biskupiego, kardynalskiego i papiezkiego. „Okoliczność ta—pisze „Przegląd"—wezwie zapewne ludy z najdalszych stron do oddania hołdu głowie Kościoła, jednemu z najrozumniejszych następców św. Piotra, apostołowi połączenia kościołów, mistrzowi filozofji katolickiej, protektorowi nauk (jak między innemi świadczy otwarcie ogromnego archiwum watykańskiego), mądremu nauczycielowi w kwestjach społecznych, autorowi wspaniałych encyklik i praktyki socjalnej, ojcu robotników i opiekunowi pokoju". O zdrowiu Ojca św. opowiada tak jeden ze świadków przyjęcia przez Papieża arystokracji rzymskiej: „Na przemowę odpowiedział Leon XIII długą,

kwadrans trwającą alokucją. W owej chwili można było dobrze ocenić stan jego sił fizycznych i moralnych. Mówił długo, głosem nieco stłumionym, z niejaką trudnością wydobywającym się, ale względnie dobitnym, gestykulując ciągle bladą, trzęsącą się, chudą ręką. Na twarzy malowała się starość, ciężar lat, i widać było, że w tem ciele duch tylko jeszcze podtrzymuje siły i daje wrażenie siły umysłowej".

* Z Rzymu donoszą, że obecnie bawi tam **J. E. ks. Władysław Zaleski**, arcybiskup tytularny tebański, który piastuje godność delegata apostolskiego na Indje wschodnie, z siedzibą w Cejlonie (Colombo). Ks. arcybiskup jest rodem z Litwy, i klimat cejloński nie służy mu na zdrowie. Przypuszczano, że Stolica Apostolska chciała zamianować ks. arcybiskupa delegatem apostolskim na Stany Zjednoczone, w miejsce msgr. Murtinellego, który mianowany został kardynałem i w maju wróci do Rzymu. Ale nominacja polaka na tak wysoki urząd do Ameryki, gdzie wszyscy biskupi używają języka angielskiego, przedstawiała trudności. To też mówiono o innej kombinacji, mianowicie o wysłaniu ks. arcybiskupa Zaleskiego na delegaturę do Holandji, albo mianowaniu go podsekretarzem kongregacji Propagandy wiary św. Obecnie otrzymujemy od naszego korespondenta rzymskiego wiadomość, że ks. arcybiskup Zaleski zostaje nadal delegatem apostolskim w Indjach wschodnich i powraca w kwietniu na swoje dawne stanowisko do Cejlonu.

* We Lwowie na uczczenie 25-tej rocznicy pontyfikatu Leona XIII, urządza „Czytelnia katolicka" **wykłady o wieku XIX** (w odczytach bezpłatnych tygodniowych) na głównych polach wiedzy, sztuki, literatury, ruchu społecznego, socjalnego, kościelnego, na tle rozwoju idei chrześcjańskiej. W prelekcjach weźmie udział 13 profesorów uniwersytetu: lwowskiego i krakowskiego, oraz literatów, a dwaj arcypasterze ormiański i polski uświetnią wykłady swemi przemówieniami.

* Bardzo ważną sprawę poruszył niedawno w „Gaz. Polskiej" ks. L. Nowicki, podnosząc projekt urządzenia w Warszawie przytułku dla **chorych lub zniedołężniałych księży**. W siedmiu djecezjach Królestwa jest z górą 2 tys. księży. Gdyby każdy dał jednorazowo po 10 rb., zebrałoby się 20 tys. rb. na ufundowanie zakładu; parafij jest 1,700, a gdyby każda dała po 15 rb., zebrałoby się jeszcze 25 tys. rb. Rocznie każdy kapłan dać może po 5 rb., i tyleż każda parafja, co wyniosłoby 18 tys. rb. rocznego subsydjum. W tych warunkach możnaby utrzymywać w przytułku 100 niedołężnych kapłanów, obecnie częstokroć cierpiących nędzę. Projektodawca wskazuje na dom pokłasztorny przy parafji na Lesznie w Warszawie, jako na odpowiedni gmach dla przytułku. Istotnie projekt ks. Nowickiego zasługuje na usilne poparcie ze strony duchowieństwa.

* W Kownie w końcu r. z. zmarł ś. p. ks. Justyn **Dawidowicz**, dawniej rektor seminarjum i prałat katedry kowieńskiej. „Przegl. Kat." nazywa go ozdobą djecezji żmudzkiej.

Prawo i sądy.

** Przed sądem okręgowym warszawskim odbyły się rozprawy przeciw redaktorowi „Wieku" Kazimierzowi **Zalewskiemu**, oskarżonemu o potwarz przez firmę księgarską Gebethnera i Wolffa, która uznała za uwłaczające swej czci dwa artykuły, zamieszczone w r. 1899 w „Wieku", p. t.: „Ten drugi" i „Jeszcze sztuczki kramarskie". W obu artykułach zawierał się zarzut, jakoby firma Gebethner i Wolff wyzyskiwała autorów, drukując pokryjomu ich utwory w większej ilości, a nawet wydając dzieła bez wiedzy właścicieli. W imieniu firmy Gebethnera i Wolffa stawał adw. przys. Kijeński, oskarżonego zaś bronili adw. przys. Likiert i Ettinger. W charakterze świadków przedefilowali przed sądem prof. Struve, Jędrzejewicz, Jeleński, Ant. Pietkiewicz (Pług), Fiszer, Rajchman, Buchner, W. Łoś, Orłowski i M. Gawalewicz. Ci jednak tylko w bardzo szczupłej mierze potwierdzili te fakty, na które powoływała się obrona, co dało nawet asumpt p. Likiertowi do zaznaczenia, że i w tem odbija się potęga firmy wydawniczej. Po 3-dniowych rozprawach sąd ogłosił wyrok, skazujący redaktora Zalewskiego na 2 tygodnie odwachu.

** W tych dniach przed sądem okręgowym warszawskim stanęli artyści-malarze, p. Wacław **Pawliszak** i Antoni **Austen**, pod zarzutem zbrodni pojedynku. W dniu 15 czerwca r. ub. w gmachu Tow. zachęty sztuk pięknych, pomiędzy wymienionymi artystami, z których Pawliszak był niezadowolony z wyznaczonego przez Austena miejsca dla jego obrazu, przyszło do zajścia, zakończonego zniewagą czynną. Austen wyzwał Pawliszaka, i pojedynek na pistolety odbył się w dniu 19 czerwca we wsi Ursynów pod Wilanowem. Dwa wystrzały chybiły, tylko rękaw paltota p. Austena został opalony. Oskarżeni przyznali się do winy, i sąd po krótkiej naradzie ogłosił wyrok, skazujący obu na **9 dni odwachu**.

** Sprawa **d-ra M. Przyborowskiego** była w tych dniach powtórnie rozpoznawaną przez Izbę sądową warszawską; oskarżonego bronił adw. przys. Ettinger; na ten raz Izba sądowa uchyliła wyrok sądu okręgowego, uwalniając Przyborowskiego od wszelkiej odpowiedzialności.

** W dniu 28 stycznia, w sądzie okręgowym wileńskim rozpoczął się proces **Blondesa**, żyda-felczera, oskarżonego o usiłowanie zabójstwa na osobie swej służącej. Oskarżonego bronią adw. przys. Mironow i adw. przys. Gruzenberg z Petersburga.

Szkoły i młodzież.

*** Jak donosi „Słowo", jen. Paweł Chrzanowski wystąpił do ministerstwa oświaty ze staraniami o otwarcie w **Warszawie gimnazjum filologicznego** z prawami zakładów rządowych. Zakład projektowany oddałby sprawie wychowania młodzieży tutejszej doniosłe usługi. Brak miejsca w gimnazjach warszawskich skłania rodziców do wysyłania dzieci na prowincję, co jest połączone ze znacznemi kosztami. W początkach bieżącego roku szkolnego, na 945 kandydatów do gimnazjum rządowych, przyjęto ledwie 126. Rezultat starań projektodawcy nie jest jeszcze wiadomy.

*** Pisma donoszą, że nowe organizacje studenckie, na mocy „przepisów czasowych", wydanych przez ministerstwo oświaty, zaprowadzają studenci **warszawskiego instytutu weterynaryjnego**. Na ogólnem zebraniu studentów postanowiono przystąpić bezzwłocznie do założenia czytelni studenckiej, bibljoteki i kasy pomocy wzajemnej. Istniejącą już tanią kuchnię studencką postanowiono podciągnąć pod „przepisy czasowe".

*** W celu wyrobienia wśród wychowańców samodzielności, niektóre szkoły handlowe od nowego roku skasowały **nadzór nad uczniami** po za szkołą. Uczniom od czasu do czasu nauczyciele dają wskazówki, jak należy zachowywać się na zebraniach publicznych, w urzędach i instytucjach społecznych.

Różne.

⊥ W „Piet. Wied." wydrukowany został obszerny artykuł p. Antoniego Gustowskiego, p. t.: **„Społeczne znaczenie pracy ślepców"**. Autor, nasz rodak, sam niewidomy, zwraca uwagę na nową gałąź zarobkowania, dostępną dla ślepców, mianowicie **masaż**. Niewidomi posiadają bardzo rozwinięty zmysł dotyku, co czyni ich bardzo zdatnymi do uprawiania masażu, który staje się coraz bardziej niezbędnym przy leczeniu różnych chorób. Autor sądzi, że masażyści tacy będą potrzebni w coraz liczniejszych ambulatorjach, które powstają na

wsi kosztem ziemstw, gmin i klasztorów. Tow. Czerwonego Krzyża mogłoby także przyjść niewidomym z pomocą, dostarczając im takej pracy. P. Gustowski przytacza fakt, że w zeszłym miesiącu 8 niewidomych osób (w tem trzy kobiety) zdały egzamin z anatomji i fizjologji w Akademji lekarskiej w Petersburgu. Masaż obecnie jest drogi; praca niewidomych mogłaby jego cenę obniżyć i uczynić dostępną dla wszystkich klas ludności, a jednocześnie społeczeństwo nie ponosiłoby tylu kosztów utrzymania ślepców, których ilość autor podaje w Rosji na 200 tys., a na kuli ziemskiej—na 2 milj. Dodać należy, że p. Gustowski przed paru laty odbył podróż do Japonji, aby wystudjować swoją specjalność w tej klasycznej krainie masażu.

⊥ Zmarły niedawno w Monachjum dr. Sigl, wydawca „Vaterlandu", znany wróg prusaków, zapisał między innemi w testamencie 2 tys. m. na rzecz monachijskiego, stowarzyszenia dziennikarzy i literatów z warunkiem, aby **z legatu tego nie korzystał żaden prusak**. Więc i po śmierci swej dr. Sigl pragnął napiętnować prusactwo.

⊥ Pismo żydowskie „Hamelic" donosi, że studenci w Genewie, należący do narodowości, niesprzyjających Turcji, jako to: macedończycy, armeńczycy, bułgarzy i rumuni, do których przyłączyli się również polacy, rosjanie, szwedzi i kilku także żydów—uchwalili zaprotestować **przeciw adresowi hołdowniczemu**, jaki wystosowali sjoniści **do sułtana tureckiego** na ostatnim kongresie w Bazylei.

Wypadki.

⨯ W Zakopanem d. 25 stycznia spłonęła do szczętu znana willa **„Polonia"** przy ul. Zamojskiego. Pożar wybuchł w mieszkaniu d-ra Wincentego hr. Tyszkiewicza, w którem leżała ciężko chora jego małżonka. Ogień, rozdmuchany wichrem halnym, ogarnął cały budynek, lecz p. Tyszkiewiczowa zdołała owinąć dziesięciotygodniowe dziecko w futro i wybiedz na śnieg, gdzie padła zemdlona. Poblizką willę „Jordanówkę" i gmach poczty zdołano uratować.

⨯ Skrytobójczą śmiercią zginął w domu własnym p. Władysław **Sięgajewski**, właściciel majątku Szatryszcze pod Zytomierzem. W czasie kolacji w gronie rodziny, nagle z za okna rozległ się strzał, a p. S., ugodzony całym nabojem w piersi, **runął martwy** na podłogę. Pomimo natychmiastowego poszukiwania, zbrodniarz, wśród ciemności, zdołał zbiedz.

⨯ Angielski **okręt wojenny „Kondor"** z załogą 130 ludzi, wypłynąwszy d. 2 grudnia r. z. z portu Esquimault w Kolumbji angielskiej do Honolulu na wyspach Hawajskich, **przepadł bez wieści**. Wysłany na poszukiwanie zaginionego okrętu d. 22 grudnia krzyżowiec „Phaeton", powrócił do San-Francisco, nie spotkawszy nawet śladów po „Kondorze". Ponieważ w najgorszym nawet razie przestrzeń pomiędzy Esquimault a Honolulu parowce odbywają w 8—10 dni, przeto jest ogólne przypuszczenie, że „Kondor" zatonął w czasie burzy z całą załogą.

⨯ Na wyspach japońskich **dwie kompanje piechoty**, w sile 210 ludzi, zaskoczone w drodze przez straszny huragan śnieżny, zabłąkały się, zmarzły i zostały **zasypane śniegiem** do szczętu. Nadludzkim wysiłkiem udało się uratować 4 oficerów i 7 żołnierzy. Dalszy ratunek był niemożliwy, ponieważ zamieć srożyła się wciąż i góry śniegu piętrzyły się coraz wyżej. Europejczycy, zamieszkali w Japonji, przyłączyli się do składek na rzecz rodzin, pozostałych po tych dzielnych żołnierzach japońskich.

Sport.

> W ciągu ostatnich lat siedmiu (1895—1901) najwięcej z polskich i wogóle wszystkich **stajni wyścigowych** w Rosji wygrała stajnia **J. Reszkego** 696 tys. rb., t. j. przeciętnie 100 tys. rocznie. Najpomyślniejszy był dla niej rok 1901 z wygraną 171½ tys. rb. Stajnia **L. Grabowskiego** wygrała w tym czasie 516½ tys. rb. (najwięcej w 1895 roku—109 tys. rb.). Stajnia **H. Blocha** ogółem zdobyła 350 tys. rb. (najwięcej w 1901 roku—92 tys. rb.). Konie ks. **Lubomirskich** poczęły uczestniczyć dopiero w r. 1896 i w ciągu lat 6 wygrały 328 tys. rb. (najwięcej w 1900 r.—87 tys. rb.). Na piątem miejscu z polskich hodowców stoi stajnia hr. ordynata **M. Zamoyskiego** z wygraną 316 tys. rb. (najwięcej w 1898 roku — 86 tys. rb.). Zaznaczmy w końcu stajnie: Aug. hr. **Potockiego** z ogólną wygraną 229½ tys. rb. (najpomyślniejszy 1898 rok—około 57 tys. rb.), i **St. Sonnenberga**—223½ tys. rb. (najwięcej w 1900 r. — 65 tys. rb.).

BIURO INFORMACYJNE

PRZY REDAKCJI „KRAJU"

udziela odpowiedzi na zapytania czytelników, mające charakter ogólniejszy i dotyczące stosunków administracyjnych, prawnych, społecznych, ekonomicznych i t. p.

Nr. 1077. (*W. Omega w Antwerpji*). Egzaminy na stopień nauczyciela przedmiotów specjalnych w szkołach handlowych zdają się przy komisjach egzaminacyjnych, wyznaczonych przez ministra skarbu przy szkołach handlowych. Egzaminy odbywają się 3 razy rocznie: w początkach września, grudnia i marca. Kandydaci winni wnosić podania do komisji egzaminacyjnej. Kandydaci, posiadający dyplomy zakładów naukowych średnich, mogą uzyskać prawo wykładu tylko w niższych szkołach handlowych. Po zdaniu egzaminów i 3-miesięcznej praktyce w szkole pod kontrolą nauczycieli, oraz daniu 3 próbnych lekcyj, kandydat może uzyskać dyplom nauczycielski od departamentu handlu i przemysłu. Przedmioty specjalne są: buchalterja, nauka o towarach i geografja komercyjna, jako główne, oraz arytmetyka komercyjna, korespondencja handlowa i ekonomja polityczna, jako pomocnicze. Dotąd opracowano tylko program szczegółowy dla egzaminu na stopień nauczyciela buchalterji—trzeba zdawać egzamina z ekonomji politycznej i prawa handlowego, arytmetyki komercyjnej, rachunkowości, teorji buchalterji i zastosowania jej do operacyj handlowych i z korespondencji. Trzeba też wykazać znajomość z literaturą fachową rosyjską, a zaleconem jest obeznanie się i z głównemi dziełami w językach niemieckim i francuzkim (Noback, Findeisen und Gleizberg, Hügli, Jöger, Kheil, Schäv, Schiller, Dany, Barré, Courcelle, Faure, Guilbaut, Lefévre, traktat Łukasza Pacciol).

Nr. 1078. (*W. Józ. Bos. w Sar.*). Ustawa o majątkach t. zw. „zapowiednych" nie ma zastosowania w Królestwie Polskiem, zarówno jak na Kaukazie i w kraju bałtyckim. W Kraju zachodnim prawo ustanawiać takie ordynacje mają tylko osoby, posiadające tam prawo nabywania nieruchomości ziemskiej.

ZAŚLUBINY I ZARĘCZYNY.

Dnia 8 (21) stycznia, w kościele paraf. w Kutkowcach pod Kamieńcem, pobłogosławiony został związek małżeński panny Wandy **de Hajenny Kotwicz-Tołkaczówny**, córki Apollona i Eleonory z Balickich, właśc. dóbr Skotyniany na Podolu, z p. Szczęsnym **Rogala-Zawadzkim**, synem Felicji z Szaniawskich i ś. p. Ludwika, b. wł. dóbr Lubiczyn i Chrzonów w Król. Pols., wnuka Jana Zawadzkiego, ostatniego miecznika woj. Lub., i Marji z Glempów v. d. Strepa, potomkiem zaś Jana Zawadzkiego, wojewody parnaw., kasztel. gdańs., sławnego w dziejach Polski dyplomaty. W uroczystości tej brały udział pokrewne rodziny Tołkaczów, Zawadzkich, Giżyckich, Małachowskich, Stroynowskich, Giecewiczów, baronów Fokelmenów, Balickich, Skarbków, Toczyskich, bar. Osten-Sackenów i w. in. Z różnych stron kraju i z zagranicy nadesłano kilkaset powinszowań telegraficznych.

W kościele ewang.-augsburskim w Warszawie odbył się ślub p. Ottona **Albertiego**, dyrektora warsz. zakładów gazowych, z panną **Hudry** z Genewy, siostrą członka rządu szwajcarskiego.

Dnia 5 lutego w Warszawie odbyła się uroczystość zaślubin p. Janiny **Przemyskiej** z p. Aleksandrem **Gudziszem**, sztabskapitanem 26-go Mohylowskiego pułku.

W kościele N. Marji Panny Łaskawej (po-pijarskim) w Warszawie pobłogosławiony został związek małżeński pomiędzy panną Stanisławą **Fijałkowską** a p. Apolonjuszem **Kędzierskim**, artystą-malarzem.

W kościele ewangelicko-augsburskim przy ul. Królewskiej w Warszawie zawarty został związek małżeński pomiędzy p. Adamem-Marcinem **Wojciechowskim**, inżynierem z Kijowa, a panną Wacławą-Emilją **Pomińską**.

W Łodzi d. 8 lutego pobłogosławiony został związek małżeński redaktora krakowskiej „Ilustracji Polskiej", p. Ludwika **Szczepańskiego** z panną Lucyną **Libiszowską**, córką ś. p. Józefa i Stefanji ze Stokowskich.

We środę 5 lutego odbył się we Lwowie w kościele oo. Jezuitów ślub Jana **hr. Tarnowskiego**, syna Stanisława hr. Tarnowskiego ze Śniatynki i Jadwigi z Piegłowskich, z Anną **hrabianką Dzieduszycką**, córką ś. p. Stanisława i Zofji z Morawskich.

Z Rzymu donoszą nam: Dnia 5 lutego odbył się tutaj w kościele św. Alfonsa Liguorego na via Merulana, obrzęd zaślubin panny Marji **Ślizieniówny** z Czesławem **hr. Krasickim** z gub. wileńskiej. Aktu kościelnego dokonał ks. Józef Chrzanowski, wikarjusz przy kościele S-ta Maria in via Lata i kanonik bazyliki S-ta Maria Maggiore.

DONIESIENIA.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT **FERDYNANDA HÖSICKA**, wydawcy „Bibljoteki ilustrowanej dla młodzieży" **w Warszawie**, przy ul. Senatorskiej № 496, posiada zawsze na składzie **wszelkie nowości literackie** we wszystkich językach: Przyjmuje prenumeratę na **wszystkie pisma** w kraju i zagranicą wychodzące. Główny skład **Globusów, Tellurji i Planetarji.**

Zakład dla zboczeń mowy

(niemota, jąkanie, bełkotanie i t. d.) **D-RA OŁTUSZEWSKIEGO**, Warszawa, Marszałkowska 67 (internat dla dzieci upośledzonych umysłowo).

Dla nerwowo chorych dom zdrowia

D-ra Dydyńskiego w Warszawie, ul. Bagatela 6, w osobnej willi wśród ogrodów. Cena pokoju z leczeniem i wykwintnem utrzymaniem od 4—7 rb. dziennie. Umysłowo chorzy wyłączeni. Stały lekarz. (1106)

☛ Do dzisiejszego numeru „Kraju" dołącza się prospekt **„Bibljoteki Samokształcenia"**.

NEKROLOGJA.

Ś. p. † Antonina z Lutkiewiczów Sawicka.

29-ty grudzień r. z. okrył żałobą wiele rodzin na Żmudzi, spokrewnionych lub spowinowaconych z ś. p. Antoniną z Lutkiewiczów Hipolitową Sawicką, zmarłą w Wilnie, w wieku lat 8[illegible]. Życie patrjarchalne tej zaiste chrześcjańskiej niewiasty upłynęło niepostrzeżenie; bo obowiązki i proza życia nie stłumiły nigdy jej młodzieńczego zapału, a doświadczenia nie zgoryczyły jej charakteru. Przechodząc rozmaite koleje w życiu, rozstając się z synem podczas zaburzeń krajowych, pozbawiając się najmilszych dla niej kątów w majątkach Albrychtowie i Dyrmejki, gdzie długie lata gospodarowała wzorowo i słynęła z gościnności — ciepło swego serca i swobodę umysłu zachowała do zgonu. Wyjątkowo sympatyczna dla wszystkich otaczających, zawsze w dobrym humorze, żyła sercem, wylanem dla drugich.

Po zmarłej w młodocianem wieku córce ś. p. Skirmontowej, następnie Chludzińskiej, pozostałe na jej ręku wnuczki, hodowała i kształciła wzorowo, wydała za mąż i doczekała miłych prawnuków. To też patrjarchalne stanowisko jej w rodzinie i sąsiedztwie osłodą było jej chwil ostatnich i kilkudniowej choroby, która jej skróciła doczesny i pracowity żywot. Synowie ś. p. Sawickiej, pp. Cezary i Sobiesław, złożyli ukochaną matkę na Rosie w Wilnie, do grobowca brata, który wrócił z emigracji. My zaś sąsiedzi, krewni i przyjaciele, zachowując ją w pamięci, łączymy westchnienie do Boga, prosząc o spokój jej duszy. *Gazdawa.*

Dnia 5 lutego r. b. zmarł, po krótkich lecz ciężkich cierpieniach, w Warszawie

ś. p. † Aleksander Trzaska-Chrząszczewski,

obywatel ziemski, przeżywszy lat 66.

Zwłoki pochowane zostały d. 8 lutego po nabożeństwie z kościoła Św. Krzyża, na cmentarzu Powązkowskim. O czem zawiadamia żona, dzieci, wnuki i rodzina.

LISTA ZMARŁYCH.

† **Kuczkowski** Michał, lat 76—w Warszawie. **Rakowski** Aleksander-Michał, asesor farmacji gub. radomskiej, lat 34—w Warszawie. **Silnicki** Józef, b. ob. ziemski, lat 59 — w Warszawie. **Stecki** Edmund, były marszałek pow. owruckiego—w Warszawie. **Trzaska-Chrząszczewski** Aleksander, ob. ziemski, b. sędzia gminny, lat 66—w Warszawie.

† **Bobowski** Karol, lat 80—w Puhaczach. **Ozarnowski** Aleksander, ob. ziemski—w Łękach. **Junosza-Cieśliński** Feliks, b. ob. ziemski, lat 58 — w Sieradzu. **Kryński** Franciszek, b. wychowaniec Instytutu w Marymoncie, b. ob. ziemski, lat 75—w Micinie. **Nieczykowski** Franciszek, b. ob. ziemski i sędzia gminny, lat 77 — w Chrapkach. **Roszkowski** Ildefons, ob. ziemski, lat 67—w Gończycach. **Ślepść-Dunin** Ignacy, lat 78—w Petersburgu. **Szołowski** Władysław, lat 42—w Grodzisku.

† **Lenartowiczowa** Wincenta z Lenartowiczów—w Ustrzyskach dolnych w Galicji.

EKONOMISTA.

PRZEGLĄD.

[Specjalna rada do spraw przemysłu rolniczego. Towarzystwo rolnicze, czy spółka-syndykat? Wileński Bank ziemski].

«Dla wyjaśnienia potrzeb przemysłu rolniczego, obmyślenia środków, skierowanych ku pożytkowi tego przemysłu i połączonych z nim gałęzi pracy ludowej», na rozkaz Najwyższy utworzona została pod przewodnictwem ministra skarbu specjalna rada, złożona z osób Najwyżej mianowanych. W poprzednim numerze «Kraj» podał skład tej rady, z którego widać, że obok ministrów rolnictwa i spraw wewnętrznych oraz ich towarzyszów, wchodzą do niej członkowie Rady państwa, sekretarze stanu i inni najwyżsi dostojnicy urzędowi. Już sam ten dobór członków wskazuje na nadzwyczajne znaczenie i szerokie pełnomocnictwo nowej organizacji. Prasa rosyjska przypisuje też jej zadania i cele bardzo daleko sięga-

jące. «Piet. Wiedom.» zaznaczają, że sprawy rolnictwa w Rosji, zatrudniającego około 100 milj. ludności, są zarazem sprawami całego stanu wiejskiego. Istotnie, życie ludu jest tak zawisłe od warunków gospodarstwa na roli, i odwrotnie, rolnictwo znajduje się w takiej zależności od stosunków prawnych, zwyczajowych i ekonomicznych ludu, że wyjaśnienie potrzeb przemysłu rolniczego i wybór środków, zmierzających do jego poprawy, nie może być przedsięwzięty bez zbadania uprzednio tych właśnie stosunków, oraz ich uregulowania. Z tego też punktu widzenia «Piet. Wied.» wyrażają przekonanie, że zadaniem rady specjalnej nie powinny być i nie będą sprawy techniki rolniczej lub paljatywy w stosunkach handlu produktami rolnictwa, ale zasadnicze reformy w układzie stosunków prawno-społecznych na wsi, oraz w systemie dotychczasowej polityki ekonomicznej. Wobec tak szeroko pojmowanego zakresu działalności rady specjalnej, tem większą ma doniosłość. Najwyżej nadane ministrowi skarbu prawo zapraszania do udziału w obradach osób postronnych, których zdanie mogłoby się okazać pożytecznem.

Zwołanie specjalnej rady rolniczej, jak widzimy z zakresu jej działalności, nietylko nie wyklucza, ale przeciwnie, jeszcze bardziej potęguje znaczenie miejscowych stowarzyszeń rolniczych, uzupełniających niejako czynności rady w zakresie fachowym. Przy tej sposobności nasuwa się mimowoli pytanie, zajmujące obecnie sfery rolnicze: która mianowicie z form stowarzyszenia: Towarzystwo rolnicze, czy spółka-syndykat jest dla stosunków rolnych u nas odpowiedniejszą? Kwestję tę roztrząsał bardzo szczegółowo p. J. Jeziorański na grudniowem posiedzeniu piotrkowskiej spółki rolnej. Różnice pomiędzy obu formami stowarzyszeń warunkują się ich ustawą. Otóż ustawa towarzystw rolniczych głosi: «Towarzystwa mają na celu dopomagać połączonemi siłami swoich członków do rozwoju i doskonalenia się rolnictwa i przemysłu wiejskiego». Wedle ustawy spółek: «Spółka ułatwia miejscowym rolnikom zakupno niezbędnych towarów, wydaje pożyczki na ich zastaw i wypełnia zlecenia rolników w zakresie ich zawodu i potrzeb». Dla spełnienia swego zadania towarzystwa mają wskazane: 1) zebrania perjodyczne, zjazdy i wycieczki; 2) publikacje rolnicze i wydawnictwo własnego organu; 3) konkursy i stacje doświadczalne; 4) wystawy, licytacje i przysądzanie nagród, i 5) pośrednictwo w sprzedaży płodów rolnych i w zaopatrywaniu gospodarstw w przedmioty niezbędne, do czego służą biura komisowe i składy rolnicze. Natomiast spółki rolne, obok prawa kupna i sprzedaży, mogą «naradzać się nad ogólnemi potrzebami rolnictwa», ale nic więcej.

Już z powyżej przytoczonego widać, że Towarzystwo rolnicze może doskonale objąć w sobie działalność spółki, pod postacią oddziału handlowego; natomiast spółka nie może zastąpić Towarzystwa we wszystkich sprawach techniki rolnej i przemysłu wiejskiego. Nadto w rozumieniu ministerstwa rolnictwa, towarzystwa rolnicze przedstawiają rolnictwo na przestrzeni swojej działalności i z tego powodu powoływane bywają do udzielania zdań. i do narad zbiorowych. Spółki rolnicze uważają się za stowarzyszenia handlowe i nie bywają zapytywane o zdanie. W towarzystwach rolniczych opłata roczna może być skromna, co ułatwia pozyskiwanie członków i rozszerza działalność. Spółki zaś potrzebują kapitału, udziały więc w nich muszą być znaczniejsze i tylko dla zamożniejszych dostępne.

Wszystko to sprawia, że z dwu form stowarzyszeń rolniczych, bezwarunkowo oświadczyć się trzeba za towarzystwem rolniczem. Tymczasem w 10 guberniach Królestwa Polskiego mamy zaledwie 4 towarzystwa rolnicze (w Kielcach, Łomży, Płocku i w Suwałkach) i aż 6 spółek w pozostałych guberniach. Że jednak przewaga po stronie Towarzystwa została uznaną, stwierdza fakt, że stowarzyszeni spółek rolnych w Kaliszu, Lublinie, Radomiu i w Warszawie rozpoczęli starania o utworzenie i towarzystw rolniczych dla rzeczonych guberni. Jak się dowiadujemy, pod wpływem wzmiankowanego odczytu p. Jeziorańskiego, do tegoż samego wniosku przyszli i piotrkowianie. Jeżeli takąż uchwałę powezmą i ziemianie siedleccy, wówczas w każdej z 10 guberni Królestwa będzie funkcjonowało Towarzystwo rolnicze, co ma tę dobrą jeszcze stronę, że pozwoliłoby ujednostajnić działalność stowarzyszeń rolniczych w całym kraju i ułatwiłoby zadanie pewnego scentralizowania tej działalności, do czego, naszem zdaniem, z natury rzeczy powołaną jest warszawska sekcja rolna, a co ze wszech miar uważaćby należało za rzecz pożądaną.

W sprawozdaniu z ostatniego ogólnego zgromadzenia akcjonarjuszów wileńskiego Banku ziemskiego, «Wil. Wiestnik» przytacza mowę jednego z akcjonarjuszów, p. Korwin - Milewskiego, stanowiącą prawdziwy akt oskarżenia, wytoczony przeciwko zarządowi Banku. Oskarża w nim p. Milewski zarząd o szereg przekroczeń ustawy, o zaniedbywanie interesów zarówno dłużników, jak akcjonarjuszy, wreszcie o nepotyzm. Pod wpływem tej mowy inny z pp. akcjonarjuszów wystąpił nawet z propozycją zwrócenia się do ministerstwa skarbu z prośbą o zarządzenie rewizji czynności zarządu, którą to propozycję ogólne zgromadzenie jednak uchyliło. Wobec rozgłosu, którego sprawa obecnie nabrała, przez poruszenie jej na szpaltach półurzędowego organu wileńskiego, nie wątpimy, że zarząd Banku, cieszącego się opinją wzorowo prowadzonej instytucji, wystąpi z rzeczowem sprostowaniem zarzutów.

J. G—r.

Zabezpieczenie starości robotników.

Odczyt pod powyższym tytułem wygłoszony przez hr. L. Skarzyńskiego w Tow. popierania przemysłu i handlu w Petersburgu, porusza sprawę ogromnej doniosłości. Wskutek rozwoju bowiem nauk socjologicznych, społeczeństwa coraz bardziej przychodzą do przekonania, że robotnik, mający zabezpieczoną starość, jest czynnikiem znacznie bardziej dodatnim zarówno pod względem moralnym, jak i wydajności pracy, niż robotnik bez przyszłości, żyjący tylko chwilą obecną i starający się wyzyskać ją w miarę możności. Z tego też względu ubezpieczenia bądź to dobrowolne, w formie stowarzyszeń wzajemnej asekuracji, bądź też przymusowe, rządowe, obejmują coraz szersze warstwy ludności robotniczej we wszyskich krajach cywilizowanych. Rosja, pomimo dość rozwiniętego działu ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków, głównie robotników zatrudnionych w przemyśle, w zakresie zabezpieczenia starości postąpiła mało naprzód i, za wyjątkiem nielicznych uczestników prywatnych kas emerytalnych (np. górniczych w Królestwie Polskiem), cała ludność robotnicza jest tego zabezpieczenia pozbawioną.

W uznaniu zatem naglącej potrzeby jaknajczęstszego poruszania tej sprawy, hr. Skarzyński wystąpił, jak to wzmiankowaliśmy, z powyższym odczytem w Tow. pop. przem. i handlu, które przed laty 20 pierwsze bodaj podniosło w Rosji sprawę zabezpieczenia starości robotników. Oprócz przypomnienia, hr. Sk. miał na widoku wskazać zarazem w swojej pracy drogę, którą urzeczywistnienie projektu ubezpieczenia starości, zdaniem jego, dążyć powinno. W tym celu, opierając się na obfitym statystycznym materjale, hr. Sk. rozwinął przed słuchaczami zarys obecnego stanu sprawy ubezpieczenia w krajach zagranicznych, kładąc nacisk na różnicę, wypływającą z ubezpieczenia dobrowolnego a przymusowego.

Zasada ubezpieczenia dobrowolnego obowiązuje dziś w większości państw europejskich i w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Największe rozpowszechnienie towarzystw ubezpieczenia wzajemnego napotykamy w Anglji i Stanach Zjednoczonych, gdzie ogólna cyfra uczestników przewyższa 8 milj. osób. W stosunku jednak do ogólnej cyfry ludności robotniczej jest to zaledwie mała ich część. W Szwajcarji w 1,500 towarzystwach bierze udział 260 tys. osób. We Francji ogólna ilość emerytów prywatnych stanowi 237 tys. osób, otrzymujących przeciętnie od 18 do 26 rb. rocznej zapomogi. W Belgji, gdzie rząd przyjmuje udział w dobrowolnem ubezpieczeniu robotników, dopłacając 60 centymów na każdy frank złożony przez robotnika, ilość zabezpieczonych wynosi tylko 500 osób.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa tam, gdzie zaprowadzone jest przymusowe ubezpieczanie się robotników. Z państw europejskich zasada ta stosowana jest w Szwecji, Niemczech i w Austrji. W Niemczech każdy pracownik, zarabiający mniej niż tysiąc rb. rocznie, obowiązany jest od lat 16 zabezpieczać się na wypadek utraty zdolności do pracy. Emerytura wypłacana jest w części z kapitałów kasowych, w części z dopłat skarbu. Wkłady uskuteczniają się za pomocą naklejania do książeczek osobnych marek, których połowę wartości pokrywa robotnik, a połowę pracodawca. Przy rocznym zarobku 170 rb. opłata tygodniowa wynosi 7 kop., a daje prawo na emeryturę równą 55 rb. rocznie. Przy zarobku powyżej 565 rb. opłata tygodniowa równa się 18 kop., a emerytura — 115 rb. W ciągu lat 8, od 1891 do 1899 r. wypłacono w Niemczech robotnikom ogółem 200 milj. rb., w której to sumie dopłata skarbu wynosiła około 50 milj. rb, co czyni 13 kop. na jednostkę ludności rocznie. Z 54 milj. ludności w ubezpieczeniu bierze udział 14 milj. robotników.

Z powyżej przytoczonego łatwo już ocenić można całą przewagę przymusu ubezpieczeniowego: zarówno ilość zabezpieczonych, jak i stopa zabezpieczenia jest tu znacznie wyższą, bo taką już jest natura ludzka, że nawet do zabezpieczenia własnej przyszłości trzeba ludzi zmuszać. Jeżeli zaś tak się dzieje zagranicą, gdzie kultura, a więc i świadomość korzyści ubezpieczenia jest znacznie większą, niż w Rosji, to zrozumiałem jest, że tu kwestja zabezpieczenia starości robotników może mieć powodzenie tylko w razie ujęcia tej sprawy przez rząd i uczynienia jej obowiązującą.

Ze zdaniem tem niektórzy z obecnych na odczycie hr. Skarzyńskiego nie chcieli się zgodzić, ale ostatecznie zebranie uchwaliło utworzyć przy Tow. pop. przemysłu i handlu komisję, której polecić opracowanie odnośnego projektu wprowadzenia w czyn zabezpieczenia robotników w starości, poczem projekt taki zakomunikowany zostanie władzom.

J.

TYDZIEN EKONOMICZNY.

Ogólne.

— **Z Kowna** piszą do nas: Tow. rolnicze kowieńskie otrzymało zawiadomienie urzędowe, że memorjał jego w sprawie celnej wręczony został ministrowi skarbu przez ministra rolnictwa wraz z uwagą, że memorjał ów, jako opracowany ściśle, na szczególną zasługuje uwagę. Urzędowe „Izwiestija“ ministerstwa rolnictwa zamieściły sprawozdanie ks. Urusowa o wystawie poniewiezkiej. Książę podnosi wzorowy porządek na wystawie, poświęca dłuższy ustęp bydłu holenderskiemu, które, zdaniem księcia, wytrzymałoby konkurencję na każdej wystawie zagranicznej, i kończy pochlebną wzmianką o obradach Towarzystwa. Tow. nasze poniosło ciężką stratę: w dniu 13 stycznia zgasł w Poniemuniu Witold hr. Krasicki, który czynny w sprawach Towarzystwa brał udział. Zgon jego jest niepowetowany dla nas. *J.*

KRONIKA GIEŁDOWA.

Petersburg, 29 stycznia (11 lutego). Pęd zwyżkowy trwa w całej pełni. Gwałtownie podnoszą się przedewszystkiem akcje banków handlowych, a także trzecia pożyczka premjowa (która od Nowego roku z 255 podskoczyła do 287, to jest o 13 procent). We wtorek płacono — banki: wołgsko-kamski 970, rosyjski dla handlu zewn. 283, handl.-przem. 232,5; międzynarodowy 318 — 319, dyskontowy 371 — 374, z walorów naftowych nabywano tylko mantaszewskie po 150 — 165 i udziały Nobla po 9800: metalurgiczne: briańskie 157,5 — 160,5, sormowskie 90,75—93,5, putiłowskie 70 — 67. Koleje połudn.-wschodnie 107,5 — 108,5. Pożyczki premjowe: I — 471—473,5, II — 378—381,5, III—286—287. Renta 96½. Dalsza zniżka dyskonta w Londynie i Wiedniu.

Warszawa, 8 lutego. Listy zastawne ziemskie 4½-proc. 97,55 —97,60; 4-proc. 87,40. Listy zastawne m. Warszawy 5-proc. podniosły się do 100; 4½-proc.—91,70. Listy zast. m. Łodzi w zaofiarowaniu: 5-proc. — 96 i 4½-proc. — 86,75. Ogólna tendencja mocna.

Czeki: na Londyn 94 rb. 60 k. za 10 funt. szt.; na Paryż 37 rb. 62½ k. za 100 franków; na Berlin 46 rb. 30 k. za 100 marek; na Wiedeń 39 rb. 55 k. za 100 koron.

Dyskonto — w Petersburgu: Bank państwa 5 — 6½, giełda 5½ — 7 proc., w Londynie, Paryżu, Amsterdamie i Brukseli 3 proc., w Berlinie i Wiedniu 3½ proc., w Kopenhadze 4½ proc.

RYNKI ZBOŻOWE.

Na międzynarodowych rynkach zbożowych usposobienie spokojne przy obrotach ospałych. Stałe zmniejszanie się wszędzie eksportowych zapasów ziarna daje podstawę oczekiwać w najbliższych tygodniach wzmocnienia się trwalszego tendencji. Ostatnie telegramy sygnalizują drobną zniżkę w Londynie na pszenicę i ogólną zwyżkę w Berlinie na pszenicę, żyto i owies. Płacono:

	Pszenica.	Żyto.	Owies.	Jęczmień.
W New-Yorku.	102,75	—	—	—
» Londynie	101,5—107,5	—	109,5—111	79
» Berlinie...	129,25	112,25	120	—
» Hamburgu.	—	81	—	—

Na rynkach wewnętrznych usposobienie bez zmiany — obroty drobne. W guberniach południowo-zachodnich dobry popyt na pszenicę ze strony młynów, dzięki czemu tendencja mocniejsza. Mocna również tendencja w Libawie. Płacono:

	Pszenica.	Żyto.	Owies.	Jęczmień.
W Warszawie	96—105	75—79	86—98	—
» Kijowie..	88—90	65—67	80—82	—
» Wołoczyskach	85—91	60—66	60—62	55—60
» Odesie....	87	71	78	66
» Mińsku	85—90	66—68	80—85	80—85
» Libawie ..	—	82	90—101	—
» Rewlu....	88—93	80—83	91—101	75—78

NASIONA (Sprawozdanie B. Hozakowskiego w *Toruniu*). Koniczyna czerwona I — 7,81, II — 6,79, III—6,03; biała I—12,83, II 10,94, III—7,54; szwedzka 11,32; Seradela 1,40. Tymoteusz — 3,85. Łubin żółty — 0,63, niebieski — 0,56. Mak — 2,38. (Ceny w rublach za pud, franco Aleksandrowo). — Ceny prywatne — w *Warszawie* (według «Okóln. Rolniczo-Handl.») koniczyna czerwona I — 52—60, II—45—50, III—40 44; biała I — 70—90, II—58—70, III—45—55; szwedzka I—70—90, II—60—68, III—46—58 rb. za korzec wagi 250 funtów. Tymoteusz I—19—23, II —16—19, III — 14 16 rb. za korzec wagi 180 funtów. Seradella tegoroczna I 1,45—1,50, II 1,30—1,45, III 1,20 — 1,30 rb. za pud. Łubin niebieski 3,80—4,20; żółty 4,00 — 4,50 rb. za korzec wagi 260 funtów.

WEŁNA. W *Poznaniu* ceny wełny niemytej 35—39 mar., gorsze gatunki około 30 mar. Wełny myte 115—140 marek. Tendencja chwilowo silniejsza. W *Warszawie* ruch wełną ożywiony — ceny wzmacniają się.

CUKIER. W *Kijowie* — rafinada 5,50, mączka — 4,40. W *Odesie* rafinada 5,35 — 5,50; mączka 4,50. W *Warszawie* — rafinada I gat.—5,00, II gat.—4,90; mączka 4,32½. W *Petersburgu* — rafinada Keniga—5,75—5,80; mączka 4,88—4,90. W *Moskwie* — rafinada 5,55—5,60; mączka 4,95—5,00.

MASŁO (kor. «Samopomocy») w *Rydze* — na wywóz — I gat. 34—37 kop., II gat. 31—33 k., III gat. 27 — 30 kop. za funt.

SPROSTOWANIE.

W artykule „O niedźwiedzią skórę“ (Nr. 4 „Kraju“, dział główny, str. 8 szp. 3), skutkiem korektorskiego przeoczenia, bezpośrednio po słowie „nadużycia“ opuszczonym został wyraz: *wyborcze.*

Przy datach starego stylu podawaną jest w nawiasie data nowego stylu. Daty nowego stylu podawane są pojedyńczo.

Redaktor i Wydawca
Erazm Piltz.

Kompletne instalacje oświetlenia elektrycznego i elektrycznego przeniesienia siły. Krany elektryczne, stacje centralne, tramwaje elektryczne. Osobowe i towarowe pompy szachtowe z motorami elektrycznemi, podziemne kolejki elektryczne i t. d.

Parowe maszyny, Kotły i pompy wszelkich systemów i wielkości.

ROSYJSKIE
Towarzystwo elektryczne
„UNION“.
Petersburg. — Ryga.
Olszewicz & Kern.
Warszawa. — Kijów. — Odesa. — Charków. — Jekaterynosław. — Sielce. — Sosnowiec. — Łódź.
Lokomobile Henryka Lanza. Armatury, wentyle, krany, manometry, wakumetry, termometry, noże ryffuzyjne, rury różnego gatunku, pasy skórzane i z sześci. stal narzędziowa, piliniki, bloki i wszelkie przedmioty techniczne dla cukrowni i zakł. technicznych.

(790)
Automatyczne wagi do zboża, buraków, cukru, węgla i t. d.

BIELIZNA
WEŁNIANA, NORMALNA I HYGIENICZNA
prof. d-ra *JÄGERA*
(wyrób wyłącznie zagraniczny).
Bracia A. i I. ALSCHWANG
w Kijowie, Kreszczatik (Grand Hotel).
FABRYKA W MOSKWIE.—Oddziały: w Warszawie, w Odesie, w Jekaterynosławiu, w Wilnie, w Mińsku, w Charkowie, w Tyflisie, w Sewastopolu i w Kiszyniowie. (781)
Cenniki wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

1902.
Północne Towarzystwo Żeglugi
Linja Odesa—Port-Artura—Władywostok.

Odpłyną z **Odesy** następujące okręty: „**Edward Bary**“ (5,600 tonnów) 20 lutego. „**Herman Lerche**“ (5,600 tonnów) w początkach marca. „**Władimir Sawin**“ (3,000 ton.) 25 marca. „**Baron Driezen**“ (7,000 tonnów) 5 kwietnia. „**Paweł Andrejew**“ (2,950 tonnów) 1 maja. „**Książe Gorczakow**“ (6,000 ton.) 25 maja,—na które przyjmują się ładunki z **Odesy** i jakiejkolwiek **stacji kolei żelaznej,** mającej łączność z komunikacją **Południowo-Zamorską,** do **Portu Artura Władywostoku, Nikołajewska** nad Amurem, oraz z konosamentami direct Amurskiego towarzystwa Żeglugi do **Chabarowska, Błagowieszczeńska, Charbina, Strietieńska,** i do innych przystani Amurskiego bassejnu.

O warunkach dla transportowania i assekuracji ładunków, zwracać się należy do kantoru Głównego Agenta Towarzystwa: (4099)

A. A. TRAPANI w Odesie,
ul. Grecka, dom własny № 4. Telefon № 520, lub do Zarządu w Petersburgu.

RÓŻNE GUSTA. Gdy anglik i francuz zobaczą na pięknym koniu zgrabną amazonkę, jednocześnie powiedzą: «Co za kształty!»
Tylko francuz to powie o kobiecie, a anglik—o koniu. (Kolce)

MIŃSKIE BIURO TECHNICZNE. Inżynierowie KRZYŻANOWSKI i CYWIŃSKI.

Wielki srebrny medal na Wystawie w Mińsku w 1901 roku.

1) Turbiny własnego patentu: ogromna lekkość, taniość, wydajność siły.
2) Budowa Młynów, Gorzelni, Krochmalni, Tartaków, Kotłów i t. p.
3) Wszelkie niwelacje, meljoracje rolne, eksploatacja torfowisk.
4) Lokomobile, młocarnie parowe i konne fabr. Lilpop.
5) Kompletne studja, kosztorysy i budowa dróg żelaznych.
6) Dostawa wszel. artykułów techn.: kamienie, walce, pasy, rury, armatura i t. p.
7) Wodociągi, kanalizacja, Ogrzewanie Centralne.

Adres: Mińsk guber., ul. Zacharzewska d. Kazarinowej. (1047)

„EXSICCATOR“ de RITTER.

Po 12-letnich próbach, 10 med., 2 dypl., 1 herb.—Niezbędny dla każd. fabr., obyw. miejsk. i ziem
!!! JEDNA PRÓBA WYSTARCZA! !!
Niszczy radykalnie grzyb drzewny i wilgoć. Broszurki bezpłatnie. Kantor: WARSZAWA TYLKO KRÓLEWSKA 49. Wł. Inż. Schilling. Ostrzegam przed naśladowcami, gdyż pojawiły się falsyfikaty. Każde naczynie powinno mieć Herb Państwa. (798)

WYDAWNICTWA
GEBETHNERA i WOLFFA
Ignacy Matuszewski.

SŁOWACKI I NOWA SZTUKA

(MODERNIZM).
Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej. Studjum krytyczno-porównawcze.
Cena rb. 1 kop. 50.
Tegoż autora poprzednio wydane:
CZARNOKSIĘSTWO i MEDJUMIZM. Studjum historyczno-porównawcze, z 21 ilustracjami, rb. 1.
OBCY i SWOI (Pokrewieństwa i różnice).
Zarysy literacko-estetyczne, rb. 2. (1202)

MAGAZYN MEBLI

ZAŁĘSKIEGO i Sp.

(firma egzystuje od r. 1873)
W WARSZAWIE
№ 2, Erywańska № 2.
Poleca wielki wybór mebli od najskromniejszych do bardzo wykwintnych. Dział dekorac.-tapicerski. Ceny niskie, stałe. (702)

MAGAZYN MEBLI

oraz
zakład tapicersko-dekoracyjny
ANT. STRÓMIŁO,
Warszawa. № 25, Bracka № 25.
Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromn. do najwykwintn. Stolarnia własna. Ceny nizkie. (1133)

Pracownia i skład Mebli

firmy STANISŁAW
Warszawa, Erywańska № 14,
trzeci dom od rogu Marszałk., strona lewa, poleca różne meble nowe i używane. Zamiana u klijentów. CENY NIZKIE. (1186)

!!!BRYCZEK!!!

WIELKI WYBÓR
poleca (1179)
Warszawska Fabryka
99. Aleje Jerozolimskie 99.

SKŁAD NASION

W. JURKOWSKI i S-KA

w Warszawie, ul. Miodowa 15,
poleca:
Świeżego zbioru nasienie trawy «Seradella», ornithopus sativus. Roślina pastewna jednoroczna, na grunta żytnie. Przy zasiewie w żyto ozime, lub ze zbożem jarem potrzeba nasienia 1 pud na morgę, a samą bez zboża 1½ puda. Cena za pud w Warszawie 2 ruble. Cennik na żądanie wysyła się bezpłatnie. (1203)

Protasy. Ho, ho! mój Gerwazy! Magistrat podpisał już umowę z firmą Schückert o oświetlenie elektryczne miasta Warszawy! Rychle już rozbłyśnie nasze miasto, jak słońce!
Gerwazy. No, nie ciesz się znowu tak wielce! Nim to słońce wzejdzie, gaz nam oczy wyje! (Kurj. Świąt.)

„STADO NOWOSIELICA“.

Szczegóły patrz:
tygodnik ilustrowany
„SPORT“,
Mazowiecka 4, Warszawa. Numer okazowy gratis i franco. (1184)

TOMASZ ZANIEWICKI,

Warszawa, Senatorska № 19.
Telefon № 1389.
Egzystujący od r. 1895 **hurtowy skład win Krymskich, Kaukazkich i Besarabskich**, poleca wina białe, wytrawne i słodkie, oraz czerwone w różnych gatunkach. **Sprzedaż na butelki, baryłki i beczki.** Cenniki i objaśnienia wysyła się na żądanie franco i gratis. (1087

Otwarcie 15 lutego b. r.
Zakładu leczniczego Dr. EBERSA

„THERAPIA“

nad ADRJATYKIEM.
Klimat południowy. Leczenie **hydropat. electrotherapia, ortopedja, kąpiele gazowe** CO^2 w wodzie **morskiej, piaskowe, słoneczne** i. t. d., leczenie terenowe, djetetyczne.
Urządzenie wzorowe, **pokoje z piecami oświetl. elektr. Sift. Łazienki** na każdem piętrze. **Kuchnia polska**, wytworna. **Służba polska.**
Sezon leczniczy zimowy trwa od 1 paźdz. do 15 maja, od 15 maja do 30 września sezon kąpieli morskich.
Adres: **Therapia w Cirkvenicy pod Fiume**; «Pension» D-ra Ebersa w Abbazji jest filją «THERAPII»
O szczegóły żądać prospektu.
W lecie **ordynuję nadal w Krynicy**, ordyn. w. c. k. zakład hydropatyczny.
(1201) Dr. EBERS.

RUŚKIEWICZ i GODLEWSKI Inżynierowie

Warszawa, Szkolna 4.
Biuro elektro-techniczne. **Urządzenia światła elektrycznego, przenoszenia siły elektrycznej** na odległość elektro-cheniczne **oczyszczanie soków cukrowych** vzadkich i gęstych sposobem Lavollay'a i Bourgoin'a; sposób robofy na gyfuzji Naudef'a **Dostawa wszelkich artykułów technicznych.** (1159)

ZAKOPANE LILIANA

poleca pokoje en pension na dnie i miesiące. Korytarze ogrzewane. Komfort. Kuchnia bardzo staranna. Usługa wzorowa. (1174)

Prospekt na żądanie.

Są do nabycia we wszystkich księgarniach dzieła pedagogiczne **REUSSNERA** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki **Języków Obcych bez nauczyciela**, z objaśnieniem wymowy i z kluczem, p. t.:

Samouczek:

POLSKO-NIEMIECKI, kurs wstępny **(Elementarz)** po kop. 5, 12, 24 i 40: — kurs I-y kop. 60, kurs II-gi rb. 1.60.
RUSSKO-NIEMIECKI po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.
POLSKO - FRANCUZKI kurs I-szy kop. 1.20, kurs II-gi kop. 3.20.—**Gramatyka polsko-francuzka** kop. 1.20.
POLSKO - ANGIELSKI kurs I-szy kop. 75.—kurs II-gi k. 1.20.
POLSKO-RUSKI kurs I-szy k. 1.40, kurs II-gi kop. 1.80.
Skład u autora **Reussnera**, ulica **Złota № 6, Warszawa.** (1167)

PRYWATNY DOM ZDROWIA dla chor. nerw., ze ścisłym internatem. Lublin, Dr. OLECHNOWICZ, Ordyn. oddz. chor. nerw. przy szp. św. Wincentego. (1067)

SZYDŁOWIECKIEJ fabryki powozów i bryczek kantor i skład w Warszawie, Foksal 14, dom wł. Za sześć 7-kop. marek cennik ilustrowany. (1164)

NA EGZAMINIE. — Gapiszewski! gdzie znajdują się największe brylanty?
— W lombardzie, panie psorze.
(Śmigus)

„PROMIEN“

instalacje oświetleń i biuro techniczne
J. NAIMSKI i Z. KORYCKI,
Warszawa, Plac Warecki № 10 (dom poczty). Tel. 1365.
Oświetlenia: elektryczne, gazowe, acetylenowe, gazolinowe, kreogazowe, Washington-Light, Comete Sinclair. Piecyki naftowe. **Kotły parowe i przegrzewacze pary**, fabryki B. Meyer, Gleiw(itz. (1049)

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE
A. PIASECKIEJ i Z. ROSZKOWSKIEJ
poleca: nauczycielki, nauczycieli, bony, sprowadza cudzoziemki.
Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 38. (981)

POWITANIE.
On. Cóż? może powiesz, że nie pamiętałem o tobie? Kopę pocztówek z widokami ci przysłałem!
Ona. Prawda, prawda! Prawie album mam pełny. Aż szkoda, żeś powrócił...

WINO SZAMPAŃSKIE
poleca firma, egz. od 1854 r.:
„CHARLES A. CREUSET“.
Skład W. Brykner, Warsz., Królewska 16. (840)

PIERWSZORZĘDNE
BIURO NAUCZYCIELSKIE

„ZAŁĘSKI“.

Warszawa, ulica Berga 8. (988)

---

125 odmian kartofli

wykwintnych stołowych, wysokoprocentowych fabrycznych i inspektowych poleca uwadze Szanownych Panów Obywateli **Specjalna Hodowla Kartofli Nasiennych K. Drewitza i Syna.** Cennik i sprawozdanie na żądanie franko. Stacja Otwock, majątek Całowanie. Zamówienia w Warszawie przyjmują:
T. Kowalski i A. Trylski, Miodowa № 4, i Alfred Grodzki, Senatorska № 33. (1189)

J. RERYCH.
Warszawa, Wierzbowa 7, wprost filarów teatralnych. Filja: Trębacka 1, róg Krak.-Przedm. (1195)

Biuro Nauczycielskie KARPINSKIEJ

w Warszawie, Szpitalna, 3. Poleca nauczycielki, bony, oficjalistki; sprowadza cudzoziemki. (1086)

„RYBACZKA“. Obraz WŁADYSŁAWA WANKIEGO. ALBUM „KRAJU“.

ŻYCIE I SZTUKA

PISMO DODATKOWE, ILUSTROWANE.

„Kraj“ Petersburg, 1 (14) lutego 1902 r. № 5

Bohdan Zaleski.

1802–1902.

Sto lat minęło od urodzin twórcy «Rusałek» i «Ducha od stepu». Sto lat temu, d. 14 lutego w Bohatyrce na Ukrainie przyszedł na świat, aby rozśpiewać się niedoścignionym głosem po literaturze polskiej, ten, którego wzywał do pieśni Mickiewicz znamiennem: «*Słowiczku* mój, a leć, a piej!...» Charakteryzowano potem wiele, wiele razy istotę poezji Zaleskiego i nie zdołano, nie potrzebowano wyjść po za tę Mickiewiczowską charakterystykę, zawartą w pierwszem zaraz słowie serdecznej a mądrej inwokacji: *słowiczku* mój!... Wyroki nań wydawano srogie, na spytki brano jego atamanów i sahajdacznych, pyłki motyle strzepywano z jego strof, pukając w budowę ich i analizując wnętrze cudownych malowanek; poetyczną słowiańszczyznę pierwszego polskiego gorącego «słowianofila» przetrząsano, jak traktat społeczny i filozoficzny—i nawydziwiawszy wszystkiemu, co istotę Zaleskiego pieśni nie stanowi, co zewnętrzne, by tak rzec, cechy jej tworzy, co gra niejako taką w wierszach Zaleskiego rolę, jak średniowieczne kostjumy na obrazach Veronese'a, szukano... szukano ostatecznego, syntetycznego, z wyżyn estetyki określenia dla Zaleskiego, i nie znaleziono innego, okrom Mickiewiczowskiego z przed laty: «słowiczku nasz...»

Zaleski z tych, co w literaturze naszej nie grób mają, a pomnik. Bodaj że napis na pomniku już wyryty; bodaj że ułożyły go już ostatecznie, niezmiennie pióra historyków i krytyków literatury. Sąd już ustalony; powtarzać go już tylko będą pokolenia.

Jakiż ów sąd? Uwidoczniamy go oto, streszczamy, zamiast własnem piórem bądź wygłoszone parafrazować, bądź błędne wznawiać krążenia po spuściznie poetyckiej, wyprowadzając osobiste, nieobowiązujące nikogo wnioski. Mniemamy bowiem, że—w lat siedmdziesiąt po wyśpiewaniu przez Zaleskiego najcelniejszych pieśni—począł już obowiązywać wyrok, wydany o nich przez przednie powagi naszej krytyki literackiej. Mamy już dziś powagi takie, polegać na sądzie ich możemy, znać zdanie ich powinniśmy. Cztery mamy dziś naczelne «Historje literatury», w których czterej znawcy zawodowi sformułowali już o Bohdanie Zaleskim—sąd t. zw. krytyczny. Sąd ów brzmi tak:

* * *

«Akord jego nie jest nigdy silnym, ani przejmującym; to jest lekki zefir, który muska powierzchnię naszych różnych uczuć i sprowadza lekkie, łagodne kołysanie fali; to nie prąd silny wiatru, któryby te wody wzburzył do dna i długo uspokoić im się nie dał. Było coś wiosennego, coś pokrewnego skowronkowi w jego pierwszych śpiewkach. Czasem, nawet najczęściej, był smutnym — ale ten smutek dodawał mu wdzięku, był taki prosty, taki naturalny. Wiersze były takie dźwięczne, takie melodyjne, brzmiały prawie jak muzyka, ich rytm tak się dziwnie składał, że bez nuty, mówiony, robił prawie wrażenie śpiewu. Dźwięczny poeta dumek był pełen uczucia, a łagodny i cichy, był tęskny i prosty, był zupełnie samorodny, do żadnego innego niepodobny. W jego szkicowych dumkach historycznych ruch, życie i poetyczny koloryt. Nic w nich obcego, nic naśladowanego, nic pożyczonego od romantyzmu zagranicznego. Wykonanie niektórych bardzo szczęśliwe, bardzo artystyczne. Zaleski stworzył rzeczywiście najprawdziwszą polską baladę».

St. Tarnowski.

«Zaleski jest przedewszystkiem i wyłącznie prawie artystą; w twórczości poetyckiej—lirykiem, jednym z najbardziej podmiotowych, lirykiem, najlepiej malującym uczucia wesołe, tkliwe, dodatnią, wdzięczną stronę przedmiotów, które wieszcza jego muza umie przenosić w dziedzinę sztuki z niezrównaną żywością barw i ruchliwością. Treść tej pod względem form zewnętrznych prześlicznej poezji nie odznacza się ani rozmaitością, ani głębokością myśli i założeń. Kozacy jego nie posiadają ani historycznego charakteru, ani historycznych uczuć kozaczych. Ale brzmiąca w dumkach Zaleskiego fałszywa nuta nietylko nie przyczyniła się do ich upadku, lecz owszem była przyczyną ich nadzwyczajnej popularności—jako wyraz odpowiadającej duchowi czasu tendencji do estetycznego spolszczenia kozaków».

Wł. Spasowicz.

«Opowiadań epickich, na większą zamierzonych skalę, Zaleski nie dokończył nigdy; wolał zwrócić się do dumek, szumek i fantazyj, gdzie czuł się swobodniejszym i lotniejszym. Mniemano, że w dumkach, osnutych na wspomnieniach dziejowych, wskrzesło życie kozackie w blasku promiennym. Dziś nie mamy już tych złudzeń. Ceniąc je pod względem formy, nie widzimy w nich całej prawdy historycznej. Zaleski zazwyczaj wybierał te chwile i tych ludzi, co wspólnie z Polską działali, co mieli wspólne wyobrażenia o całości Rzeczypospolitej, o kolizjach zaś, zachodzących między kozakami a Polską, zamilczał. Prócz tego ci kozacy są zanadto wymuskani, zanadto operowi z jednej strony, a z drugiej – zamało myślący; zrabować, spalić, upić się, baraszkować lub też tęsknić—oto i wszystko, co bohaterowie dumek Zaleskiego czują i robią. Są to powierzchowne tylko zarysy uczuć, wrażeń, obyczajów; lecz treść duchowa, treść wyższa, zostawiająca ślady w dziejach, została prawie zupełnie zaniedbaną. Pojedyńczo brane dumki te są prześliczne; rozważane w swojem ogóle, rażą jednostajnością i brakiem żywiołu myślowego. Dumki, przedstawiające stosunki życia rodzinnego, społecznego, mają więcej urozmaicenia i bliższe są pieśni ludowych ukraińskich.

«Fantazje» Zaleskiego należą do najoryginalniejszych utworów poezji naszej. Nie znamionuje ich ani wielka potęga wyobraźni, ani polot wysoki, ani namiętny koloryt; ale tak dziwnie są lekkie i tęczowe, tak niepochwytne i tak nieokreślone, że mimowoli ku sobie pociągają. Jak wszędzie, tak i w «Rusałkach» język śliczny, wiersz melodyjny, oraz styl właściwy Zaleskiemu stanowią najważniejszą część uroku».

P. Chmielowski.

«Śpiewne, melodyjne, harmonijne były wiersze jego, pieszczące ucho — jakich dotąd w poezji polskiej nie słyszano; pełna wdzięku forma zastępowała ubóstwo treści. Motywy nieliczne, wciąż jedne i też same brał pod pióro, kształtując je tylko w sposób odmienny, obrabiając je nieustannie. Kozacy Zaleskiego—to szermierze prześwietnej Rzeczypospolitej, a przy całem pobrzękiwaniu szablą krzy-

Bohdan Zaleski. Rysował z natury Tony Revillion w 1844 r. w Paryżu.

wą w ślepia turkom i tatarom, przy całem wygrażaniu się Stambułowi, puszczaniu z dymem miast, śpiewaniu o matce-Ukrainie i tęsknieniu do lubej i stepów rodzinnych—kozacy to salonowi (*Salonkosaken*), wdzięczne, filigranowe figurki. Przemilczane to, co uznał poeta godnem zapomnienia, przemilczane: dzikość, brutalny egoizm, potęga żywiołowa kozacza, co spadłszy na Polskę, w grób ją i kozaczyznę zwaliła. Jednak poeta wywoływał wielkie wrażenie; nie wiem, czy istnieje romans miłośny, świetniejszy w kolorach i słodszy w tonach, niż jego «Rusałki». Jest w poezjach Zaleskiego sporo monotonji, posiłkowanie się z upodobaniem jednakowemi dźwiękami, farbami, słodyczą zmanjerowaną; wśród steku akcesorjów giną u niego pieśni ludowej surowość, siła, tragizm. W dziecięco czystej, pogodnej duszy poety miejsca nie było na dysonanse; pełna lazurów niebiańskich, nie znała ziemskiej żółci. «Duch od stepu»—dziwny aglomerat platońskich idei, jednostronności wyznaniowej, mistycznych marzeń. Kochał i znał Słowiańszczyznę, ale słowianofilstwo jego miało wybitne piętno polsko-katolickie; Polska w jego przekonaniu powinna przodować Słowiańszczyźnie. Ale przecudowna melodyjność jego muzykalnych wierszy pokrywała wszystkie braki jednostronności, przesady i monotonje. Pod względem muzykalności wiersza, wnikającego jak śpiew do duszy, nikt nie dorównał Zaleskiemu ani pierwej, ani potem. Ztąd popularność jego, ztąd roje naśladowców, z których żaden na wyżynach mistrza nie stanął. Naśladowcy czepiali się zewnętrznych właściwości dykcji i stylu; tajemnicy uroku wiersza Zaleskiego nikt z nich nie posiadł. Z całej, dużej spuścizny poety, największą mają wartość Dumki melancholiczne i mniej liczne wesoło-pogodne Szumki, jako okazy nieporównanej dźwięczności słowa, rytmu oraz delikatności obrazowania».

A. Brückner.

* * *

Oto sąd krytyki, by tak rzec: oficjalnej o poezjach Zaleskiego, sąd o tych nieśmiertelnie barwnych i lotnych «piórkach kilku, co zostały po nim u mogiły, a wznosiły go niegdyś ku niebu». Czy sąd to nieodwołalny, napiętnowany nieubłaganem *ne varietur?* Być może. A w każdym razie, bodaj że z biegiem lat powstać już mogą tylko sądu tego nieznaczne jeno odmiany. Co było do powiedzenia o Zaleskim, jako poecie—powiedziano.

Rzecz inna z wrażeniem, które poezje jego wywierały, wywierają i wywierać będą na poszczególnych czytelników. Wrażenia tego nikt nie zdoła zamknąć w obowiązujące granice, nikt nie zdoła go przydać po wieki wieczne do książki pieśni, na podobieństwo biblijnego komentarza, sterującego uczuciem, rozumieniem i opinją czytelnika. Bo poeta, a przedewszystkiem poeta-liryk, nie mniemajmy, że własne tylko odtwarza uczucia, własne, jak się dziś mówi: duchowe nastroje. On ma dar ujmowania w odpowiednie słowa tego, co my czujemy sami, tego, co nieraz głęboko leży na dnie duszy naszej własnej, a co nierzadko czeka tylko tam na zbudzenie, na ocknięcie się, na przypomnienie się nam. W tem tajemnica nieśmiertelności poezji wszelkiej—rzeczywistej; w tem wytłómaczenie, dlaczego największa powaga krytyczna bezsilną jest wobec wrażenia, które poezja powinna lub niepowinna na nas wywierać. Cała—nie abstrakcyjna—ale realna, praktyczna wartość i doniosłość poetyckiego utworu (być może: każdego wogóle dzieła sztuki) zależną jest nie od «estetycznej» jego miary, ale od dusz, które słowa poety biorą w siebie.

Są, którzy, kiedyś tam, za młodych lat, czytywali poezje Zaleskiego, a dziś wezmą znów może do ręki książkę od dawna nietkniętą. Znajdą w niej, być może, to, czego nikt w poezjach Zaleskiego szukać nie nakazywał. Znajdą tam: upowity w kwiaty nieśmiertelne wiek swój własny młody, sen na kwiatach, sen złoty. Znajdą odblask daleki tej dawnej duszy własnej, co ongi w poezjach Zaleskiego gustowała... A są i tacy, którzy nigdy w «wierszykach» Zaleskiego zasmakować nie mogli i dziś wzruszą ramionami na to «okolicznościowe» rozpisywanie się o nich. I wiemy jeszcze najdokładniej, że jutro, pojutrze, i za nowych sto lat będą dalej po kolei czytać wiersze Zaleskiego, najpierw «po raz pierwszy w życiu», a potem «po latach» ci, co po nas przyjdą i co tu, prochy nasze depcząc lekką stopą, śnić znowu będą to, cośmy prześnili i tęsknić za tem, czego w życiu ani «jutro, ani nigdy może nie zobaczą», i kochać to, co serce nasze własne za młodu «tak płomiennie kochało»...

Cz. J.

ZIEMSKA DOLA POETY.

Urodził się Bohdan Zaleski d. 14 lutego 1802 w Bohatyrce na Ukrainie, w ubogim dworku szlacheckim, na futorze. Słabowitemu dziecku, hodującemu się bez matki, „step dał zdrowie, lud nadał kierunek jego umysłowi".

I mnie matka, Ukraina,
I mnie matka swego syna
Upowiła w pieśń u łona...
I wołała rozczulona:
Piastuj dziecię me, Rusałko!
Miękiem dum i mleczem kwiecia
Pój do lotu mdłe to ciałko!
Pięknej sławy mej stulecia
Podaj do snu na obrazki!
Barwą złotą i błękitną
Tęczą wokrąg niech rozkwitną
Wszystkie ludu mego kazki!

A potem, wczytawszy się w pamiętniki dawnej Kozacczyzny, jeszcze nie pokłóconej z Polską, polubił życie tułacze atamanów i watażków, śmiałe ich wyprawy, pokochał nazawsze obraz - widmo, co przeciągnął przed oczami jego, Dniepru nadbrzeżami. W szkołach bazyljańskich w Humaniu kolegował z Goszczyńskim, z Grabowskim; wstąpiwszy do warszawskiego uniwersytetu (1820 r.), przebył w Warszawie lat dziesięć i w Warszawie ozwały się pierwsze pieśni młodego druha tamtejszych koryfeuszów piśmiennictwa. W 1830 r. zasiadał w sejmie, jako przedstawiciel powiatu taraszczańskiego.

Wespół z wielu wychodźcami znalazł się w Paryżu i poznał się tam osobiście z Mickiewiczem, z którym łączył go dotychczas tylko stosunek listowny. Religijny mistycyzm opanował go rychło. Należał do najgorliwszych „bogomodlców", następnie „towiańczyków". Wespół z Józefem Zaleskim, porzuciwszy gwarną stolicę, pędził dosłownie pustelniczy żywot w Wogezach lub w odludnych zakątkach Prowancji, pisząc „na eremicie" swego „Ducha od stepu". Potem (1840 r.) odwiedza Mickiewicza w Lozannie, —potem, niedługo zabawiwszy w Fontainebleau pod Paryżem, w alzackim klasztorze Trapistów odbywa surowe rekolekcje i wślad za tem pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

Powoli, około 1846 r. rozpraszać się poczynają mgły mistycyzmu, otulające duszę poety. Budzi się do czynu; pochłaniać go poczyna idea Wszechsłowiańszczyzny; ożeniony z warszawianką, Rosengartenówną, wyjeżdża do Pragi na pierwszy zjazd słowiański (1848 r.). I znów wraca pod Paryż, ale już stale mieszka w Fontainebleau, następnie w stolicy samej, wreszcie w innej podparyzkiej dzielnicy, w Villepreux, gdzie we dworku, wieś szczerą przypominającym, ascetyczny niemal wiodąc żywot, snując nieprzerwane nigdy pasmo dum poetyckich, życie zakończył na poranku d. 31 marca 1886 r.

„Na skromnem łożu żelaznem leżały jego zwłoki (pisze pod tą datą ówczesny korespondent „Kraju", Ed. Przewóski - *Zyzma*); wybitne rysy wieszcza przybrały posągowy spokój; silnie sklepione czoło wznosiło się nad zawartemi powiekami, nos orli przybrał ostrzejsze kontury, długa broda spływała po zastygłej piersi, po czarnej czamarce, którą Zaleski nosił zawsze za życia; z boku, nad sercem, błyszczał krzyż *virtuti militari*. Ze czcią, z niedającem się opisać uczuciem wpatrywaliśmy się w te zwłoki, jak w relikwię przeszłości... Nad śmiertelnem łożem wisiał portret Adama, tego, o którym jeden z towarzyszów po lutni powiedział: — „My z niego wszyscy; on nas porwał na wzdętej fali swego natchnienia i rzucił w świat..."

Prochy Bohdana Zaleskiego spoczywają „w ziemi, co nie jest ojców naszych ziemią, choć nieraz za nią ginęliśmy marnie"—na cmentarzu paryzkim Montmartre.

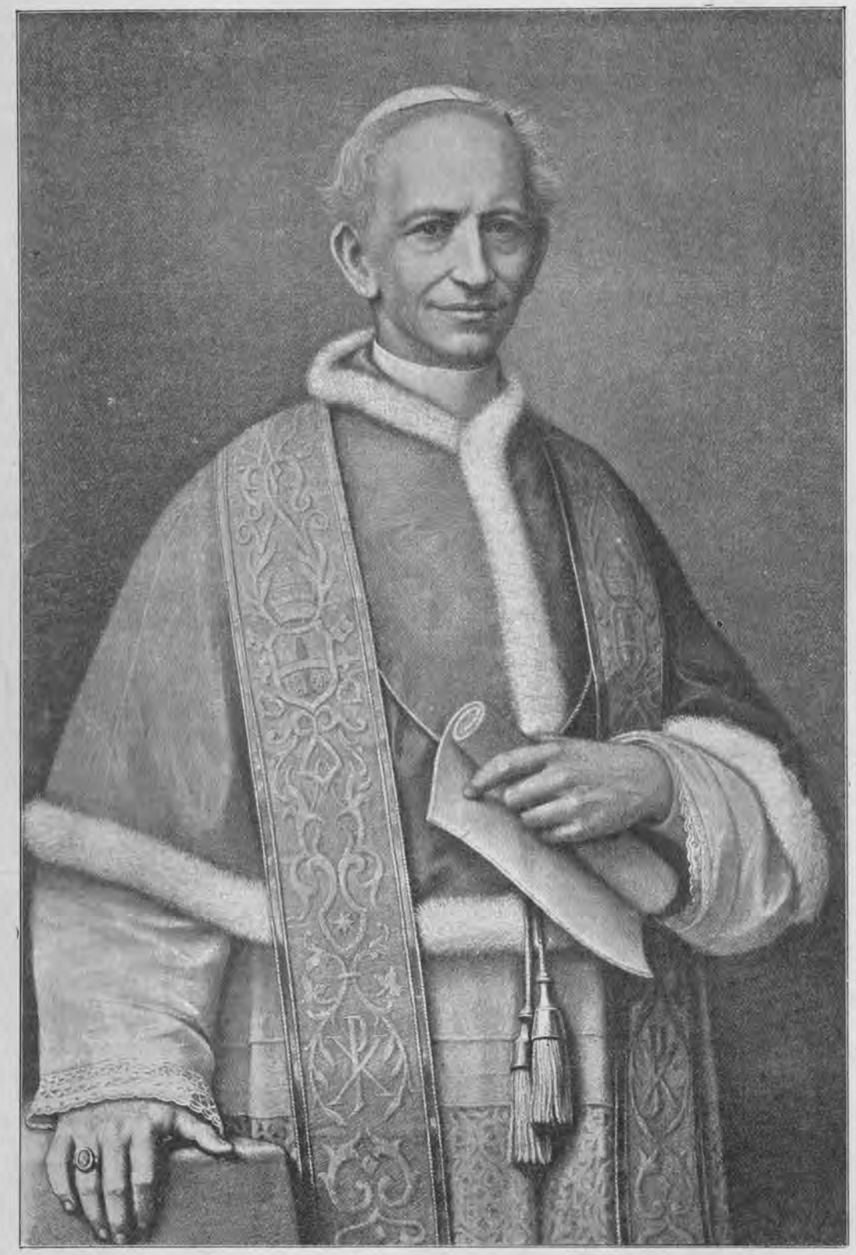

JOACHIM
(GIOACCHINO)
WINCENTY
RAFAEL LUDWIK
PECCI
URODZONY
W MIASTECZKU
CARPINETO
ROMANO
2 MARCA
1810
WYBRANY
NA NASTĘPCĘ
PIUSA IX
20 LUTEGO
1878
ZASIADA NA
STOLICY APO-
STOLSKIEJ
JAKO
LEON XIII
PAPIEŻ
W NIEPRZER-
WANEJ KOLEI
NAMIESTNIKOW
CHRYSTUSOWYCH
264-ty.

20 lutego 1902 r.

Niespożyte, podziw budzące siły żywotne Papieża Leona XIII, pozwoliły mu, przy pełni władz umysłowych i nieprzerwanej pracy, dożyć schyłku dziewięćdziesiąt drugiego roku życia. W dniu 2 marca r. b. obchodzić będzie Ojciec święty 93 rocznicę urodzin. Jednocześnie niemal, w dniu 20 (7) lutego wstąpił Leon XIII w dwudziesty piąty rok swego pontyfikatu i cały świat katolicki przygotowuje się wyrazić w dniu onym Namiestnikowi Chrystusowemu cześć oraz powinszowalne życzenia. Pociągną do Rzymu pielgrzymi ze wszystkich stron świata; złożone zostaną dary i adresy. W roku bieżącym upływa nadto: 65 lat kapłaństwa Ojca św. (23 grudnia), 59 lat biskupstwa (27 stycznia), 56 lat od objęcia rządów djecezją (19 stycznia), 52 lata kardynalstwa (19 grudnia). Oby Opatrzność pozwoliła sędziwemu następcy Piotra św., długo jeszcze w zdrowiu i ducha pogodzie cieszyć się zmierzchem chlubnego żywota na pożytek Kościoła, na radość i pokrzepienie wiernych.

LISTY KRAKOWSKIE.

[Czy Kraków zaspany, czy zaciszny? Kapitalny brak kapitału. *E pur si muove.* Wystawy krakowskie. Polska sztuka stosowana i pierwsza jej wystawa. Dobry początek i jego geneza. Jak wojowniczy p. Jasieński szukał i jak znalazł sobie wroga. Witraże z Wawelu, jako ozdoba zbiorów p. Jasieńskiego].

— Jaki ten Kraków zaspany!

— Ja powiedziałbym: zaciszny.

— Djabła tam zaciszny! Zaspany, powiadam panu; jeśli nie chrapie, to tylko z obawy, żeby własnem chrapaniem nie zbudzić się z błogiej drzemki. Niech pan spojrzy na te senne postacie, snujące się po rynku. Takie senne, że zrazu myślałem, iż to duchy, które, widocznie za pokutę, wałęsają się po chodnikach bezładnie. Aż gdym brzuchem o jednego i drugiego potrącił, przekonałem się, że jednak mają pod paltotem ziemską konsystencję. Żyją szelmy, tylko wszystko tak obrzydliwie zaspane! Że żyją, miałem na to dowód namacalny: dostrzegłem w Krakowie dzisiaj, wyobraź sobie pan, najwyraźniejszy znak życia, powiadam: znak życia!

— Jaki?

— Ziewanie!

Długo się borykałem z przyjezdnym warszawiakiem, który przekonać się nie dał, przez trzy dni powtarzając: «zaspane miasto!» przechadzał się po ulicach i ziewał demonstracyjnie, a gdy mu chciałem pokazać coś z rzeczy godnych widzenia, miażdżył mię ironicznem spojrzeniem, wołając:

— Kościoły, muzea, starożytności! Może mię pan zechce zawieźć do Wieliczki? Niech pan przyzna, że mię pan chciał uraczyć i tą «jedyną w całym kraju kopalnią!» Ależ, drogi panie, ja to znam, umiem na pamięć, oglądałem to wszystko jeszcze dzieckiem razem z rodzicami. Ale niech mi pan pokaże ruch, zgiełk, życie! No, niechże mi pan pokaże! Powiadasz pan, że tu odmalowali ściany, a tam rozwiesili parę płócien? I cóż ztąd? U nas, jak potrzeba, to się w jeden dzień ścianę odmaluje, a w godzinę porozwiesza płótna, bo u nas jest ruch, zgiełk, życie...

Nie udało mi się przekonać warszawskiego gościa, że w jego sądach jest wiele przesady. On nie przekonał mię również. Wbrew dosadnym jego aforyzmom, obstaję przy twierdzeniu, że Kraków żyje, rusza się i rozwija. Kraków nie jest już miastem, do którego pielgrzymuje się tylko po to, by «podumać nad pomnikiem sławy». Jest, prawda, miastem zacisznem, ma zaś pozory miasta zaspanego, bo jest miastem ubogiem. «*Hinterland*» jest to paskudny niemiecki wyraz; jeszcze wstrętniejszym się wydaje, gdy się samemu jest «*Hinterland*'em», zamiast mieć «*Hinterland*» otwarty dla zbytu, umożliwiający ruch handlowy i przemysłowy, który pozostawia za sobą rodzajny namuł złota. Więc Kraków jest ubogi, brak mu tego ożywczego nerwu *rerum*, który gdzieindziej sprawia, że życie wre na ulicach i kipi. Mamy wprawdzie dziennik, co zwalcza kapitał dzielnie, mamy drugi, który go równie dzielnie broni, mamy idealistów, którzy nim pogardzają... Niestety, kapitał on zwalczamy, bronimy go i gardzimy nim *in effigie*. Gdybyśmy go mieli *in natura*, zwalczalibyśmy go jeszcze dzielniej, bronili jeszcze zajadlej i gardzili nim jeszcze górniej, ale wyprostowałyby się nam grzbiety, ożywiły spojrzenia i wyprężona noga tupałaby po bruku dziarsko, miasto ślizgać się po nim bez dźwięku.

Ubogi Kraków krząta się więc bez junactwa i fantazji, ale się krząta. Pomijam już to, że pióra uczonych i pisarzów, pendzle i dłuta artystów poruszają się bez zgiełku i nie przerywają ciszy, która odbija się jednak nieraz rozgłośnem i przeciągłem echem, hen daleko po za rogatkami miasta. Ale Kraków ma w sobie widocznie żywotność wielką, skoro dla energji swej szuka ujścia i bez materjalnego bodźca, i bez przynęty osobistego rozgłosu, w zbiorowych przedsięwzięciach ze ściśle idealnemi celami. Na wyrywki weźmy naprzykład krakowskie wystawy. Mieliśmy ich w ciągu tej zimy... liczyć nie będę, ale co tydzień przecięciowo otwieramy nową. Jak na «zaspane» miasto—chyba dosyć. Kto je urządza? Albo ja wiem? Mógłbym się oczywiście dowiedzieć, ale nikt mię tu za guzik nie chwyta, by się swem dziełem szczycić, choć każdy pyta: «czyś pan już tę wystawę widział?», bo każdy interesuje się wystawą każdą. Gdy mówię «każdy», mam oczywiście na myśli ten zastęp krakowskich *umysłowców* (niech mi «Poradnik językowy» wybaczy ten barbarzyński nowotwór!), który jest w Krakowie stosunkowo ogromnie liczny.

Dziedziniec główny zamku królewskiego na Wawelu w stanie obecnym.

Z wystawami tedy rzecz się ma, jak następuje. Lat temu parę Sukiennice mieściły w swych murach wystawę «Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych» i Muzeum narodowe. I wystawa i Muzeum świeciły pustkami. Zabłąkany tam przejezdny stąpał na palcach, ostrożnie, wystraszony echem własnych kroków. Obecnie «Towarzystwo» usadowiło się we własnym gmachu na placu Szczepańskim, a Muzeum rozsiadło się w całych Sukiennicach, i w obydwóch wciąż panuje życie; dla wystaw zaś, które ani tu, ani tam znaleźć nie mogą przytułku, otwiera się obszerne izby dawnego gimnazjum Nowodworskiego. «Towarzystwo», prócz stałej wystawy współczesnej sztuki polskiej, dało nam tej zimy wystawy zbiorów p. Siedleckiego i zbiorów p. Jasieńskiego, dzieł Tooropa, Klingera i t. d. Muzeum odnowione odżyło i stało się środowiskiem życia: świadczą o tem i sale, dostępne już dla publiczności, i świeżo zawiązane grono przyjaciół Muzeum, i Towarzystwo polskiej sztuki stosowanej,—wystawy wreszcie, którym, korzystając z chwilowo nieurządzonych jeszcze sal, Muzeum dało gościnę: wystawa «sztuki», wystawa japońska i wystawą wspomnianego wyżej świeżo zawiązanego Towarzystwa. W dawnem wreszcie gimnazjum Nowodworskiem (przyszłem przedłużeniu Bibljoteki Jagiellońskiej, a obecnym przytułku uniwersytetu ludowego) zmieniały się kolejno wystawy: zabawek wyrobu krajowego, Towarzystwa polskich artystek (Willa góralska); obecnie ruchliwa «Ilustracja polska» urządziła tam polską wystawę fotograficzną. Wszystkich wystaw nie wymienię, bo nie pamiętam.

Tem mniej mogę wszystkie te wystawy opisywać. Zresztą nie o wystawy mi chodzi, tylko o krakowskie «zaspanie», które jednak nie przeszkadza nietylko około różnych rzeczy się zakrzątnąć, ale czasem nawet migiem bicz z piasku ukręcić, i to bicz wcale pokaźny.

Takim biczem jest bez zaprzeczenia wystawa «Towarzystwa polskiej sztuki stosowanej». Czyż polska sztuka stosowana istnieje? Sztuka *polska*, a nie sztuka wszystkich narodów świata, naśladowana więcej lub mniej zręcznie przez polaków? Nie istnieje. I dlatego właśnie, że nie istnieje, ci, co są zdania, że istnieć powinna, zawiązali Towarzystwo, które po paromiesięcznem ledwie istnieniu urządziło obecną wystawę. Wystawa nieistniejącej sztuki? Nie mówiłem: «bicz z piasku»? I, jak na złość, wystawa jest udana! Ale choćby się nie była udała zgoła, jeszcze jej inicjatorom złożyłbym mój korny pokłon za to, że zerwali ze starą galicyjską tradycją. Tradycja ta wymagała zwołania wiecu, na którym uchwalonoby odezwę do posłów w Wiedniu i Lwowie, by ci wezwali rząd i Wydział krajowy, iżby co prędzej zajął się stworzeniem polskiej sztuki stosowanej; w przeciwnym razie posłowie przejść mają do opozycji! Zamiast taką rezolucję uchwalić, ci panowie sami zakasali rękawy i—hajże do roboty! W kilka tygodni sztuki się nie tworzy, sztuki, zdatnej bodaj do homeopatycznego stosowania, ale panowie ci w kilka tygodni zrobili (nie oglądając się na nikogo) tyle, że doprawdy zazdrościć im mogą ci, których otacza «ruch, zgiełk, życie»...

Wystawa rozpada się na trzy działy: materjał historyczny (dawne zdobnictwo polskie), materjał ludowy i próby współczesne. Najdonioślejszym jest dział, w którym zestawiono motywy zdobnictwa ludowego z najrozmaitszych stron kraju. Dowodzi on przedewszystkiem, że, prócz Zakopanego, wiele mamy zakątków w kraju, które czekają na swego Witkiewicza. Powtóre: czekanie to skraca, bo góra przychodzi sama do Mahometa: artyści mają przed oczyma bogaty zbiór motywów dekoracyjnych ludowych i czerpać z nich mogą dowoli. A czerpanie to połączone jest z trudnościami nielada. Mnie się widzi, iż pierwszym jego warunkiem jest świadomość, że nie gotowe zdobnictwo polskie spoczywa w tych pisankach, wystrzygankach, haftach, malowaniach i rzeźbieniach ludowych, ale tylko surowy materjał, któremu piętno sztuki nadać może dopiero artysta swym wysiłkiem. Takie przynajmniej myśli cisnęły mi się na innej wystawie (której, przez grzeczność dla dam, za nic w świecie nie wymienię!), gdzie starano się rozwiązać zagadnienie, jak zrobić z serdaka krzesło, z guńki parawan, a z kapliczki—resor? Na wystawie w Sukiennicach znać w dziale «prób współczesnych» rzetelny wysiłek prawdziwych artystów przyswojenia sobie motywów ludowych, przejęcia się niemi szczerego i—samodzielną twórczą pracę.

Początek zrobiony. Zdobnictwa polskiego wystawa ta nie stworzyła, ale ułatwiła jego rozwój, i jeśli kiedyś zdobnictwo to powstanie, wystawa ta zajmie w jego dziejach honorowe miejsce, jako pierwsza poważna *zbiorowa* praca nad jego rozwojem. Indywidualne próby datują nie od wczoraj i ciągną się nieprzerwanie; dość wspomnieć Witkiewicza i świeży projekt Mehoffera odnowy katedry płockiej. Ale co wywołało tę zbiorową gorliwość całego zastępu ludzi, pracujących tak zawzięcie nad stworzeniem swojskiego zdobnictwa? Dlaczego ruch ten powstał właśnie w Krakowie? Przyszłemu jego historykowi ułatwmy zadanie!

Widok głównego dziedzińca zamku królewskiego na Wawelu, jakim ma być po dokonaniu restauracji. Rysunek prof. Odrzywolskiego. Architekt, kierujący odnową katedry na Wawelu, odtworzył tu raczej widok dawnego dziedzińca zamkowego i ożywił go rycerskim turniejem. Z porównania powyższego wizerunku z widokiem obecnym dziedzińca — okazuje się, że główna różnica architektoniczna między niemi polega na usunięciu przybudowanych pomiędzy kolumnami murów i usunięciu zamurowań okien. Zmiany te rozumieją się same przez się i są bardzo łatwo wykonalne. Zresztą plan restauracji zamku wawelskiego nie jest jeszcze zrobiony, ani też jeszcze nie jest wiadomem, kto nią będzie kierował.

Po wystawie, zacierając z zadowoleniem ręce, przechadza się rozpromieniony p. Feliks Jasieński, najżarliwszy bojownik o swojskość sztuki. I on się do wywołania tego ruchu przyczynił, ale sam jego zapał nie byłby wystarczył. Przypatrzmy się mu jednak, a bezwiednie wskaże on nam jego rzeczywiste źródło. P. Jasieński zjechał do Krakowa ze swemi zbiorami i swym zapałem i jął szukać sobie wroga, któregoby uśmiercił. Poszukiwania szły opornie. W Warszawie, we Lwowie znajdował przeciwników na poczekaniu; w Krakowie znajdował tylko zwolenników i złość nim miotała, iż wojowniczości swej dobyć nie mógł z pochwy. Aż trafił na Wawel i zawołał: mam go! Nie zwlekając, chwycił za swe zamaszyste pióro i jął pisać artykuły, w których odnowę katedry nazywa «wzorową szkołą niszczenia pamiątek i dzieł sztuki». Najsroższym zaś wybuchnął gniewem na widok niemieckich fabrycznych witraży, które tam umieszczono dla *ozdoby* (!) królewskiej katedry!

Panie Jasieński! Niech się pan uspokoi. Tych witraży nie trzeba tłuc w kawałki, jak się może marzy w pańskiej zapalnej głowie, ale kupić je pan powinien, jako cenne pamiątki, bo one to wzniecił zapał do pracy nad rozwojem swojskiego zdobnictwa. Ta ozdoba (!) Wawelu, *made in Germany*, sprowadzona z fabryk w Innsbruku i *Freiburg in Breisgau*, ten rzemieślniczy towar, ozdobiony koszyczkami w stylu *Altdeutsche Bierhalle*—to była ta kropla, co wypełniła miarę krakowskiego «zaspania» i stworzyła ruch ku odrodzeniu zdobnictwa na podstawie swojskich motywów ludowych. Witraże można będzie wyrzucić (jak wyrzucono na nie pieniądze), a ruch ten pozostanie. Kup pan te witraże do swoich cennych zbiorów!

Wierzbięta.

MALBORG.

W roku bieżącym ukończoną zostanie restauracja historycznego gniazda krzyżackiego, ogromnego zamku w Malborgu. Za czasów Fryderyka II groziła zamkowi doszczętna zagłada; dopiero w 1813 r. rząd pruski postanowił przywrócić dawny wygląd wspaniałemu zabytkowi, ale dopiero aż w 1872 przystąpiono do dzieła. I trzeba oddać sprawiedliwość, że dokonano restauracji z wielkim nakładem kapitału, pracy i umiejętności. Dziś jest Malborg obok Wartburgi najgodniejszym widzenia zamkiem starodawnym w Niemczech. Podajemy fotograficzne widoki jednej z sal oraz charakterystycznych piwnic zamkowych. Sala ta, zwana *der kleine Remter*, godna uwagi ze względu na jeden jedyny filar, podtrzymujący całe jej

sklepienie, oraz pamiętna tem, że w czasie oblężenia Malborga przez wojska polskie i litewskie, podczas obrony zamku przez walecznego Henryka z Pławna, puszkarz niektóry wycelił z działa przez okno, w ów właśnie filar i o mało że go kulą nie zgruchotał, gdy w sali cała starszyzna krzyżacka była zgromadzoną. Kula utkwiła w ścianie i do dziś dnia pokazują ją turystom, oraz napis obok niej staroświecki.

Sala narożna w odrestaurowanym zamku Malborskim, t. zw. »mały Remter«.

PIŚMIENNICTWO HISTORYCZNE.

Nowy pogląd na pieśń o «Bogarodzicy».

Badaczy zabytków średniowiecznego piśmiennictwa polskiego zdawna nęci zagadka, tkwiąca w najstarszej pieśni polskiej: «Bogarodzica». Pomimo niezliczone domysły wytrawnych lingwistów i historyków, pomimo mnogość odnośnych prac, pozostały tajemnicą i czas powstania pieśni, i autor jej, i okoliczności, które ją wywołały, i charakter stylowych zwrotów, i niektóre ciemne w treści ustępy tej pieśni. Uczeni usunęli dawno, bodaj już na początku zeszłego stulecia, legendę, przypisującą autorstwo pieśni o «Bogarodzicy» św. Wojciechowi, przesunęli epokę jej stworzenia na czas bliższy do nas—do wieku XIII lub pierwszej ćwierci XIV, rzucili garść domysłów na korzyść pochodzenia pieśni z Czech, a bodaj przekładu jej z niemczyzny, starali się uzupełnić najciemniejszy wiersz jej: «Twego dziela krzciciela», jako tekst, popsuty różnemi poprawkami i dodatkami—i ostatecznie stanęli przed mgłą grubą i nieprzebitą, otaczającą przeszłość zamierzchłą.

Obecnie niezmordowany badacz pomników piśmiennictwa polskiego, Aleksander Brückner, wydrukował w «Bibljotece Warszawskiej» rozprawę p. t.: «Bogarodzica. Rozwiązanie zagadki». Sądzi on, żeśtara, tylu uczonych nęcąca zagadka, przez niego została «rozwiązana raz na zawsze». Poczytujemy sobie za obowiązek zaznajomić czytelników z głównemi wnioskami tej rozprawki, chociaż z góry zastrzegamy się, iż nowej hypotezy Brücknera w świetle krytyki uważać nie możemy za pewnik niezbity, i w pracy jego widzimy raczej mnogość interesujących szczegółów na temat stosunków węgiersko-polskich i hymnologji polskiej, niż rozwiązanie ostateczne, ku któremu wszelako uczony profesor niewątpliwie uczynił krok znaczny.

Autor studjum słowo rozwiązania znajduje w legendzie o św. Kindze. Jak wiadomo, egzaltowana religijnie małżonka Bolesława Wstydliwego ślubowała czystość. Wychodząc za mąż za króla polskiego, położyła za warunek, aby oboje zachowali czystość swoją przez pierwszy rok małżeństwa na cześć Stwórcy wszechświata.

Na drugi rok wymogła na nim dalsze zachowanie dziewiczości ku czci «Matki miłosierdzia i Panny chwalebnej». Na trzeci rok prosiła o to samo na cześć Jana Chrzciciela. Bolesław Wstydliwy buntował się przeciw temu, groził, że weźmie sobie nałożnicę, ale cnotliwa niewiasta—jak głosi legenda—za sprawą Jana Chrzciciela potrafiła postawić na swojem. Po śmierci Bolesława, jako dziewica, wstąpiła do klasztoru Sądeckiego, gdzie, według opowieści Długosza, wraz z klaryskami opiewała chwałę patronki swojej, Matki Bożej. Powstała potrzeba wśród dziewic klasztornych, niepiśmiennych i nie znających łaciny, śpiewania w języku polskim. Zadość czyniąc tej potrzebie—zdaniem prof. Brücknera—jakiś kleryk stworzył właśnie pieśń o Bogarodzicy, która tedy po raz pierwszy rozbrzmieć miała w klasztorze Sądeckim w pierwszej połowie w. XIII. Nazwisko autora w owej epoce, która nie nawykła do otaczania blaskiem imion twórców, zapisanem dla potomstwa nie zostało, choć godnem było uwiecznienia, gdyż hymn ten był pierwszą pieśnią polską. Brückner obstaje więc za tem, że została ona oryginalnie utworzoną na gruncie polskim. Z tej racji formy z wokalizacją czeską «*slawiena*», «*zwolena*» uważa on za archaizmy czysto-polskie. Ciemny dla dotychczasowych badaczy wiersz: «twego dziela krzciciela», dotąd brany za popsuty ułamek tekstu, Brückner uważa za całkiem jasny. Robiono niepotrzebne domysły nad poprawieniem i uzupełnieniem wcale niepopsutego tekstu, który należy czytać poprostu, mając na uwadze, że «*krzciciel*» oznacza «Chrzciciela», t. j. Jana Chrzciciela, choć brak przy tem słowie imienia, że «*dziela*», nie zaś «*dziela*», jak dotychczas czytano, równoznacznem jest z przyimkiem «*diela*», t. j. «*dla*», stawianym w staropolskim języku na drugiem miejscu; że przeto cały wiersz czytać należy: «dla Twojego chrzciciela, o Synu Boży» (w pieśni «*bożyca*», co jest formą również polską, w rodzaju «podczaszyca»; «bożyc» oznacza, według Brücknera, syna Bożego).

Związek pieśni z legendą o św. Kindze utwierdza Brückner w ten sposób, że gdy pierwsza zwrotka zwraca się do Marji, za której sprawą Kinga zachowała dziewictwo w drugim roku pożycia, druga zwrotka ma na myśli pomocną w tym względzie przyczynę Jana Chrzciciela, któremu czystość swoją Kinga ofiarowała w trzecim roku pożycia swojego z mężem. Inaczej, zdaniem Brücknera, niepodobna wyjaśnić «niezwykłego, nienaturalnego związku» w pieśni imienia Bogarodzicy ze zwrotem do Jana Chrzciciela.

Stanisław Dobrzycki, oddając w «Czasie» wielkie pochwały rozprawie Brücknera, uważa jednak, że uczony badacz nie udowodnił dostatecznie związku pieśni o Bogarodzicy z legendą o św. Kindze. Podobnież i Piotr Chmielowski w «Gazecie Polskiej», oddając hołd pracy uczonego badacza, w rozwiązanie zagadki nie wierzy. Robi on słuszne krytyczne uwagi, wskazując, że gdyby Brückner był blizkim prawdy, to w pieśni na początku znaleźlibyśmy słówko o «Stwórcy wszechświata», któremu Kinga i jej małżonek ofiarowali czystość w pierwszym roku pożycia. Dalej zauważa, że Kinga nie śpiewałaby na ten temat pieśni z towarzyszkami, gdyż, według legendy, małżonkowie zachowywali pozory naturalnych stosunków małżeńskich, przed światem ukrywali śluby swoje tak dalece, że Kinga, wstąpiwszy do klasztoru po śmierci męża, umyślnie, w celu dochowania w tej mierze tajemnicy, przyjmowała błogosławieństwo jako wdowa, a nie jako dziewica.

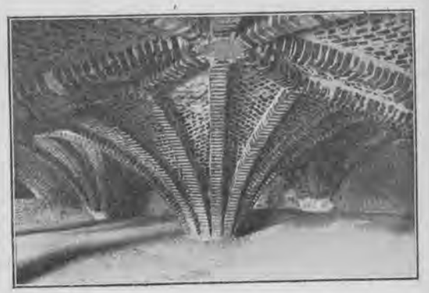

Piwnice krzyżackie w podziemiach zamku Malborskiego.

Pamiętniki ks. Adama Czartoryskiego w oświetleniu krytycznem prof. Henryka Ulmanna.

Z sumiennością prawdziwego uczonego, z bezstronnością, którą rzadko napotykamy ostatniemi czasy w pracach niemieckich historyków, gdy zawadzają o sprawy polskie, oświetlił prof. Heinrich Ulmann w pracy p. t.: «*Ueber die Memoiren des Fürsten Czartoryski*» wydane przez Mazada pamiętniki ks. Adama Czartoryskiego i korespondencję jego z cesarzem Aleksandrem I. Przy pomocy mozolnych badań i zestawień udowodnił on, wbrew dotychczasowym mniemaniom wielu zachodnich uczonych, że pamiętniki Czartoryskiego posiadają zupełną historyczną wiarogodność, że spotykane w nich drobne błędy faktyczne nie są wynikiem jakichś umyślnych przeistoczeń, lecz naturalnego zapomnienia—gdyż najwidoczniej dopiero po r. 1831 wziął się Czartoryski do dzieła i począł utrwalać na papierze wspomnienia z ubiegłych lat czterdziestu; że pomimo to autor pamiętników, jakkolwiek pod wieloma względami doznał rozczarowań, potrafił wiernie i z zadziwiającą świeżością nakreślić wizerunki opisywanych przez się osób, a między innemi cesarza Aleksandra I, a z całości dwutomowego dzieła wygląda sam autor, jako dojrzały i zrezygnowany mąż, który z wysokiego stanowiska patrzy na zgryzoty i troski własnego żywota i na przepływające zmiennemi falami dziejowe wypadki.

Prof. Ulmann zaznacza na wstępie oryginalną indywidualność ks. Adama i wyróżnia go zaszczytnie z tłumu zdolnych lub przebiegłych karjerowiczów, dbałych tylko o własne wyniesienie się. Zawsze milczący, zimny, rozważny, wysoko wykształcony, niepodległy w charakterze, niezdolny do zdradzenia swoich obowiązków, ks. A. Czartoryski posiadał wszelkie przymioty, pozwalające mu kierować sprawami zagranicznemi Rosji, a jednocześnie nie szkodzić w niczem własnemu krajowi. Z jednej strony tak lojalny w działaniach, że Tatiszczew nazwał go, jako ministra, wybornym rosjaninem, z drugiej — jak wykazuje Ulmann na zasadzie całego mnóstwa rysów—był on szczerze oddany własnemu krajowi, a zawsze działając dla jego dobra, potrafił mimo to nie zniżyć się nigdy do obłudy.

Wysłany do Włoch na służbę przez cesarza Pawła, pragnącego położyć tamę rozwijającemu się zbliżeniu młodego cesarzewicza z księciem, powołany zostaje Czartoryski przez Aleksandra I natychmiast po wstąpieniu jego na tron i przeznaczony do prowadzenia spraw zagranicznych. Książę Adam przyjmuje tę wysoką godność w rządzie rosyjskim jedynie pod tym warunkiem, że nie będzie pobierał żadnego wynagrodzenia, a w każdej chwili dozwolonem mu będzie cofnąć się, skoro tylko się przekona, że jego charakter ministerjalny staje w sprzeczności z obowiązkami względem kraju. Nie ustając w pracy, reformuje uniwersytet wileński, otwiera w granicach dawnej Rzeczypospolitej mnogie szkoły, polonizuje oświatę w dzielnicach litewskich, bodaj za wyraźnem zezwoleniem Aleksandra I, noszącego się wówczas—według Ulmanna — z planem «obdarzenia swych dzierżaw polskich odrębną egzystencją, jeśli nie w pełni polityczną, to samorządną». Jest zarazem nader pomocny Aleksandrowi I, któremu podaje nader ważny memorjał w przewidywaniu blizkiego konfliktu z Napoleonem. Prof. Ulmann dowodzi bardzo szczegółowo i przekonywująco, że rady Czartoryskiego, dawane Aleksandrowi I podczas kampanji 1805 r., były bardzo trafne, i gdyby były usłuchane, nie przyszłoby prawdopodobnie do klęski austerlitzkiej. Naogół postać poważnego męża stanu, zawsze myślącego o wskrzeszeniu swojego kraju i opierającego się w marzeniach swoich na dobrotliwych zamiarach monarchy, który w młodych latach hołdował ideom wielkiej rewolucji francuzkiej, postać politycznego działacza, którego uczciwość i dobra wiara zaświadczoną została przez rosyjskich współczesnych dyplomatów, postać—dotąd mało pojęta a często czerniona—występuje w pracy prof. Ulmanna i wypukle i sympatycznie.

L. B.

ARCYKSIĄŻE FRANCISZEK FERDYNAND D'ESTE, następca tronu austrjackiego (ur. 1863 r.), synowiec cesarza Franciszka, gościł na dworze Cesarskim w Petersburgu od d. 25 do 31 stycznia.

Z CATTARO DO CETYNJI.

NOTATKA TURYSTY.

(Dokończenie).

Wśród stromych skał, otaczających Cetynję, na parę wiorst wzdłuż i wszerz równa roztacza się łąka. Środkiem jej biegnie szeroka ulica o białych niziutkich domkach, dachówką krytych. Na końcu ulicy i prawie w poprzek niej, w pewnem od siebie oddaleniu, stoi kilka budynków jednopiętrowych o skromnej architekturze, a są to: pałac książęcy, pałac następcy tronu, hotel (jedyny w Cetynji) i teatr. Z boków u podnóża skał z jednej strony stary monastyr, siedziba dawnych władyków i tak zwany Biljar, dawny zameczek obronny, z drugiej zaś długie piętrowe koszary, przed któremi roztacza się obszerny plac, przeznaczony dla ćwiczeń wojskowych. Drzew w całem mieście bardzo mało i licho rosną. Przed pałacem następcy tronu świeżo założony ogród i zasadzone drzewka będą kiedyś dla miasta nie lada ozdobą. Nie zapomnijmy, iż Cetynja leży na wysokości 660 metrów, zima jest tu srogą, przytem dzięki otaczającym ją zewsząd skałom, a tam dalej niebotycznym górom, słońce tu późno wstaje, a wcześnie zachodzi; o bogatej więc roślinności mowy być nie może.

Wyznać muszę, iż w pierwszej chwili, gdym wjeżdżał do stolicy Czarnogórza, mocno byłem rozczarowany. Wydało mi się, iż jestem ofiarą złudzenia i że wjeżdżam raczej do lichej mieściny niemieckiej, gdzieś tam w Bawarji lub dolnej Austrji. Garson we fraku wita nas po niemiecku, wprowadza do hotelu, jakich tysiące w życiu spotkałeś, jeśliś podróżował pieszo lub końmi, i zatrzymywał się w mieścinach Francji lub Niemiec.

Znużony całodzienną podróżą, położyłem się zły i markotny, żem dobrowolnie zniszczył ten urok, jaki w mej wyobraźni otaczał Cetynję, stolicę Czarnych-Gór.

Pierwsze promienie słońca, przedzierające się przez szczeliny okiennic, budzą mnie ze snu. Otwieram okno. Powietrze górskie, świeże, orzeźwiające wciska się do piersi. Robi się wesoło, swobodnie. Rozglądam się po pokoju. Na ścianach fotografje pięknych mężczyzn w stroju narodowym, na stole nieczytane dzienniki w opaskach. Otwieram szafę, by zawiesić ubranie. W szafie jakieś pasy haftowane, rozmaite części bogatego stroju, rozrzucone w nieładzie. Wołam służącego, wymawiam mu, że mnie umieścił w pokoju zamieszkałym, ale mój niemiec, a raczej nieco po niemiecku mówiący czarnogórzec, z którym się następnie doskonale po polsku porozumiewałem, uspakaja mnie, iż w tym pokoju mieszka zwykle minister sprawiedliwości; wyjechał na parę tygodni do Rjeki i pozwolił pod swą nieobecność pokój gościom oddawać. — Ale czemuż—powiadam—rzeczy na ten czas nie zabierzecie? nie pochowacie? — Po co?—rzecze zdziwiony służący — wróci pan minister, to wszystko na swojem miejscu zastanie.

Idziemy na ranną herbatę do sali jadalnej. Dwa duże okrągłe stoły zastawione pośrodku całą baterją piklów, konserwów i najrozmaitszych sosów w buteleczkach. Widocznie anglicy przeważnie tu uczęszczają i swoje tu wprowadzili obyczaje.

Jakoż oprócz d-ra Stead'a i naszych znajomych angielek, zastajemy przy herbacie wiekową angielkę z młodziutkim synem, a przy drugim stole całe towarzystwo angielskie, z 6 osób złożone. Zwiedzanie Czarnej Góry musiało stać się w Anglji modną zabawą sportową. Pod oknem na wielkim stole rozrzucone w nieładzie fotografje, kartki korespondencyjne, marki pocztowe. Na kanapie hafty złote, pasy nabijane krwawnikami, stare pistolety, jatagany, oczekują nabywców. Nikt tego nie pilnuje, goście biorą do ręki, próbują broń; tuzinami zabierają kartki pocztowe do swych pokoi. Nikt ich nie kontroluje. Śpiesznie pijemy herbatę, by jaknajprędzej zacząć zwiedzanie stolicy. Drzwi od korytarza się otwierają, wchodzi bardzo przystojny młodzieniec w bogatym stroju, przykrytym sukiennym popielatym kubrakiem. Rozgląda się dokoła, zapytuje o coś służącego, i skłoniwszy się grzecznie wychodzi. Był to książę Mirko, młodszy syn panującego księcia Nikity. Szukał swego dawnego nauczyciela, szwajcara, który mieszka w hotelu, by go z sobą zabrać na spacer.

Wychodzimy na miasto, jeśli miastem nazwać można jedyną, długą ulicę, o nizkich małych domkach, mieszczących ogółem tysiąc dwieście mieszkańców.

Niedziela! Więc wszyscy mieszkańcy stolicy, w strojach odświętnych, zaległi główną ulicę. Ale tylko mężczyźni. Kobiet prawie zupełnie nie widać.

Jakże mi się inną Cetynja wydała, niż wczoraj, gdyśmy do niej wjeżdżali. Ci ludzie, poważni, zbrojni, wolnym krokiem po kilku się przechadzający, te marsowe postacie o długich, sumiastych wąsach, patrzące na cię bez ciekawości, z jakąś wielkopańską butą i pewnem niedowierzaniem u młodszych—to wszystko wnet zatarło wrażenie dnia ubiegłego. I wydało mi się, żem już tych ludzi

gdzieś widział, ale tak dawno, że pamięcią już sięgnąć nie mogę. I nie było tam gór skalistych dokoła, i wierzchów śniegami krytych. Potężna rzeka szumiała, wartkie jej wody rozbijały się o skaliste porohy; dokoła step się roztaczał. Ale ludzie ciż sami, zbrojni, buńczuczni, przechadzali się po kilku, rozmawiając o swobodzie, o walkach z bisurmanem, o przyszłych zwycięztwach...

Zaczynamy zwiedzanie stolicy od najstarszego jej zabytku, od monastyru. Zbudowany w 1485 roku przez Iwana Krnojewicza, wsławionego w historji Czarnogórza bohatera, kilka razy przez turków zburzony i odbudowany, monastyr był niegdyś rezydencją władyków, książąt i zarazem najwyższych dygnitarzy kościoła. Obecnie zawiera grobowce dynastji Petrowiców.

Na skale nad monastyrem wznosi się piękny marmurowy pomnik, zdobny w wielki bronzowy medaljon, przedstawiający głowę pięknego, lecz surowego mężczyzny w kołpaku futrzanym.

Czytamy napis:

Metropolit
DANIŁO
Gospodar Cernogorski
Roden godine 1677
Stupio na vladu godine 1696.
Prestavio se godine 1735.

Dalej zwiedzamy tak zwany «Biljar», zameczek obronny o czterech narożnych basztach, zbudowany przez Piotra II, ostatniego z książąt, który piastował godność duchowną «władyki». Nazwę Biljar zawdzięcza sali bilardowej, w której książę dostojnych gości przyjmował. W tej to sali Piotr II, zręczny polityk, dzielny wódz i poeta, wygłosił odę na cześć króla saskiego, który doń w odwiedziny przyjechał. Obecnie Biljar mieści w sobie ministerstwa i drukarnię, w której drukowanem jest pismo «Glas Crnagorja».

Zawracamy ku nowemu pałacowi, zbudowanemu przez ojca panującego obecnie księcia i zamieszkałemu od 1860 r. Jest to skromny dwór piętrowy, bez żadnych ozdób architektonicznych, skromniejszy od większej części dworów wiejskich, jakie się u nas widuje. Największą, a raczej najbardziej cenioną ozdobę gmachu stanowią barometr i termometr, zawieszone u wejścia. Co chwila jeden z wąsali do nich zagląda. Dwór książęcy obecnie pusty, jego książęca mość bowiem do Rjeki lub Antiwari zwykle na zimę wyjeżdża, zarówno jak i następca tronu, ks. Daniło.

Stary czarnogórzec, którego nam dano w hotelu za przewodnika, przedstawia nam po francuzku napisany spis ciekawości miasta. Czytamy w nim: teatr, arsenał, koszary, pałac legacji austrjackiej. Zacznijmy od teatru. Po drodze niemile nas razi dźwięk kajdanów. Rozglądamy się dokoła i z największem zdziwieniem, a nawet pewnem uczuciem wstrętu, widzimy o parę kroków od siebie dwóch ludzi, spacerujących z kajdanami na rękach i na nogach. Nie widać, by ich kto pilnował. Wprawdzie o kilka kroków chodzi czarnogórzec, uzbrojony w rewolwer, jak i wszycy tutaj, ale żadnej na więźniów nie zdaje się zwracać uwagi. — Co to za jedni?—pytam przewodnika. Co oni zrobili?—A kto ich wie! — odpowiada spokojnie; — oni nie tutejsi. A na długo skazani? — pytam.—Niewiem! Może na dwa lata, może na piętnaście.—I jakże? nikt ich nie pilnuje? Wszak mogą uciec!—Dokąd? W górachby z głodu pomarli, a we wsi zaraz ich złapią i odprowadzą. Tymczasem więźniowie jeszcze się bardziej do nas zbliżają. Twarze zwykłe, tylko bardziej od otaczających butne i zuchwałe, ale ten przykry dźwięk kajdanów dreszczem przejmuje...

Książe Mikołaj czarnogórski.

Jeden z nich upomina się o coś u przewodnika. Jużem sięgał do kieszeni, ale ten kiwa głową przecząco. Więzień prosi o jeden egzemplarz fotografji, którą przed paru dniami jakiś anglik z niego zdejmował.

Wchodzimy do teatru. Jest to budynek skromny, kwadratowy. Sala niewielka, ale sympatyczna, wcale nieźle narysowana. Portjer, z rewolwerem u boku, spuszcza podniesioną kurtynę, by się nią przed nami poszczycić. Na płótnie, bardzo sztywnem i załamującem się w niemiłe fałdy, widzimy starego, o długich białych wąsach, na odłamku skały siedzącego wojaka. Wkoło niego stoją młodzi rycerze, słuchający z uwagą opowiadań starca. I znowu Sicz ukraińska staje mi żywo w pamięci. Ten starzec, to nasz lirnik, opiewający stuletnie walki z bisurmanem.

Prowadzi nas przewodnik do loży książęcej. Podziwiamy, chwalimy. «Nasz kraj biedny, my waszych bogactw i przepychów nie mamy—rzecze stary—wy chwalicie przez grzeczność». Zapewniam go, że wszystko tu nam nadzwyczajnie się podoba. Prowadzi nas do czytelni, w budynku teatralnym mieszczącej się. W obszernej sali, na wielkim stole, zielonem suknem przykrytym, widzimy sporą ilość dzienników i pism perjodycznych.

Spostrzegam «Revue des deux Mondes» i «de Paris», illustracje, parę pism niemieckich, serbskich; z rosyjskich zaś «Nowoje Wremia», «Moskowsk. Wied.» i «Niwę». Kilku starszych mężczyzn siedzi koło stołu i czyta uważnie. Wśród nich bardzo piękną postawą i bogato haftowanym kontuszem odznacza się brunet lat średnich o twarzy marsowej. To minister dworu—mówi nam przewodnik półgłosem. Pan minister wszakże usłyszał i skłonił się grzecznie.

Arsenał—to długa kamienna szopa w rodzaju wozowni. Pilnujący go podoficer otwiera środkową bramę i z wyrazem szlachetnej dumy, wskazuje na ścianę, zawieszoną od góry do dołu mnóstwem sztandarów tureckich, zdobytych w czasach nieustających walk i mordów. Po środku wisi chorągiew czerwona z białym krzyżem, a raczej strzępki chorągwi. Tak bowiem podziurawiona kulami, tak posiekana, że koloru i kształtów dopatrzeć trudno. To sztandar z pod Dulcigno, z czasów walk ostatnich. Pięciu czarnogórców padło z kolei, niosąc to znamię. Szósty je zatknął na murach warowni. Widzimy kilka dział polowych Krupp'a, mitrailjezę firmy Nobla w Petersburgu; na ścianach wiszą kawaleryjskie szable rosyjskie, dla oficerów przeznaczone. Dalej niezliczona ilość pak białych, stosami ustawionych. Każda z nich zawiera dwadzieścia karabinów rosyjskich, ułożonych w przedziałach. Każdy czarnogórzec — tłómaczy nam przewodnik — ma ich po dwa w domu: berdankę i karabin nowego systemu. To są zapasowe.

«Jest to — powiada on nam — dar cara rosyjskiego». Przekonałem się, że wogóle czarnogórcy wielbią Rosję i niezmierną wdzięczność jej okazują.

Wychodząc z arsenału, zamieniliśmy między sobą parę uwag po polsku. Nie dosłyszał ich przewodnik, ale mu się wydało, że rozmawiamy po rosyjsku. Oblicze mu się rozpromieniło i gdyśmy wchodzili do koszar, słyszałem, jak szepnął podoficerowi: «Russ! russ!». Podoficer, również uradowany, podskoczył do nas uprzejmie, oprowadzał po całych koszarach, nie wyłączając i kuchni, którą zdawał się szczycić wyjątkowo, chociaż przygotowane misy bobu nie dawały wysokiego wyobrażenia o wykwintności stołu.

Zresztą wszędzie dość czysto, powietrze świeże, a żołnierz ochoczy, wesoły.

Pałac rezydencjonalny ks. czarnogórskiego w Cetynji.

Koszary tutejsze mieszczą w swych murach sześciuset ludzi. Są to 20-letni chłopcy, którzy odbywają tu powinność wojskową w ciągu 4 miesięcy tylko, poczem wracają do domu, a na ich miejsce przychodzą inni. W chwili, gdyśmy zwiedzali koszary, trąbka dała się słyszeć i wnet ze wszystkich stron młodzież w podskokach zbiegła się wesoło na podwórze, poczem chwyciwszy karabiny, w największym porządku, w czterech oddziałach na wielkim placu przed koszarami stanęła.

Zagrały trąbki wesoło, warknęły bębny—i wyborna kapela wojskowa, wyszedłszy przed front, rozniosła wśród skał, piętrzących się dokoła, dźwięki marsza bojowego, które echa od szczytu do szczytu aż hen, tam w niebotyczne góry rozniosły.

Wojsko, podzielone na 4 kampanje, zaczęło manewry, które trwały bez przerwy od godziny 3 do 7. Staliśmy ze dwie godziny, nie mogąc oczu oderwać od tych mołojców, którym równych na świecie chyba niema. Od trzech miesięcy zaledwie zebrani, odbywają ćwiczenia wojskowe z iście pruską sprawnością, bez tej sztywności wszakże, jaką w wojsku pruskiem widzimy. Umundurowanie żołnierza w niczem się nie różni od zwykłego stroju narodowego. Pąsowa kurtka swobodna, a przytem uwydatniająca atletyczną budowę ciała, i szerokie granatowe spodnie, wpadające w białe, obcisłe, z grubego sukna kamasze. Na głowie zwykła czarnogórska czapeczka. Tornistrów na ramionach nie noszą. U karabinów rzemienne paski dla przerzucenia przez plecy. Za pasem rewolwer wielkiego kalibru. Nie widzę sławnych jataganów. Pytam przewodnika, czy zostały zarzucone. On się uśmiecha: «Na manewrach—tak. Ale na wojnę żaden z nas bez handżaru nie pójdzie. Przecie turek najwięcej się go boi. Zwykle bitwa zaczyna się od strzelania, to zabawka. A potem handżar w zęby i hajda! Tego już turek nie lubi. A nasz go po gardle: «Ne bojsa brat» — i głowa już w ręku!»

Nie wiem, czy stary chciał mi zaimponować nieco, czy też rzeczywiście jatagan w ręku czarnogórca jest tak strasznym; to jedno wiem, żem wojska równego temu, które przed nami ewolucje robiło, w życiu nie widział. Czuć było, że każdy z tych ludzi całą duszą jest żołnierzem, a w danym razie zostanie bohaterem. Że nietylko umrzeć za ojczyznę, ale i zwyciężyć potrafi. I takim jest każdy czarnogórzec od dzieciństwa prawie do późnej starości.

Zwiedzamy z kolei pałac legacji austrjackiej. Położony prawie na samym wjeździe do Cetynji, u podnóża skał, jest to niewątpliwie najpiękniejszy w stolicy budynek.

Dwupiętrowy gmach w staro-niemieckim stylu zawiera mieszkania ministra-rezydenta, biura legacji i piękną kaplicę. Mnóstwo służby kręci się wokoło. Państwo austrjackie nie poskąpiło na reprezentację w Montenegro.

J. Jodko.

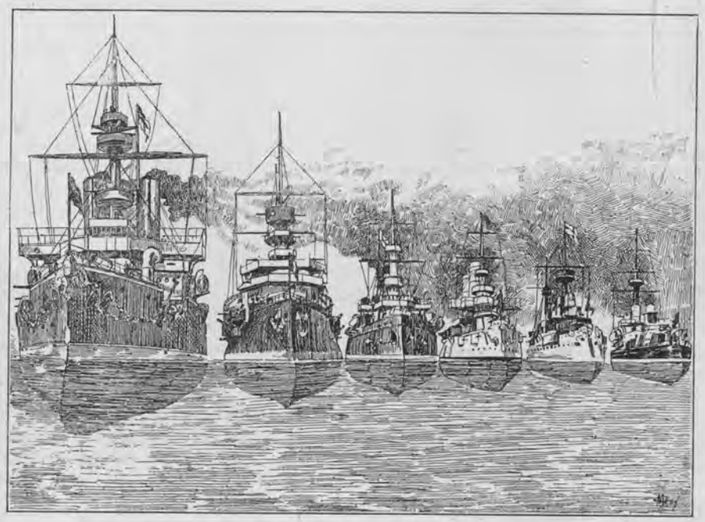

Anglja. Francja. Rosja. Stany Zjedn. Niemcy. Włochy.

SIŁY LĄDOWE I MORSKIE

MOCARSTW GŁÓWNYCH.

Ile żołnierza wystawić mogą główne mocarstwa na plac boju, w przybliżeniu tylko da się obliczyć. Rosja postawić może na stopę wojenną do 3½ miljona, Niemcy—3 miljony, Francja—2½ miljona. Nie te jednak cyfry chcemy porównawczo uwydatnić. Załączona rycina wykazuje metodą poglądową dzisiejszy stosunek do siebie ilościowy sił zbrojnych lądowych siedmiu mocarstw głównych—*na pokojowej stopie*. Pierwsze miejsce zajmuje: Rosja (860 tys. ludzi), drugie—Francja (615,500), trzecie—Niemcy (585,500), czwarte—Austrja (385,700), piąte — Włochy (231,300), szóste — Anglja (163,500), siódme—Stany Zjednoczone Ameryki (25,000).

Inaczej układa się takiż stosunek sił morskich. Pierwsze miejsce co do potęgi marynarki zajmuje Anglja, drugie—Francja, trzecie—Rosja, czwarte—Stany Zjednoczone, piąte—Niemcy, szóste—Włochy. Za dalekoby zawiodły szczegółowe cyfry. Dość powiedzieć, że Anglja rozporządza w chwili obecnej 42 pancernikami, a Włochy mają ich tylko 15; stosunek liczby krzyżowców jeszcze znaczniejszy: Anglja — 112, Włochy—27. Natomiast Francja np. posiada największą liczbę torpedowców (181). Liczebność jednak większa lub mniejsza danego rodzaju statków nie ma decydującego znaczenia; zależną jest od systemu, według którego prowadzoną jest marynarka danego państwa.

Z.

Rosja. Francja. Niemcy. Austrja. Włochy. Anglja. St. Zjed.

POD GWIAŹDZISTYM SZTANDAREM.

NASI EMIGRANCI W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Pionierami polskiej emigracji do Stanów Zjednoczonych byli kaszubi z okolic Pucka i Gdańska, którzy przed pół wiekiem nowe sobie w Ameryce założyli siedziby. Byli to po największej części rzemieślnicy, którym początkowo powodziło się nieszczególnie. Żyli z dnia na dzień, nie odkładając zapasów na jutro, wielu z nich jednak wywędrowało z miast na fermy i tam dzisiaj ich synowie do zamożnych należą gospodarzy.

Dopiero po wojnie domowej, na początku siódmego dziesięciolecia ubiegłego wieku zakwitnął w Stanach Zjednoczonych przemysł na dobre, a emigracja polska szerokiem tam napływać poczęła strumieniem.

Przybywszy do wybranego przez siebie miasta, emigranci poszukiwali rodaków i odnaleźli kaszubów, przytulonych do niemieckich kościołów, gdzie za opłatą wyznaczono im ostatnie ławki, nie dając im żadnego znaczenia i głosu w parafji, ani prawa zasiadania w ławkach, zajmowanych przez niemców. Traktowano ich jako ludzi mniej wartościowych i brano od nich chętnie pieniądze, nie dając im za to równouprawnienia w parafji. Zaznaczam jednak, że nie było to winą księży niemieckich, którzy na brak ofiarności polaków dla kościoła i księdza nie mogli narzekać.

Skoro nowo-przybyły chłop

polski przypatrzył się nieco obcemu miastu, poznał jego zwyczaje, znalazł zarobek i poczuł niejako grunt pod stopami, ogarniała go zwykle tęsknota za swoimi, czuł się obcym, samotnym i bezradnym. Starał się tedy sprowadzić za sobą swoich krewnych lub znajomych. Pisał więc listy do «starego kraju», malując w nich swoje położenie w jaknajjaśniejszych barwach. A kiedy wreszcie udało mu się namówić kogo na tę daleką drogę, posyłał mu opłaconą kartę na całą podróż i potem ściągał z niego należność do ostatniego centa. W ten sposób rosła emigracja w Stanach Zjednoczonych nawet bez pośrednictwa agentów emigracyjnych, bo każdy wychodźca stawał się tam niejako takim agentem.

Nowy przybysz znajdował już przygotowane dla siebie pomieszkanie z najpotrzebniejszemi sprzętami, więc po sutych libacjach z krewnymi, starymi i nowymi znajomymi, na drugi dzień udawał się do szapu (*shop*, fabryka), gdzie już czekała go przygotowana dlań robota. Zarobek tygodniowy wynosi od 7½—9 dolarów i więcej, jeżeli emigrant jest zwykłym robotnikiem, dwa i trzykroć tyle, jeśli jest rzemieślnikiem. Z tego wydaje mniej więcej 4 dolary na tydzień, a resztę oszczędza. Skoro spłaci długi i znajdzie się w posiadaniu około 250 dolarów, zamyśla o budowie domu własnego. Ogląda tedy loty (*lot*, plac budowlany) okoliczne, idzie do ich właściciela, godzi się na cenę, która w rozmaitych miastach waha się między 500 a 800 dolarami, wpłaca 50 dol., a resztę oddaje ratami w miarę możności, płacąc po siedm procent od sumy długu. Załatwiwszy się z kupnem placu, poszukuje cieśli, najczęściej polaka, i z nim się o budowę układa. Dom kosztuje od 500 do 800 dol., trzeba więc poszukać kredytu, którego zawsze najchętniej użycza sprzedawca placu, zatrzymuje bowiem tytuł własności aż do spłaty ostatniego dolara, ma pieniądze, ulokowane na wysoki procent, i nic nie ryzykuje, bo w razie bankructwa dłużnika pozostaje mu dom, którego szacunek dwakroć przewyższa pożyczoną sumę. Spłata długu trwa 6 do 10 lat przy dobrych warunkach pracy i zabiegliwości.

Domy prawie wszystkie są drewniane: najtańsze, t. zw. szyndy (*shanties*), zawierające tylko kuchnię i jedną izbę, już zanikają powoli. Domy emigranckie, których typ dziś się już ustalił, są budowane na dwie familje i każde w nich mieszkanie posiada trzy izby (*rooms*). Dzierżawa z połowy domu przynosi około 50 dolarów rocznie. Dom taki stawia bardzo często, świadom potrzeb emigrantów naszych zręczny spekulant, zamierzając z czasem, gdy się okolica zabuduje, przybudować sklep na froncie i zająć się handlem, porzuciwszy pracę fabryczną. Ponieważ grunt pod budowę domu ma zwykle 30 stóp frontu, a sto do stu kilkudziesięciu głębokości, zatem zostaje dość miejsca na ogródek, w którym obok winogron i drzew owocowych hodują się kwiaty i warzywa.

Bogactwem naszych emigrantów są podrastające dzieci. Od czternastu lat chodzą do fabryki, zarabiając z początku po dwa dolary, a później, stosownie do wieku i siły, aż do 10 dolarów tygodniowo, to też rodzice, posyłający na zarobek czworo lub pięcioro dzieci, mogą składać oszczędności. Dziewczęta chodzą do lżejszej pracy, jak np. do fabryki cygar, zapałek, krzesek, guzików i t. p. Zarobek ich jednak jest również znaczny. Te jednak nie wszystkie pieniądze oddają rodzicom, lecz znaczną z nich część przeznaczają na stroje. Do strojów bowiem polki amerykańskie mają wielkie zamiłowanie. Jako przykład tego, niech posłuży następujące wydarzenie: pewien wędrówny kupiec udał się z towarami do Dakoty, gdzie w okolicy Minto kilkudziesięciu polskich osiadło fermerów. Zabrał z sobą rzeczy, jakie uważał za najpotrzebniejsze dla polskich niewiast. Towar jego jednak nie znalazł chętnych nabywczyń, ponieważ nie był dosyć elegancki. Tylko jeden sealskin, czyli futerko za 130 dolarów zostało kupione odrazu. Kupiec zamówił zaraz dwadzieścia nowych sealskinów i te z równą łatwością rozprzedał. Dziewczęta polskie zaraz po przybyciu do Ameryki zarzucają strój wiejski i przebierają się w suknie wielkomiejskie, zaczynają inaczej czesać włosy, każą się fotografować i posyłają swoje obrazki do starego kraju. Żaden trzewik nie jest dla nich za drogi, żaden kapelusz za elegancki. Szwaczki zarabiają dobrze, to też jest ich tu mnóstwo. Moralność dziewczyn pracujących po fabrykach—zresztą jak wszędzie — nie jest najlepszą. Siedząc w tramwaju, w czasie kiedy robotnice wracają z fabryki, można się nasłuchać rzeczy, od których uszy spuchnąć mogą.

Skoro liczba polaków przy którymkolwiek kościele niemieckim zbliżyła się do dwustu, zaczynają myśleć o zbudowaniu własnej świątyni. Z początku w tym względzie było do zwalczenia wiele trudności zarówno ze strony księży niemieckich, którzy nie chcieli się pozbyć dochodów od polaków, jak i ze strony biskupów, którzy nie byli radzi z wielojęzycznych parafij, nie posiadali bowiem księży polaków, a zresztą o polakach wogóle mieli jaknajgorszą opinję, urobioną właśnie na podstawie sprawozdań ich dotychczasowych duszpasterzy. Ale gdy między emigrantami znalazł się jaki ksiądz polski, nieraz choćby z nienajlepszem *exeat* ze swojej djecezji, zaraz zaczynał chodzić około interesu polaków i własnego: biskupom nie dawano spokoju, posyłano deputacje za deputacjami, używano prasy do pomocy, aż wykołatano pozwolenie na budowę kościoła. Ksiądz, który był na miejscu i starał się o pozwolenie, zostawał też zwykle proboszczem i musiał kościół sam budować. Pierwszą jego czynnością było iść do okolicznych właścicieli gruntów (*landlords*) i zapytać, czyliby który darmo gruntu pod kościół nie oddał? Najczęściej udawało się to bardzo łatwo, bo jeżeli właściciel posiadał np. sto placów budowlanych, których nie miał nadziei sprzedać w najbliższym czasie i jeżeli wartość tych placów wynosiła w danym dniu przypuszczalnie 40 tysięcy dolarów, to po wybudowaniu kościoła wartość placów wzrastała o 50 proc. i można je było rozsprzedać wszystkie w przeciągu lat kilku. Darowawszy więc dziesięć placów pod kościół, właściciel gruntów robił jeszcze znakomity interes, bo zarabiał na czysto 35 proc. Gdyby zaś ofiary odmówił, wtenczas ksiądz zwróciłby się w inną stronę, a on pozostałby przez długie lata na pustkowiu.

Józef Iłowiecki.

DN

Ś. p. LUCJAN WROTNOWSKI.

W chwili oddawania pod prasę «Życia i sztuki» niniejszego N ru «Kraju» otrzymaliśmy depeszę o nagłem zejściu ze świata w Warszawie w d. 29 b. m. jednego z bardzo wybitnych ludzi w społeczeństwie naszem. Przypominamy tylko, że ś. p. Lucjan Wrotnowski, z zawodu adwokat, cieszący się nieograniczonem zaufaniem szerokich kół, zwłaszcza ziemiańskich, stał przez czas długi, jako wice-prezes, na czele warszawskiego Tow. zach. sztuk pięknych, uorganizował w 1891 r. na międzynarodowej wystawie w Berlinie pierwszy samodzielny oddział malarstwa polskiego, czynny brał udział w licznych sądach i komitetach obywatelskich, a od maja roku ubiegłego był redaktorem naczelnym i wydawcą warszawskiego «Słowa».

Z CHWILI BIEŻĄCEJ.

Pretendent do dwóch koron.

Po śmierci hr. Chamborda, legitymiści francuzcy złożyli, jak wiadomo, wszelkie pretensje do korony francuzkiej w ręce Orleana, zmarłego już dziś też, hr. Paryża. Nie jednozgodna wszelakoż to była uchwała. Zostało wielu, którzy jedynego prawego pretendenta do tronu Burbonów widzą w osobie syna Don Carlosa. Mają więc dziś stronników własnych: syn hr. Paryża, Filip ks. Orleański, liczący 33 rok życia, oraz syn Don Carlosa, Don Jayme de Bourbon, urodzony w Vevey w r. 1870. Don Carlos sam (Karol ks. Burboński) protestował swojego czasu przeciwko używaniu przez Orleanów herbu Burbonów, a, jak wiadomo, jest — wichrzącym nieustannie — pretendentem do hiszpańskiego tronu. Właściwie mówiąc, zrzekł się już dziś, na mocy familijnego układu, ewentualnej korony hiszpańskiej na rzecz syna. Don Jayme przeto, hiszpan, nieżonaty, 32-letni, jest dziś pretendentem do dwóch koron: francuzkiej i hiszpańskiej. W razie „spełnienia się życzeń“ — przestałyby istnieć Pireneje! Tymczasem zaś o mały włos, że naturalnym biegiem rzeczy, nie zniknął z widowni pretendent. Dwa tygodnie temu chorował śmiertelnie po wypadnięciu z automobilu, i zjechała się była wówczas do Nizzy — uzyskawszy pozwolenie rządu francuzkiego — cała rodzina hiszpańskich Burbonów. Czuwały zwłaszcza nad bratem obiedwie siostry: Alicja i Beatrycza, i następnie wespół z powróconym do zdrowia Don Jayme'm fotografowały się w Marsylji. Reprodukcję tej fotografji podajemy.

Z.

Adelaida Ristori.

Dożyła w ubiegłym miesiącu 81 roku życia jedna z najznakomitszych w świecie aktorek, włoszka, Adelaida Ristori. Wszechświatowa jej sława sięga w czasy wystąpienia na widownię europejską Cavoura. Teraz dopiero dowiedziano się, że Ristori, wprawiająca w gorączkowy zapał stolice Europy, była jednocześnie — agentem dyplomatycznym piemonckiego męża stanu i w sprawie zjednoczenia Włoch odegrała rolę bardzo delikatną, skuteczną i chlubną. To też z okazji 81-ej rocznicy urodzin, w równym niemal stopniu uczczono w niej szlachetnie czującą kobietę, jak artystkę. Ristori, poślubiona margrabiemu Capranica del Grillo, obraca się w najwykwintniejszych sferach arystokratycznych włoskich. Głównem polem dla jej scenicznych popisów były role niewieście w wielkim dramatycznym stylu. Odtwarzała mistrzowsko bohaterki Szekspira, Schillera, Kornela, Rasyna, Alfierego. Do Warszawy przyjeżdżała dwukrotnie na gościnne występy. Rocznicę urodzin wielkiej a sędziwej Ristori uczczono mnóstwem powinszowań i upominków, nadesłanych niemal ze wszystkich stron świata.

C.

NOTATKI.

Naukowe.

+ Związek naukowo-literacki we Lwowie zapowiedział szereg **12 odczytów publicznych**, na których mają być streszczone najwybitniejsze zdobycze wieku XIX w dziedzinie nauki, literatury, sztuki i ruchu społecznego. Prelegentami będą pp.: Zakrzewski, Radziszewski, Nusbaum, Balicki, Kuczera, Fiedler, Bołoz-Antoniewicz, Jan Kasprowicz, Pawlikowski, Czermak, Twardowski.

+ Nowy rodzaj **bezdymnego prochu**, odznaczającego się nadzwyczajną siłą, obudził w ostatnich czasach w Niemczech wielkie zainteresowanie. Wynalazcą tego nowego prochu jest znana na polu fabrykacji wybuchowych materjałów osobistość, a dokonane dotąd próby wykazały jaknajlepsze rezultaty. Proch ten, oznaczony przez wynalazcą literą „H“, posiada w porównaniu z najlepszym czarnym prochem, przy użyciu tej samej ilości, 18 do 20 proc. większą siłę, a przytem, dzięki ograniczonej własności druzgoczącej, wykluczona jest obawa rozsadzenia lufy, nawet przy silniejszym ładunku. A że i uderzenie (*Rückstoss*) jest bardzo nieznaczne i rdza po strzałach w znacznie mniejszej w lufie wytwarza się mierze, nowy proch, według wszelkiego prawdopodobieństwa, powszechnie wkrótce będzie używany, tem więcej, że cena ma być bardzo przystępną.

+ Ernest Rhumer, wynalazca fotografofonu, czyli mówiącej fotografji, zapowiada, iż pracuje obecnie nad **fonotypografem**, to jest przyrządem, który słowo wymawiane, za pomocą odpowiedniego fotografofonu, przemieni w druk fonetyczny.

+ Astronomowie są w kłopocie: oto w roku 1904 nastąpi zupełne **zaćmienie słońca** i za najlepszy punkt obserwacyjny uznano wyspy Walker na oceanie Spokojnym. Okazało się jednak, że wyspy te wprawdzie można znaleźć na mapach, ale niema ich wcale na oceanie. Wybór astronomów padł tedy na wyspę Kingman lub Caldero, ale i tu spotkał ich zawód, bo wyspy tylko podczas odpływu wynurzają się z wody.

+ Znany przyrodnik niemiecki prof. **Haeckel** będzie miał wystawiony pomnik jeszcze za życia. W r. 1894 ktoś nieznany ofiarował na ten cel 60 tys. marek i pomnik ma stanąć w Jenie przed ogrodem zoologicznym. Pierwszym człowiekiem, którego w ten sposób uczcili niemcy, był Bismark.

+ Najstarszą akademją na świecie jest **Akademja przyrodników** w Halle. Założona w r. 1652, będzie w r. b. święcić 250-letni jubileusz istnienia.

+ Trzynasty **kongres orjentalistów** odbędzie się w roku bieżącym w Hamburgu.

+ W Genui **Lombroso**, z udziałem innych uczonych, bada objawy spirytystyczne.

+ Przystąpiono do urządzenia komunikacji **telegraficznej bez drutu** według systemu Marconiego: na przestrzeni między Rzymem a Sardynją.

+ Profesor wiedeński Anschutz-Kampf wynalazł statek podwodny, na którym zamierza odbyć podróż **do bieguna północnego**.

+ W Monaco **Santos - Dumont** wykonywał próby ze swoim balonem. W ciągu 40 minut balon wykonywał swobodnie ruchy we wszystkich dowolnych kierunkach.

+ W Monachjum zmarł znakomity hygienista, prof. **v. Ziemssen**, współpracowaik Petenkoffera.

Książę Jayme de Bourbon (syn Don Carlosa) i dwie jego siostry.

G. Marconi, wynalazca telegrafu bez drutu.

Adelaida Ristori.

Literackie.

+ Dwutygodnik „Le monde moderne“ zamieścił w lutowym zeszycie nowelę **El. Orzeszkowej**: „Wieczór zimowy“ w przekładzie G. Lech'a i J. Maurice'a. Nowelę zdobią ilustracje Lecomte'a, nietylko piękne, ale i dość wiernie odtwarzające wiejskie nasze chaty i stroje. Do przekładu dodany wizerunek autorki i treściwy zarys biograficzno-krytyczny, w którym powiedziano, że El. Orzeszkowa dzieli z Sienkiewiczem pierwsze miejsce w beletrystyce polskiej, a w piśmiennictwie naszem wogóle zajmuje stanowisko, które mają Sand w literaturze francuzkiej, a Jerzy Elliot w literaturze angielskiej.

+ Niemiecki dwutygodnik „Das litterarische Echo“ rozesłał do najwybitniejszych wypożyczalni książek w Niemczech kwestjonarjusz, jakie dzieła z najnowszej literatury powieściowej cieszą się największą popularnością. Z ankiety tej dowiadujemy się, że **Sienkiewicz** w Niemczech należy do najpoczytniejszych powieściopisarzów, a nawet, że popularność jego w ostatnim roku ogromnie wzrosła. Gdy bowiem w r. 1901 na 28 odpowiedzi właścicieli wypożyczalni, tylko dwie wymieniły Sienkiewicza, w r. 1902 na 65 odpowiedzi nazwisko Sienkiewicza pojawia się 28 razy, a górują nad nim tylko dwaj autorowie niemieccy: Klara Viebig i Jerzy Ompteda; z tych 28 odpowiedzi 26 przypada na „Quo vadis?“ i dwie na „Potop“. Rzymska powieść Sienkiewicza zajmuje czwarte miejsce w szeregu najpopularniejszych powieści, w liczbie sześciu zaś jest jedyną w obcym języku. Wogóle okazuje się, że Sienkiewicz pobił w Niemczech wszystkich autorów zagranicznych, daleko ich za sobą w tyle zostawiając. W r. 1900 górowali nad nim: Zola, Tolstoj, Prévost i inni; obecnie na 28 numerów Sienkiewicza Tołstoj ma 13, d'Annunzio 10, Mirbeau 8, Zola tylko 7, inni, jak Gorkij i Multatuli, jeszcze mniej.

+ Roman Zawiliński w czasopiśmie „Ilustracja Polska“ podaje wiadomość o Piotrze Miklavcu, tłómaczu **rzeczy polskich na język słoweński**. Miklavec (pseudonym „Podravski“) jest chłopem, zamieszkałym w Styrji. Jakkolwiek skończył tylko szkołę ludową, jednak dzięki własnej pracy późniejszej, nabył wykształcenia literackiego i nauczył się po polsku. Przełożył z H. Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“, „Potop“, oraz dwie rozprawy prof. Mazanowskiego o najnowszem powieściopisarstwie i poezji lirycznej w Polsce. Obecnie Miklavec przekłada na język słoweński „Quo vadis“ H. Sienkiewicza.

+ Wydział Koła literackiego w Krakowie uchwalił wziąć inicjatywę w urządzeniu uroczyste-

go obchodu jubileuszu pisarskiego **Adama Bełcikowskiego.** Obchód jubileuszowy odbędzie się prawdopodobnie w marcu.

+ W ostatnich numerach pism niemieckich znajdujemy następujące **rzeczy polskie:** „Das Magazin für Litteratur“ Nr. 2—przekład jednej z nowel Z. Niedźwiedzkiego, w N-rze 3—„Godzinę stworzenia“ K. Tetmajera; w „Illustrierte Ztg.“ Nr. 3055—opowiadanie mazurskie F. Skowronka p. t.: „Bałałajka“; w „Die Hilfe“ Nr. 4—artykuł Hildebranda „Polensorgen“; w „Das Literar. Echo“ Nr. 9 J. Flach zdaje sprawę z poezji Kasprowicza „Miłość“ i z „Mistrza Twardowskiego“ Leona Staffa; tygodnik wiedeński „Die Zeit“ zamieścił studjum S. Haekera o St. Wyspiańskim.

+ „Krzyżacy“ **H. Sienkiewicza** wyszli w nowym przekładzie niemieckim p. Rakowskiego w Osnabrücku.

+ Wychodzący w Żytomierzu dziennik „Wołyń“, w listopadzie i grudniu 1901 r. zamieścił następujące **tłómaczenia z polskiego:** 1) K. Tetmajera: „Wspomnienie“, „Cień“, „Miłość“, „Na Wezuwjuszu“, „Skalny motyl“, „Szczęście“, „Żórawie“, „Jodła“, „Za szybą szklanną“, „Jedna z bajek“ i „Ze wspomnień malarza“; 2) St. Przybyszewskiego „Morze“ i 3) Z. Niedźwieckiego „Statua“. Nadto w grudniowych numerach tegoż dziennika znajdujemy trzy artykuły M. Korczyńskiego o literackiej działalności E. Orzeszkowej, K. Tetmajera i M. Konopnickiej.

+ Londyńskie czasopismo „The Athenaeum“ zdaje obszernie sprawę z wydanej w Paryżu w dwóch tomach korespondencji **Zygmunta Krasińskiego** z Henrykiem Reeve, do której przedmowę napisał prof. Józef Kallenbach. Przytoczono w sprawozdaniu obszerniejsze wyjątki z listów naszego poety.

+ Poeta czeski **Jarosław Vrchlicky** został odznaczony przez Akademję czeską pierwszą nagrodą za najlepszy utwór z dziedziny literatury. Drugą nagrodę otrzymał **Szimaczek** za powieść „Światła przeszłości“.

+ Na konkursie dramatycznym Akademji ateńskiej pierwszą nagrodę przyznano komedji p. t.: „Reformatorzy“. Po otwarciu koperty okazało się, że autorem jej jest **królewicz grecki Mikołaj.**

+ W Tybindze prof. Seybold znalazł najstarszy rękopis zbioru baśni arabskich **„1001 noc“.** Znajduje się w nim jedna opowieść, zupełnie dotychczas nieznana.

+ W Berlinie zmarł wybitny pisarz niemiecki **Ernest Wichert** w 72 roku życia.

+ Jeden ze współpracowników paryzkiego „Journalu“ dowiedział się od starego powiernika **cesarzowej Eugenji,** iż pracuje ona usilnie nad swemi pamiętnikami. Pomaga jej w tem czterech sekretarzy. Materjały do wspomnień ze swego życia cesarzowa poczęła zbierać bardzo dawno, wówczas jeszcze, kiedy była hrabianką de Montijo. Pamiętniki rozpoczną się od 30 grudnia 1853 r., to jest od dnia jej zaręczyn z Napoleonem III. Od tej chwili Eugenja chowała jaknajtroskliwiej wszystkie listy i dokumenty. Po roku 1870, kiedy przeszukiwano Tuillerye, nic z tych papierów nie można było odnaleźć. Cesarzowa zabrała je wszystkie z sobą do Londynu i tam powierzyła na przechowanie jednemu z banków. Pamiętniki prawdopodobnie zostaną ogłoszone dopiero po jej śmierci, a sądząc z wagi, jaką Eugenja do pracy nad niemi przywiązuje—rzucą wiele ciekawego światła na epokę trzeciego cesarstwa.

Artystyczne.

+ Cenny zabytek starożytności polskiej, **zamek w Bodzentynie,** a raczej już tylko jego ruiny —został oddany pod zarząd Cesarskiej Komisji archeologicznej, która opiekuje się dawnemi zabytkami sztuki.

+ Kijowskie Muzeum starożytności i sztuk pięknych przystąpiło do uporządkowania obrazów, otrzymanych z dawnego **zamku ks. Wiśniowieckich.** Jest tam 27 płócien, przeważnie portretów, z podpisami w języku polskim. Wiśniowiec przed kilkunastu laty nabył na licytacji A. J. Toll, prezydent m. Kijowa.

+ W ciągu dwóch pierwszych miesięcy istnienia **Filharmonja warszawska** na 33 koncerty sprzedała 51,800 biletów za cenę 51 tys. rubli.

+ Rodaczka nasza, p. **Herminja Szwarcówna,** napisała „Suitę“, odegraną na koncercie w berlińskiej Singakademie. Utwór ten został przez krytykę nader pochlebnie oceniony.

+ Krakowska Akademja umiejętności ma przystąpić do wydawnictwa **„Ubiorów ludu polskiego“** według materjałów, zebranych przez Wł. Tetmajera.

+ Z Paryża donoszą, że śpiewaczka tamtejsza, p. Wieck, zamierza urządzić koncert, wyłącznie **utworom polskim** poświęcony.

+ Drugi koncert **Leopolda Godowskiego** w Londynie, również jak i pierwszy, znalazł bardzo pochlebną ocenę w „Athenaeum“. Sprawozdawca podnosi nietylko doskonałą technikę, ale i uczuciowość gry naszego rodaka.

+ Na posiedzeniu Akademji czeskiej przyznano pierwsze nagrody za najlepsze utwory w zakresie **sztuk pięknych:** w dziale malarstwa — Szwabińskiemu za portret Riegera, w dziale rzeźby — Bilekowi—za „Golgotę“, w dziale muzycznym — Dvorzakowi za operę „Rusałka“.

+ W Trjeście rozpisano konkurs na **pomnik Verdiego,** który ma w dwojaki sposób uczcić mistrza. Przedewszystkiem wystawiony będzie posąg twórcy „Aidy“ w środkowym łuku bramy teatru „Verdiego“; nadto konkurs obejmuje też wypukłorzeźbę, która zostanie umieszczona nad portykiem lub na fasadzie gmachu.

Teatralne.

+ Sztukę „Pogrzeb“, nazwaną tryptykiem scenicznym, p. **Kazimierz Laskowski** złożył dyrekcji teatrów warszawskich.

+ Teatr Rozmaitości w Warszawie zamierza wystawić dwie **nowe sztuki polskie:** G. Zapolskiej „Mężczyznę“ i St. Przybyszewskiego „Dla szczęścia“.

Nowe książki.

K. Krynicki. „Rys geografji Królestwa Polskiego“. Warsz., 1902, str. 297. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena 2 rb.

Potrzeba takiej monografji geograficznej o Królestwie Polskiem oddawna dawała się uczuć, zwłaszcza, że ten właśnie dział geografji powszechnej w szkołach nie bywa u nas dostatecznie uwzględnianym... Książka niniejsza potrzebie tej w sposób zadawalniający czyni zadosyć, bo nietylko opracowaną została z dostateczną znajomością przedmiotu, ale nadto przyozdobiono jej tekst mnóstwem starannie dobranych i odbitych rycin (przeważnie według zdjęć fotograficznych), co znakomicie przyczynia się do podniesienia wartości dzieła. Ryciny tych zawiera książka 215, prócz 6 map, 5 planów i dużej składanej mapy Królestwa Polskiego. W przedmowie powiada autor, że jeśli praca jego zdoła obudzić choć w małej liczbie czytelników zajęcie się tą ziemią, na której mieszkają, będzie to dla niego dostatecznem za trud podjęty wynagrodzeniem. Otóż książka cała pisana jest w takim duchu, że to wynagrodzenie z pewnością autora nie minie...

Marja Konopnicka. Poezje (w nowym układzie). Serja I. „Fragmenty“, str. 187. Serja II. „Helenica“, str. 231. Warszawa 1902. Gebethner i Wolff. Cena za tom 1 rb.

Po wyczerpaniu się pierwszego wydania «Poezyj» Konopnickiej, przystąpiono teraz do nowej ich edycji, w innej formie aniżeli poprzednia, mianowicie estetyczniejszej znacznie, aniżeli pierwotna. Prawie wszystkie zawarte tu utwory znane już są wielbicielom talentu poetki, tylko że ugrupowano je inaczej, według treści. Tym sposobem w pierwszym tomie znalazły się fragmenty liryczne rozmaitej treści, choć zawsze podniosłego i nieco patetycznego nastroju; w tomie zaś drugim znalazły przedewszystkiem pomieszczenie wszystkie poezje Konopnickiej, osnute na motywach starożytnych greckich i rzymskich, oraz poezje liryczno-epiczne więcej egzotycznej treści lub przeszłości naszej (bohaterskiej) dotyczących. Forma zewnętrzna tego nowego wydania może zaspokoić najwybredniejsze wymagania naszych bibljomanów...

C. Wagner. „Młodzież“. Warszawa, 1902, str. 330. Gebethner i Wolff. Cena 1 rb. 20 k.

Przekład dzieła tego, uwieńczonego przez Akademję francuzką, dokonany został z 22-go wydania oryginału, co już samo najwymowniej świadczy o wysokiej wartości książki. Autor staje tu w obronie młodzieży (francuzkiej), ale jednocześnie widzi jej wady i niepokojące cechy, jak niedostatek moralny i materjalny, sceptycyzm, realizm i życie sztuczne. Zdaniem autora — młodzież współczesna (francuzka) cierpi istotnie, a trapiąca ją niemoc nie ma nic wspólnego z niewdzięcznością, ani ze śmiesznem pozowaniem. Niedomaganie jej jest rzeczywiste i budzi poważne zajęcie pośród tych, którzy nie przywykli mówić: «niech się po nas co chce dzieje!» Początków tego osłabienia, tego braku zapału w młodzieży, tej ostrożności, z jaką młodzież wstępuje w szranki życia—dopatruje się autor w przesileniu powszechnem, któremu podlega nasza epoka. Celem książki, myśli, z jaką została napisaną, jest zaradzenie złemu. Wszystko, co tu autor powiada o młodzieży dzisiejszej francuzkiej, prawie dosłownie da się zastosować do naszej, i to jest powód, dlaczego pożyteczną tę książkę przyswojono—starannie—naszemu językowi.

Dr. Antoni Złotnicki. „Z tajemnic duszy“. Spostrzeżenia psychologiczne. Warszawa, 1902, str. 79. Skład główny u Br. Brzozowskiego. Cena 45 kop.

Obok zjawisk, ukazujących się nam w świetle świadomości, które uważamy za należące do swego «ja», dokonywają się w nas sprawy, znane nam tylko ze swych wyników. Niewidzialne, tajemnicze, pozbawione świadomości, warunkującej istnienie jaźni, wiążą się one zwykle w sposób określony ze sprawami świadomemi i uzupełniają je, gdy te okazują się niewystarczającemi dla potrzeb naszego życia. W książce niniejszej, pisanej z niemałym literackim talentem, autor rozpatruje rozmaite formy przejawiania się tej ciemnej strony naszej duszy, a więc wpływy suggestji w hypnozie, halucynacje i zmiany osobowości, spirytyzm, medjumizm, magnetyzm, telepatję i t. d.

Wanda Grot-Bęczkowska (Władysławowa Korotyńska). „W szponach“. Warszawa, 1902. Gebethner i Wolff.

Autorka kreśli dramatyczne dzieje szulera, który, opętany namiętnością gry, nietylko prowadzi do ruiny dom, ale nadto zamęcza na śmierć żonę, którą ubóstwia... Wszystkie złote promienie szczęścia padają na ziemską dolę młodej sympatycznej pary, dopóki straszny demon karciarstwa nie rozrywa wszystkich węzłów, nie druzgoce, jak piorun, całej egzystencji kochającego się stadła. Wzrost destrukcyjnego wpływu tego nałogu odmalowała autorka nie bez subtelności, ze sporą dozą obserwacji życiowej.

H. Sł. „Bóg się rodzi“. Z przedmową ks. A. Brykczyńskiego, str. 215. Warszawa, 1902. Cena 60 kop.

Jest to przeróbka słynnej powieści Wallace'a «Ben Hur». Ponieważ powieść ta w swej oryginalnej osnowie zanadto zbliża się do powieści współczesnych, obfitując w miejsca drastyczne i charakterystyką niektórych osób przypominając nasze czasy, więc dla uprzystępnienia jej naszemu ogółowi, zmieniono ją w niniejszej przeróbce na opowiadanie historyczne, zachowując w niem wszystkie strony dodatnie pierwowzoru, z opuszczeniem jego stron zbyt jaskrawych, tak iż książkę tę można teraz bezkarnie dać w rękę młodzieży i ludowi.

Ks. Michał Kuźniarski. „Kazania na niedziele, wszystkie święta i uroczystości“. 3 tomy in 8-o. Wydanie drugie. Lwów, 1901. Gubrynowicz i Schmidt. Cena 4 rb.

W pierwszej połowie XVIII stulecia żył w Niemczech sławny na owe czasy kaznodzieja, jezuita Fr. Hunold, którego kazania wyszły w książkowem wydaniu w 12 tomach. Niniejszy zbiór kazań jest transkrypcją tych kazań niemieckich... «Nie są to nawet dowolne tłómaczenia, bo podpisany trzymał się przy układaniu tych kazań wskazówek św. Jana Chrzciciela, który, ogłaszając pokutę, kazał znosić pagórki, wypełniać doliny i prostować miejsca krzywe».

Sewer (Ignacy Maciejowski). „U progu sztuki“. Powieść z życia artystów. Petersburg, 1902, str. 708. K. Grendyszyński. Cena 1 rb. 60 k.

Powieść ta jest śpiewem łabędzim popularnego autora «Bajecznie kolorowej», a obraca się w sferze aktorskiej, zgrupowanej około krakowskiego teatru, który ostatniemi czasy tak wybitne w kulturze zachodniej Galicji zajął stanowisko.

„Kalendarz Kijowski“. Nakładem L. Idzikowskiego. 1902.

Prócz wyczerpującego działu informacyjno-adresowego, kalendarz ten wydany w języku polskim, zawiera wyczerpujący życiorys ks. biskupa Kłopotowskiego, oraz obecnego pasterza djecezji łucko-żytomierskiej, ks. Karola Niedziałkowskiego, wraz z portretami tych dwóch dostojników Kościoła. Kalendarz zawiera również katalog rozumowany książek naukowych oraz podręczników szkolnych, będących do nabycia w księgarni Idzikowskiego. Katalog jest ułożony o tyle starannie, że może służyć za przewodnik dla kupujących książki.

«La vie européenne au Tonkin», par Eugène Jung.

Ciekawa powieść, o której francuzka krytyka powiada, że powinna ona zająć przedewszystkiem uwagę ministra kolonij. W barwnych obrazach życia postaci zmyślonych przedstawioną została dokładnie prawda stosunków życiowych w Tonkinie. Autor bynajmniej nie jest optymistą. Twierdzi on, że «wszystko w Tonkinie ma się jaknajlepiej, pod warunkiem, że wszystko będzie zmienione».

Redaktor i wydawca **Erazm Piltz.**

CZYTELNIA

„Kraj“ — Petersburg, 1 (14 lutego) 1902 roku. — № 5

TREŚĆ:

PIĘKNA OGRODNICZKA. Fragment sceniczny w 1 odsłonie *Stefana Krzywoszewskiego.*

Z POEZYJ B. ZALESKIEGO.

ROK 1809. Powieść historyczna przez *Wacława Gąsiorowskiego.* (DC).

EUGENJUSZ ONIEGIN. Romans wierszem *Aleksandra Puszkina,* przekład *Leo Belmonta.* (DOK).

SZYDŁO W WORKU. Przez *A. P. Czechowa,* tłóm. *G. W.*

DROBIAZGI.

PIĘKNA OGRODNICZKA.

FRAGMENT SCENICZNY

w 1 odsłonie

Stefana Krzywoszewskiego.

wystawiony po raz pierwszy na scenie teatru Rozmaitości w Warszawie d. 18 stycznia r. b. (Grający: pani Federowiczowa, pp. Frenkiel, Prażmowski i Wolski).

Z recenzyj prasy:

«Autor, bawiący obecnie stale w Berlinie, nie był obecny na przedstawieniu swej «Pięknej ogrodniczki» — i powinien tego żałować, bo go ominęła jedna z tych najmilszych i pamiętnych na całe życie chwil pierwszego tryumfu, który każdy szczery, twórczy talent nobilituje niejako w państwie sztuki i literatury. Nie w oryginalności tematu i sytuacyj, ale w sposobie opracowania starego motywu na nową modłę, upatruję główną zaletę sztuki p. Krzywoszewskiego. Kontrast dwóch moralności w zetknięciu się dwóch różnych sfer, uważam za bardzo oryginalny i subtelnie przeprowadzony pomysł, którego autorowi powinszować można; umiał on go wydobyć bardzo prostemi a efektownemi środkami: w rysunku psychologicznym figur i w umiejętnie poprowadzonym djalogu».

M. Gawalewicz. («Słowo»).

«Pomimo pewnej sztuczności w robocie, «Piękna ogrodniczka» wywiera silne wrażenie i jest niewątpliwie jedną z najartystyczniejszych minjatur dramatycznych, jakie literatura swojska w ostatniej dobie wydała».

W. Rabski («Kurj. Warszawski»).

«Obrazek p. Krzywoszewskiego, jakkolwiek nie daje ani nowego motywu, ani nowych żywiołów sytuacyjnych, pozostawia jaknajlepsze wrażenie artystyczne. Jest w nim szczerość, prostota i wdzięk — jest wiele duszy i serca. Debiut sceniczny nie mógł wypaść szczęśliwiej».

B. Zawadski («Wędrowiec»).

«Piękna ogrodniczka» jest tylko fragmentem scenicznym, skromnie tak przez autora nazwanym, jednakże drobiazg ten—po za powiastką—daje widzowi cząsteczkę prawdy życiowej, chwyta z szarej, codziennej doli naszej pewien dysonans dramatyczny, a choć dysonans jest drobny, drga przecie wiernym oddźwiękiem rzeczywistości».

Spectator («Echo Teatr. i Artyst.»).

OSOBY:

JAN MODRZEWSKI	lat 35
ZOFJA, jego żona	„ 20
HENRYK, jego przyjaciel	„ 40
WIDEŁKIEWICZ	„ 45
SŁUŻĄCY	

Rzecz dzieje się w Warszawie.

—

SCENA I.

Salon wykwintnie umeblowany; przeważa „modern-style“. Z prawej strony dwoje drzwi: pierwsze prowadzą do gabinetu Jana, drugie do jadalni. W głębi drzwi, wiodące do przedpokoju. Z lewej strony na nizkim stoliku duża palma. Na stole taca z czarną kawą i likierami.

—

Jan, Zofja, Henryk. (*Zofja krząta się koło stołu, nalewając czarną kawę do filiżanek. Jan podaje Henrykowi pudełko z cygarami. Cała rozmowa prowadzona jest w tonie lekkiego salonowego persiflażu*).

Henryk (*zwraca się do Zofji*). Pani pozwoli? (*Zofja uśmiecha się potakująco*).

Jan. U nas można palić wszędzie.

Zofja (*tonem przekomarzania się*). Tak, u nas mogą palić wszyscy i wszędzie—prócz mnie jednej.

Henryk (*siedzi wygodnie w fotelu i ciągnie z widoczną rozkoszą cygaro*). Jakto, pani ma ochotę, a mąż nie pozwala?

Jan. Wyznam ci szczerze, iż nie lubię kobiet palących.

Zofja (*jak wyżej*). A pani Helena? Nie zaprzeczysz chyba, że ci się bardzo podobała, mimo, że nie wypuszcza papierosa z ust.

Jan. Pani Helena nie była moją żoną... (*tonem żartobliwie-mentorskim*). Zaś twoim obowiązkiem... źle mówię, celem twego życia winno być stosowanie się do moich upodobań!...

Zofja. Niegodziwiec! w sześć miesięcy po ślubie!... (*Zwraca się do Henryka*). Niech pan sam powie, czy ja mogę być z tym człowiekiem szczęśliwą?

Jan. Musisz! To także twój obowiązek! Znienawidziłbym cię, gdybyś się nie czuła ze mną bardzo szczęśliwą.

Henryk (*z udaną powagą*). Jaś ma słuszność.—Musi pani być szczęśliwą. Jeśli pani nie chce zrobić tego dla niego, niech pani to uczyni dla mnie.

Zofja. Więc i pan, zamiast wziąć moją stronę...?

Henryk. To tak przyjemnie mieć przyjaciela żonatego, u którego od czasu do czasu można zjeść dobre śniadanie—naprzykład, jak dzisiejsze—a po śniadaniu wypalić doskonałe cygaro w miłej, wesołej atmosferze... szczęścia rodzinnego...

Jan (*śmieje się*). Stary cynik!... Chcesz koniaku? (*Nalewa Henrykowi i sobie. — Parę sekund milczenia*).

Henryk. Chwilami jednak smutno mi, żem utracił dobrego towarzysza... (*Zwraca się do Jana*). Mamy sporo wspólnych wspomnień, nieprawda?

Zofja. Wspomnień hulanek i orgij.

Jan. Mówisz, jak zacny pleban wiejski... Orgij! Te nasze orgje!

Zofja (*zajęta własnemi myślami—do Henryka*). Sądzi pan, że Jaś nie wróci już do tych zabaw?

Henryk (*żywo*). Co najmniej przez pół roku jeszcze.

Zofja (*hamuje wrażenie*). Doprawdy? A potem? (*Henryk i Jan poczynają się śmiać. Zofja spostrzega, że z niej żartują i dostraja się do ich tonu z nieco sztucznem ożywieniem*).

Zofja. Bo ja będę zazdrośna... zazdrośna! (*Do męża*): Spojrzyj, jakie mam ostre paznogcie... jeśli mnie zdradzisz, wydrapię ci oczy!

Henryk. Niech pani to uczyni wcześniej, w ten sposób łatwiej zapobiegnie pani zdradzie. Ale serjo, zupełnie serjo... po co pani wybrała sobie za męża takiego uwodziciela, lamparta?...

Jan (*spuszcza skromnie oczy*). Przesadzasz!

Henryk. Wcale nie! Lamparta, zjadacza serc...

Zofja (*patrzy rozkochanym wzrokiem na męża*). Czy pan myśli, że młodym pannom podobają się mężczyźni, na których inne kobiety nie chcą patrzeć? Alboż my wiemy — zwykle przynajmniej—na czem polega istotna wartość mężczyzny? Mierzymy ją powodzeniem u kobiet bardziej doświadczonych. A rozkosz

tryumfu: «Patrzcie, oto go wam zabrałam i przykułam do siebie na zawsze!...» Ja nie jestem zazdrosną o przeszłość... tylko teraz... (*Śmieje się—pokazuje mężowi paznogcie*).

Henryk (*trochę ironicznie*). To się szczęśliwie składa. Inaczej z tą przeszłością miałaby pani dużo zmartwienia. (*Do Jana*). *A propos!* wiesz, że jedna z twych ostatnich ofiar nie żyje? (*Jan robi znak zdziwienia*). Nie wiesz?... «piękna ogrodniczka»...

Jan (*wzruszony*). Emma?

Henryk. Tak jest, Emma. Umarła w parę tygodni po ślubie i wyjeździe państwa.

Zofja (*przejęta silniej tą wiadomością, niżby pragnęła okazać*). Z rozpaczy?

Henryk. Nie, z zaziębienia, które wywołało gwałtowne zapalenie płuc. Dowiedziałem się wypadkiem, gdym w kilka dni po pogrzebie zaszedł obstalować jakiś bukiet...

Jan (*zamyślony*). Biedna Emma!

Zofja (*jak wyżej*). Mówiłeś pan: «piękna ogrodniczka»...

Henryk. Tak ją nazywaliśmy z Jasiem... «*La belle jardinière!*» Bodaj, że była taka farsa, czy operetka... Tytuł ten należał się jej ze wszech stron, była bowiem i ładną i ogrodniczką... (*Chwila ciszy. Henryk postrzega, iż wiadomością swą wywołał przykre wrażenie, i chcąc je zatrzeć, poczyna ironizować*). Bo pani zapewne sądziła, że Jaś działał tylko w świecie i półświecie! Wcale nie! Przyszły jego biograf będzie mógł śmiało powiedzieć: był przedsiębiorczym, energicznym i ruchliwym—nie zasklepiał się w czczych przesądach.

Jan (*jeszcze poruszony*). Daj pokój żartom. Biedna Emma! (*Zofja od kilku chwil patrzy uważnie na męża*).

Zofja (*głosem, którym pragnie udać obojętność*). Kochałeś ją? (*Brzmienie tych słów zwraca uwagę Jana—wytrzymuje długie spojrzenie Zofji i odpowiada z lekkiem wahaniem*).

Jan. Nie... może trochę... teraz zapomniałem już dawno... Lecz śmierć osoby, którą znało się blizko, z którą łączą się liczne wspomnienia, to zamarcie jakiejś cząstki naszego własnego «ja»... W duszy nad tem wspomnieniem staje grobowy krzyż...

Henryk. Brr!... Co za posępny nastrój!... Niechże pani da mi na pociechę jeszcze jeden kieliszek koniaku. (*Zofja nalewa, poczem opiera się na poręczy fotelu, w którym siedzi Jan. Ten bierze rękę żony i podnosi ją do ust.*

Jan (*patrzy jej w oczy*). Nie gniewasz się?

Zofja (*z bezwiednym odcieniem smutku — ręką przesuwa po jego włosach*). O co?

Jan (*puszcza rękę żony i po chwili mówi do Henryka*). A cóż się dzieje z mężem?

Henryk (*niechętnie, udając, że nie rozumie*). Z jakim mężem?

Jan. No, z mężem Emmy.

Henryk. Jeśli to możliwe, jest jeszcze więcej milczącym, niż dawniej... Ach, co to za typ! (*Uśmiecha się*).

Jan (*twarz zaczyna mu się rozjaśniać wspomnieniami*). Czy zawsze nosi spodnie w owe wielkie czarne i białe kraty?

Henryk. Naturalnie. A, piękny nie jest... (*Do Zofji*). Niech pani sobie tylko wyobrazi: wysoki, o barach szerokich, jak drzwi, twarz czerwona, bez żadnego zarostu, wielkie, odstające uszy i ogromna, jasna czupryna, jak z konopi. I te wiecznie kraciaste spodnie.

Jan (*rozwesela się zwolna*). Pamiętasz, jak mu zawadzały ręce? Nie wiedział nigdy, co z niemi zrobić, gdzie je podziać... Nabierał swobody dopiero, krzątając się koło kwiatów. Dziwiło mnie zawsze, jak on mógł z temi grubemi łapskami obchodzić się tak zręcznie z najdelikatniejszemi krzewami... Nawet nie brakło mu pewnego wykształcenia, kończył bowiem jakąś szkołę zagranicą... (*Obojętnie*). Podobno bardzo porządny człowiek i zdolny ogrodnik... kochał dzieci...

Zofja (*z niejasnym wyrzutem w głosie*). Więc oni mieli dzieci?

Jan (*trochę zmieszany*). Aż troje! (*Po chwili*). Biedne maleństwa!

Henryk (*chcąc odwrócić rozmowę na inne tory*). Cóż państwo robicie dziś po południu? dzień taki śliczny, wiosenny...

Zofja (*przerywa*). Mój drogi panie, zaraz... Nic jeszcze nie powiedzieliście mi o samej «pięknej ogrodniczce»... Wiem, jak się jej mąż ubiera, a o niej samej nic.

Jan (*niechętnie*). Dajmy już temu pokój...

Zofja (*siada na poręczy jego fotelu i głaszcze go znowu po włosach*). Mój drogi, mój Jaśku, ja chcę wiedzieć...

Jan (*z lekkiem zniecierpliwieniem*). Miała głowę, ręce...

Henryk. Nawet spore...

Jan. ...i nogi...

Henryk. ...do samej ziemi...

Zofja (*robi minę zagniewaną*). Nieznośni jesteście! Panie Henryku, bądź pan lepszym od Jasia...

Henryk (*do Jana*). Pozwalasz? (*Jan wzrusza ramionami*).

Henryk (*poważnie*). Miała głowę, ręce...

Jan. ...nawet spore...

Henryk. ...i nogi... (*Zofja zatyka mężowi usta dłonią i śmieje się, choć jest trochę zadąsana*).

Zofja. Teraz, to już naprawdę się gniewam. Bawicie się ze mną, jak z dzieckiem. Idę do swego pokoju i więcej nie wrócę. (*Chce odejść. Jan ją zatrzymuje*).

Jan (*łagodnie*). Złośnica!... powiedz zatem czego chcesz?

Zofja (*trochę rozkapryszona*). Chcę, żebyś mi powiedział, jak wyglądała ta... pani Emma, ale bez drwin, tylko poważnie...

Jan (*łagodnie*). Kapryśnica! Więc słuchaj! Była średniego wzrostu, o kształtach w miarę okrągłych... (*Do Henryka*). Prawda?

Henryk. Najprawdziwsza.

Jan. Oczy błękitne, niezbyt wielkie, lecz pełne słodyczy, i włosy jasne, o ciepłym, złotawym odcieniu... Wyglądała niezmiernie świeżo... (*bezwiednie zapala się zwolna wspomnieniem—do Henryka*). Pamiętasz ją, Heniu, w niebieskiej, perkalowej sukni, za ladą sklepową, zastawioną kwiatami ciętemi, za tą masą różnobarwnych, połyskujących kroplami rosy kwiatów!... Robiła wrażenie niezapominajki...

Henryk. Powiedziałeś jej to, a ona odrzekła: «Zapomnij pan o mnie!...»

Jan. Brakło jej szyku i nie umiała zgrabnie chodzić. Lecz w oczach jej tkwił dziwny sentyment... Wogóle była sentymentalną... Miała fatalną namiętność do pisywania czułych listów. Ta korespondencja «*poste-restante*» była ciemną stroną sielanki.

Zofja. Twoje opowiadanie daje tyle pojęcia, co rysopis paszportowy: Wzrost średni, oczy błękitne, włosy jasne. Szkoda, żeś nie dodał: znaków szczególnych nie ma! (*Przechyla się ku niemu — figlarnie*). Ja chcę czego innego.

Jan. Czego?

Zofja (*pochyla się jeszcze więcej ku niemu tak, że nie widać prawie jej twarzy*). Fotografji.

Jan. Jakiej fotografji?

Zofja (*głosem rozpieszczonym*). Fotografji «pięknej ogrodniczki».

Jan. A ty zkąd wiesz? Plądrowałaś po mojem biurku?

Zofja (*staje przed nim w pozie zakłopotanej pensjonarki — i ze spuszczonemi oczyma trzepie*). Proszę pana, ja tylko raz niechcący spojrzałam, jak dolna szuflada była otwarta, i zobaczyłam — niechcący, jak mamę kocham — paczkę fotografij, obwiązanych wązką, różową wstążeczką...

Henryk (*ironicznie*). Różową wstążeczką!

Zofja (*jak wyżej*). Więc domyśliłam się, że to pamiątki z kawalerskich czasów... Ale nie zajrzałam, proszę pana, choć straszną miałam ochotę—nie zajrzałam, jak mamę kocham.

Jan (*mimowoli uśmiecha się*). I cóż z tego wszystkiego?

Zofja (*jak wyżej*). Więc ja przy-

puszczam, raczej jestem pewna, że tam jest również i fotografja «pięknej ogrodniczki» — i proszę, bardzo proszę, by mi pan pokazał na jedną maleńką chwileczkę. (*Przymila się*).

Jan (*w podobnie żartobliwym tonie*). Niech-no pani przestanie być rozkapryszonym podlotkiem!... Nie ma fotografji, rozumie pani? (*Zwykłym głosem*). A jeśli chcesz koniecznie, to mogę ci wskazać inną po niej pamiątkę. Ta palma... (*Wskazuje na krzew*) pochodzi z jej sklepu.

Zofja (*obrzuca wzrokiem palmę*). Palma nic mię nie obchodzi. (*Kapryśnie*). Ja chcę widzieć fotografję... (*Henryk przed kilku chwilami wstał—odszukał swój kapelusz i rękawiczki. Teraz staje przed Zofją i składa uroczysty i pożegnalny ukłon*).

Zofja (*zdziwiona*). A to co znowu? Pan odchodzi?

Henryk (*z wyszukaną uprzejmością*). Nie chcę państwu przeszkadzać w tak ożywionej dyskusji... Wrócę innym razem, gdy państwo będą swobodniejsi.

Jan (*śmieje się*). Masz naukę! Ot gospodyni, rozumiejąca swe obowiązki względem gości!

Zofja (*do Henryka z żywością*). Przepraszam bardzo, ja pana nie traktuję jako gościa, ale jako przyjaciela, z którym się nie robi ceremonji... skoro jednak pan sobie tego życzy... (*Wskazuje mu fotel, siada w drugim obok niego—i z przesadną uprzejmością*). Dobrze się pan bawił w karnawale?

Henryk (*stosuje się do jej tonu*). Wybornie — karnawał był bardzo ożywiony...

Zofja (*jak wyżej*). W poście również dużo było pięknych rautów... (*patrzą sobie przez chwilę w oczy i wybuchają śmiechem*).

Zofja (*z żartobliwym uśmiechem do męża*). Widzisz, że potrafię prowadzić salonową rozmowę, a jeśli pan Henryk nie poznał się na moich zdolnościach, to już nie moja wina.

Henryk (*z udaną powagą*). Temi kilkoma zręcznemi frazesami zaimponowała mi pani... (*Patrzy na zegarek*). Tem niemniej muszę iść...

Jan. Ani myślę cię puścić: Kazałem zaprządz—pojedziemy we trójkę za miasto. Pogoda taka cudowna!

Henryk. Żałuję bardzo. Nie mogę.

Zofja. Nudzi się pan z nami?

Henryk. Co pani mówi! Jest mi z państwem ogromnie dobrze. Lecz w sześć miesięcy po ślubie największe szczęście zakochanych małżonków polega na samotności — we dwoje.

Jan (*obejmując żonę ramieniem*). Mylisz się. Szczęście we dwoje odczuwa się dopiero wówczas, gdy je podziwia — ktoś trzeci...

Zofja (*grozi mu palcem z wymówką*). Brzydal!

Henryk. Powtóre zaś, umówiłem się z kimś w klubie.

Jan. Ten ktoś poczeka do jutra... Pójdziesz do mego gabinetu, napiszesz liścik, w którym wytłómaczysz swą nieobecność chorobą, trzęsieniem ziemi, lub schadzką z przejezdną księżną rumuńską — i pojedziemy do Wilanowa. Zgoda?

Henryk (*pochyla głowę przed Zofją*). Skoro pani rozkazuje...

Zofja (*podaje mu rękę*). Rozumie się, że rozkazuję.

Jan (*do Henryka*). Więc prowadzę cię do mego biurka... (*Jan wychodzi pierwszy—Henryk za nim. Gdy Jan zbliża się do drzwi—Zofja woła*).

Zofja. Jasiu! (*Jan zatrzymuje się i odwraca*). A fotografja?... Skoro idziesz do biurka...

Jan (*udaje, że nie rozumie*). Jaka fotografja?

Zofja (*z dąsem*). No, przecież nie twego ogrodnika z wygoloną twarzą, konopiastą czupryną i odstającemi uszami. O nim wystarcza mi wiadomość, że lubi... materjały w duże kraty...

Jan (*kiwa głową, potem do Henryka, wskazując na Zofję*). Miła osoba, lecz nudna!

Zofja (*składa ręce*). Mój złoty!

Henryk. Ostatecznie czemuż się wzdragasz, skoro pani tak pragnie...

Jan (*wahając się*). Słowo daję, że nie ma sensu. Poprostu nie wypada...

Henryk (*ironicznie*). Względem kogo?

Jan (*wahając się*). Choćby... względem tego zacnego ogrodnika.

Henryk (*ironicznie*). Czyś był zawsze względem niego... równie skrupulatnym?

Jan (*po chwili namysłu—do żony*). Więc zaczekaj chwilkę... (*Jan i Henryk wychodzą. Zofja stoi przez chwilę w milczeniu przy stole—dzwoni na służącego i potem, zamyślona, zbliża się do palmy i głaszcze bezwiednie jej liście*).

SCENA II.

Zofja, Służący. (*Wchodzi służący*).

Zofja (*wskazuje na stół, zastawiony przyborami do kawy*). Można sprzątnąć.

(Służący ustawia wszystko na tacy i wychodzi drzwiami do jadalni. W przedpokoju słychać dzwonek. Zofja nie zwraca uwagi, jak służący przechodzi znów przez salon do przedpokoju, zamyka drzwi. Słychać otwieranie drzwi od przedpokoju. Zjawia się ponownie służący).

Służący. Ktoś do pana z interesem.

Zofja (*obojętnie*). Niech Andrzej poprosi tutaj. Pan zaraz przyjdzie. (*Służący wychodzi do przedpokoju. Zofja zwolna oddala się od palmy ku drzwiom, prowadzącym do jadalni*).

DN

.....

Z POEZYJ B. ZALESKIEGO.

Do Anioła-Stróża.

Odziany w blask,
Przesłańcze łask,
Aniele-Stróżu mój —

Oświecaj, chroń
I w dłoni dłoń
Tocz obok ze złem bój.

Bym w biegu lat
Zmógł ciało, świat,
Wybielał z moich zmaz.

Aż czysty duch,
Jak z druhem druh,
Do Ojca wzlecim wraz.

Śpiew poety.

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam, jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosa.

Lecę—gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę;
Piękność, miłość, czucie, wiarę
Na ogniwa spajam złote.

Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica;
Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
Wszystko tkliwe ją zachwyca.

Łza na krótko oko ciemi,
Częściej płoną w niem rozkosze;
Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie, w niebo wznoszę.

Z niewcielonych gdzieś tam światów
Garnę myśli—uczuć skarby,
Z nowych dolin, z nowych kwiatów
Do obrazów zbieram farby.

. . . . . .

Brzmią śpiewacy polni, leśni,
Pierś podnosi rzewność błoga:
Przyrodzenie wielbię w pieśni,
W przyrodzeniu wielkość Boga!

. . . . . .

Myśl mej pieśni nie przekwita
Jako niebo, serce, wiosna,
Wiecznie świeża, rozmaita,
I dziewicza i miłosna.

. . . . . .

Znowu lecę między ziółka,
Między gaje, łąki, wody,
Biorę miody i, jak pszczółka,
Nie dla siebie biorę miody.

Gdy w polocie mym znienacka
Coś mię draśnie lub ukole,
Widzę wokoło piękne cacka
I jak dziecię koję bole.

Nie wyrzekam nigdy zbytnie,
Błogo w lubym żyję błędzie;
Wiosna kwitła, więc odkwitnie,
Lecz gdzieindziej kwitnąć będzie.

Czara życia nie wciąż miodna:
Gdy cykutę spełnić trzeba,
Chrześcjanin—spełnię do dna
I—wesoło pojrzę w nieba.

Duch nie zgaśnie przez skonanie...
A dla ziemi—u mogiły
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły.

Step.

Szumią trawy i burzany,
O! zielono skróś, o! sino,
Jako fale wciąż kurhany,
Step—a step—a rozbujany,

Morze twoje, Ukraino!
Kędy wdłuż i wszerz za turkiem,
Koń i kozak chodzim nurkiem!

Witaj—wielki mogilniku,
Krwią i ciały ległych żyzny!
Co wokoło zgiełku—kliku?
Tabunowych stad bez liku,
Trzód bez liku, rogacizny,
Po nad wodą tam zieloną,
Pohasują—płyną—toną!

Patrzaj—patrzaj na rozdoły!
Różnowzory tłum skrzydlaty,
Który, jako gmin wesoły,
Na chorągwie, na powiaty,
Rządzą orły a sokoły;
I czerń zgodna—raźno, strojnie,
Wyśpiewuje—jak po wojnie.

Stepie—stepie nasz rodzimy,
Po rodzicu, och! z rodzica
Zadumane nasze lica!
My tu wszyscy pobratymy!
Och! i Duma, to siostrzyca;
Jako nasze—jej oblicze,
Tęskne—dziwne—tajemnicze.

A taż wieczna tu muzyka,
Niby rozbrzęk gdzieś gęślowy,
Co nie wiedzieć zkąd wynika?
Och! senliwa — jakoś dzika —
Podmogilnej wyraz mowy,
W rozpierzchnione zdaje szumy!
Czyż nie nuta naszej dumy?

Dumoż—dumo Bojanowa!
Tu tak bujno i przestronnie,
Że nabrzmieją w rozhuk słowa!
Cięży dzisiaj czemuś głowa:
Dumo! kiedyż wesół, konno,
Hukniem w stepie? kiedyż po nim
Wdzięczną, brzęczną pieśń zadzwonim?

Z „Ducha od stepu".

Duch mój spoczął. Błogo śniłem—
W śnieniu ducha lekkiem, miłem:
Niecielesne znowu oko—
Budzę w cudach—o! szeroko...
Czas bezbrzeżny—czas w rozstrzeni
Słowem Bożem się promieni,
Śpiewa wielką epopeję.
Miliony świateł, cieni,
Światy w kwiaty—światów dzieje,
Na kadzidło Panu wieje.
Któż ogarnie—i wypowie
Drobny promyk w Bożem słowie!

Widzę piękne miasto. W mieście
Wieczne gody, a boleście
Po pieczarach. Od ciemnicy,
Jęki sierot—łzy niewieście.
Dzwonią na gwałt Męczennicy..

«Roma!» Okrzyk głuchy zrazu—
Grzmi roznośniej od Kaukazu,
Lik skrzydlaty, czy tabunny,
Szerzy w stepach tentent, huki?
Coś już wietrzą pańskie kruki!
Barbarzyńcy—o! nieuki—
Ostrogoty, Goty, Hunny:
Z różnych plemion czerń zaciężna,
Straszna w sile—a orężna!..
Bliżej, bliżej—okrzyk dzwoni:
«Ura ho! na popas koni,
«Do Panonji! do Panonji?»

W stal zakuty wódz na przedzie,
Przez bezdroża jedzie—wiedzie,—
Konny posąg Al-hun-ryka,
Niedźwiedziemi strzępi kudły!
Suchożyły, w kość zachudły,
Boży gniew—twarz groźna, dzika;—
Wzrok, co nigdy się nie zmyka,
Bo powieki wrosły w czoło...

Jako rzeka w skałach stroma,
Pluszcze za nim gwar w około:
«Roma! Roma! gdzie ta Roma?»

Konny posąg wódz na przedzie,
Nieprzystępny, głuchy, niemy,
Przez bezdroża jedzie, wiedzie;
Nagle staje:
«Tu spoczniemy.
«Strona w stepach ta, czy nie ta,
«W nocy wskaże nam kometa!
«Roma—Roma—niedaleko...
(Grzmi ku swoim wieść ponura:)
«Tam—za siódmą tylko górą...
«Za dziewiątą tylko rzeką!
«Ale słońce mile świeci,
«Poigrajcież w piasku, dzieci!»

Na rozkazy wodza dziatwa—
W prawo—w lewo—zdala—zbliżka—
Wnet się roi na mrowiska!
I zabawka lekka, łatwa,
Nie mitręży wcale siły.
W ruchu tylko ręce, stopy:
Znoszą skały pod mogiły,
Ryją na sto mil przekopy...
Ślad maluchny ich przechodu,
Pamięć, czem był świat za młodu!..

Na rozkazy wodza wi-o!
Huczy w stepach tentent koni,
Grzmot za grzmotem w niebo biją:
«Do Panonji, do—Panonji»!
Konny posąg—wódz na przedzie,
Kędy jedzie? kędy wiedzie?
Nikt zapytać się nie waży.

Od awarskiej przedniej straży
Łacinnika pędzą cwałem.
Wódz zatacza okiem śmiałem,
Staje nieco: «Praw języku,
«Mężu rzymski—łżyj bez liku!»
Jeniec, jaka drżąc: «O królu!
«*Pater-patriae*, konsulu!
«Pontski *praetor—civis natus*,
«*Cajus—Furius—Dentatus*—
«Wiedzie zastęp niezliczony,
«*Flos romana*, legjony;
«Sypią zasiek przez porzecze,
«Po kohortach ostrzą miecze...
«*Sancta verba veritatis*!
Jak na puste psa szczekanie,
Wódz w płomieniach nagle stanie.
Biedny jeńcu—*satis! satis!*
«Ścierwo rzymskie—idź do czorta!
«Co tam—legjon! czy kohorta!
«Ostrzą miecze? Toż nieszczęście?..
«To precz oręż—i na pięście!
«A oklaskiem—ziemię wstrzęście!»
I jak rzeka w skałach stroma,
Wślad za wodzem czerń ruchoma,
Pomrukuje: «Roma—Roma!»—
. . . . . .
Któż ogarnie i wypowie
Choćby promyk w Bożem słowie!

Śpiewak w obcej stronie.

Nigdyż serce stęsknione
Mar minionych nie prześni!?
Wiecznież w jedną gdzieś stronę
Zaczaruje me pieśni?

Jak świat długi, szeroki,
Z lutnią moją podróżną,
Zmieniam miejsca, widoki,
Ale zmieniam napróżno.

Przez miejsc tyle, chwil tyle —
Każdy dla mnie zakątek,
Wszystkie, wszystkie tu chwile
Są bez wrażeń, pamiątek.

I to serce, o dziwo!
Tak czujące dziś mało:
Indziej biło tak żywo,
Tak płomiennie kochało.
Ach! przed mokrą powieką
Darmo dzień mi tu płonie!
Wzrok, jak pieśni... daleko,
Wiecznie w jednej tkwi stronie.

Ku niej tęsknię z wieczora,
Z jutrznią tęsknię i płaczę...
Bom pożegnał nie wczora,
I nie jutro obaczę!

Rok 1809.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

5) PRZEZ

Wacława Gąsiorowskiego.

Rudzki podniósł się ociężale i jął nibyto od niechcenia zbliżać się do kąta, w którym siedzieli nieznajomi — lecz ci rzucili karczmarzowi pieniądze i, zanim Rudzki zdołał się spostrzedz, wstali pośpiesznie i wyszli z izby.

Dyzma żachnął się niecierpliwie i kazał karczmarzowi przywołać woźnicę.

— Co to za jedni ci dwaj?

Woźnica wzruszył ramionami.

— Kto ich wie!

— Nie znasz ich?

— Jak i waszmość-panów! Ni mniej, ni więcej!...

Pan Tadeusz poglądał ze zdziwieniem na Rudzkiego, nie pojmując tej jego ciekawości.

— Co waćpanu?... Niech sobie!... Przecież jest nas dwóch!... Krucice mam dobrze opatrzone.

— Nie w tem rzecz...

— Więc?

— Długoby mówić!...—Nie podobają mi się!... No... ale sianem nie dam im się wykręcić!...

— Co waćpan zamierzasz?

— Zobaczymy!...—syknął groźnie Rudzki.

Po krótkim postoju, bryka potoczyła się dalej. Zabielski, znużony podróżą, drzemał i kiwał się automatycznie. Rudzki także wydawał się śpiącym, lecz z pod nasuniętej na oczy czapy, ścigał majaczące się przed nim cienie nieznajomych, którzy od czasu do czasu zamieniali ze sobą jakieś wyrazy.

Dyzma nadstawiał uszu, pochylał się ku przodowi, niby to chwiejąc się bezwładnie w takt dygoczącej bryki; raz zdawało mu się, że słyszy swoje własne nazwisko, wymawiane z naciskiem, ale chrzęst łańcuchów głuszył szeptem prowadzoną rozmowę.

Ujechano tak z dobrą milę. Aż na drodze jęły rysować się cienie chat, a tu i owdzie migotać niepewne światełka.

Woźnica się ocknął i zaciął konie.

— Hej! A co to za wieś? — rzucił Rudzki.

— Ksawerów! Zaraz nadjedziemy na rogatkę!

Nieznajomi poruszyli się niespokojnie.

Rudzki uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem i pociągnął Tadeusza za rękaw:

— Mości Zabielski! Rogatka!...

Pan Tadeusz ledwie otrząsnął się z drzemki, gdy bryka zatoczyła się gwałtowniej i stanęła. Z chaty przydrożnej wysunęła się gromadka ludzi z pochodniami.

— Co to?—mruczał rozespany Zabielski.

— Nic! Patrol strażniczy! — odparł flegmatycznie Rudzki.

Patrol zbliżył się tymczasem do bryki. Idący przodem podoficer zadał kilka pytań woźnicy, przerzucił podane mu przez nieznajomych papiery, a następnie podszedł do Zabielskiego i Rudzkiego. Tu legitymacja poszła nierównie szybciej. Podoficer rzucił okiem na pieczęcie i odezwał się sucho w stronę stojącego przy szlabanie szyldwacha:

— *Fertig!*

Zawiasy szlabana już zgrzytnęły, konie wstrząsnęły raźno łbami, gdy Rudzki pochylił się ku podoficerowi i szepnął doń kilka wyrazów po niemiecku.

Podoficer cofnął się raptownie.

— *Halt!*—Rozległa się ponownie komenda. A równocześnie podoficer przypadł do dwóch nieznajomych.

— Zsiadać natychmiast! Aresztuję was!...

— Co? Za co!—bronił się starszy.

— Dowiecie się później! Dalej!... Herman!... Hans! Do mnie!...

Strażnicy skupili się około podoficera, mierząc groźnie skurczone postacie nieznajomych.

— Jak się ważycie! Mamy papiery w porządku!

— Słuchaj ty!—warknął zajadle podoficer.—Chcesz, żeby cię za uszy ściągnąć?... Brać ich!... Ja was tu rozumu nauczę! Baty na przywitanie!

Strażnicy wyciągnęli żylaste ręce ku nieznajomym, lecz w tejże chwili starszy z nich porwał się z miejsca, powalił najbliżej stojącego uderzeniem pięści i, zanim podoficer i pozostali żołnierze zdołali się opamiętać, wyskoczył na ziemię, na przeciwległą stronę bryki, wołając groźnie na towarzysza:

— Do mnie tu, Jędrek!

Nazwany Jędrkiem targnął się ku przodowi i już miał wyskoczyć, gdy Rudzki przytrzymał go za połę kubraka.

— Poczekaj kawalerze, dokąd ci tak pilno!? — syknął Dyzma.

— Szpiegu austrjacki! — huknął starszy z nieznajomych.

— Ognia do nich! — pienił się podoficer, dobywając pałasza.

— Do mnie tu! — krzyczał Rudzki, któremu krzepki snać młodzieniec z rąk się wyrywał.

Żołnierze rzucili się ku bryce gwałtowniej. Dwa strzały padły jeden po drugim. Jedna z kul gwizdnęła tuż około zalterowanego pana Tadeusza. Ku piersi szamoczącego się z Rudzkim młodzieńca wysunął się już był bagnet karabina. Ale starszy jego towarzysz wspiął się na brykę i, odepchnąwszy oniemiałego ze strachu woźnicę, schwycił gwałtownie za koniec karabina i wyrwał go z rąk żołnierza, a potem zamierzył się na Rudzkiego. Dyzma puścił połę kubraka i zsunął się z bryki ku napastnikowi.

— Za mną! Z tej strony! Mości Zabielski! do mnie tu!...

Austrjacy skoczyli na pomoc Rudzkiemu.

— Jędrek, bierz za krócicę!—komenderował dalej starszy z nieznajomych, młynkując przed sobą karabinem.

— Masz ją! — zaśmiał się Dyzma i wypalił z pistoletu. Kula raniła starszego w nogę. Ugodzony zatoczył się; nie tracąc atoli przytomności, odpierał razy, zadawane mu bagnetem.

— Poddaj się!—groził podoficer, zachodząc z boku broniących się.

— Poddaj się, bo będziesz wisiał! — rechotał Rudzki.

— Dyzma, milcz!...

— Kto jesteś, ty tchórzu!?

— Jędrek, pal mu w łeb!...

Młodzieniec wystrzelił, lecz chybił. Żołnierze śmielej natarli. Starszemu już sił brakło do zasłaniania się. Dwóch piechurów opatrywało zamki karabinów, aby do pewnego strzału się złożyć.

— Muszę się z wami poznać bliżej!... Muszę ja z wami pogadać!...

— Cel! — rozkazał podoficer.

— Stójcie! — wołał Rudzki. — Ja muszę ich mieć żywcem!

— Nigdy! Słyszysz, szpiegu!

— Zobaczymy! — śmiał się dziko Rudzki. — Powiesz ty więcej przy węgielkach!... Zachodzić mu z tyłu!

— Z tyłu! Poczekaj przechero! Szymon, wal, nie pytaj!

— Na to zawołanie, siedzący na bryce woźnica wyrwał zasunięty pod siedzeniem drąg i skoczył z tyłu na austrjaków, niespodziewających się z tej strony napaści.

Raz i drugi zakręcił drągiem i uderzył po kaszkietach. Dwóch żołnierzy padło ogłuszonych.

Zanim spostrzeżono trzeciego przeciwnika, ten już zwalił z nóg podoficera. Żołnierze, przerażeni odsieczą, nie mogąc wśród panujących ciemności, spotęgowanych jeszcze migocącym się płomieniem pochodni, dosięgnąć przeciwników, cofnęli się pośpiesznie.

Rudzki zaklął, zmuszony do ustąpienia. Młodzieniec, chowający się dotąd za plecami starszego swego towarzysza, sięgnął po karabin, leżący około rozciągniętego na ziemi austrjaka i natarł na Rudzkiego.

Dyzma odskoczył do bryki, wołając rozpaczliwie:

— Do mnie! Do mnie żołnierze!! Mości Zabielski, ratuj przed tymi opryszkami!

W dali rozległy się głuche dźwięki alarmującego bębna. Na skraju drogi ukazały się już pochodnie...

Rudzki chciał umknąć, lecz drogę miał zagrodzoną. Jedynym ratunkiem dlań mógł być pan Tadeusz—lecz ten siedział bez ruchu, jak skamieniały, nie wiedząc, co z sobą począć.

— Zabielski!—ryczał Rudzki, wijąc się przed wysuniętemi ku niemu żądłami bagnetów.

— Czego waćpan!?—rzucił mimowolnie pan Tadeusz.

— Ratuj! Pal w opryszków!...

— Dyzmo! Szpiegu nikczemny... Tu twój koniec będzie!... Chciało ci się wypatrywać w Warszawie!? Pamiętasz, kto ci plagi wyliczyć kazał przed dwoma miesiącami?!...

— Oskierko!—zawył z wściekłością Rudzki i nagle odtrącił ręką bagnet i z puginałem wpadł na przeciwnika.

Jędrek z Szymonem chcieli pośpieszyć z pomocą, ale żołnierze znów skupili się, a widząc nadciągającą pomoc, natarli śmielej. Rudzki dławił starego i mocował się z nim. Oskierko, któremu od postrzału noga silnie krwawiła, opierał się dzielnie, lecz w stalowym uścisku Dyzmy słabł i ledwie mógł utrzymać grożącą mu puginałem rękę. Po daremnym wysiłku, przechylił się i upadł. Rudzki przytłoczył go kolanami do ziemi i wzniósł rękę do ciosu.

— Ani mi się waż ruszyć, bo ci zagram na gardle!

— Łotrze!...

— Jeszcze słowo, a trzewi z ciebie dobędę!...

Naraz Rudzki zatrząsł się z przerażenia: ktoś z tyłu schwycił go za uzbrojoną puginałem rękę i szybkim ruchem w tył mu ją wyłamał.

Rudzki był jakby w kleszczach. Leżący pod nim Oskierko szastał się zajadle i cisnął lewą rękę. Napastnik z tyłu obezwładnił go równocześnie.

— Zabielski! ratuj!—jęknął znów Dyzma.

— Jest!—huknął dźwięczny głos pana Tadeusza tuż za plecami Rudzkiego.

— Puszczaj mnie! Chcesz tego nikczemnika bronić? Wiesz, że za nim listy gończe...

— Milcz! — przerwał pan Tadeusz.—Coś waść za jeden?!...

— Oskierko... kapitan drugiego pułku ułanów... Księstwa...

— Puść go!—rozkazał sucho Zabielski, szarpiąc Rudzkiego.

— Oszalałeś!... Chcesz wisieć z nim razem! Nigdy!... Do mnie warta!... Na pomoc!... Ty!

Dyzma nie dokończył, gdyż pan Tadeusz porwał go wpół, zatrząsł i odrzucił gwałtownie, uderzając obezwładnionem ciałem Rudzkiego o brykę. Rudzki stracił przytomność.

Zabielski poskoczył ku Oskierce, pomógł mu powstać i z nim razem sunął ku Szymonowi i Jędrkowi, którzy ostatkiem sił walczyli przeciwko przemagającej sile żołnierzy.

— Wal Jędrek! — wołał teraz Oskierko.

— Z tyłu im zachodzić!—wtórował teraz pan Tadeusz, który, wyrwawszy z rąk osłabłego Szymona drąg, natarł z furją na austrjaków.

W młodym burmistrzu - kanceliście krew zagrała. Oczy mu krwią nabiegły. Mimo nastawione bagnety, mimo strzały karabinowe, następował, zadając krwawe razy. Austrjacy próbowali się bronić, lecz noc czyniła ich strzały ślepemi, dwoiła liczbę nieprzyjaciela. Gdy Szymon z podniesionym karabinem, a za nim znów Jędrek i Oskierko napadli na żołnierzy z boku, ci pierzchnęli w nieładzie, nawołując się i szukając oparcia w nadciągającej ze wsi pomocy.

Oskierko, postrzegł niebezpieczeństwo i zawołał:

— Za mną teraz! W pole!

Zabielski i Jędrek bez wahania poszli za biegnącym Oskierką. Szymon skoczył do woza, pochwycił za kobiałkę i poszedł za ich przykładem.

Austrjacy, spostrzegłszy ucieczkę, rzucili się w pogoń. Kiedy jednak cienie uciekających skryły się w czerniejącym na skraju pola zagajniku, odeszła im ochota do dalszego pościgu.

Zabielski ze swoimi przygodnymi towarzyszami biegł tymczasem, ile siły stało, kołując w zagajniku, aby zmylić pogoń. Zagajnik atoli przeszedł w las, mocno podszyty od dołu, zawalony tu i owdzie, snać przez huragan, kłodami drzewa, pełen zdradliwie sterczących pni spruchniałych, śniegiem przypruszonych dołów, a rozwierających się nad grzązkiemi błotami powłok lodowych. Uciekający zwolnili kroku, lecz szli jeszcze, ledwie ostrzegając się niekiedy przed napotkaną przeszkodą.

Po godzinie takiej drogi, Oskierko nagle przystanął, oparł się o sosnę i rzucił głucho:

— Kroku dalej stąpić nie mogę!...

— Co waćpanu?—zagadnął z niepokojem Zabielski.

— Noga!—jęknął Oskierko.

Szymon z Jędrkiem pośpieszyli Oskierce z pomocą. Usadowili go na kłodzie drzewa i jęli opatrywać mu ranę, trzeźwiąc wódką, dobytą z kobiałki.

Pan Tadeusz przysiadł także na kłodzie i dyszał ciężko. Skronie mu pulsowały, ręce drżały. Jeszcze nie mógł odzyskać równowagi po przebytych tylko co wypadkach, jeszcze nie umiał zdać sobie sprawy, jak się to stało, że oto teraz znajduje się w lesie pośród obcych mu zgoła ludzi.

Bił się przecież tam! Stawił opór!... Nic podobnego w życiu mu się nie przytrafiło!... A jak cofali się przed nim!...

Zabielski uśmiechnął się sam do siebie z zadowoleniem.

Nagle uczuł jakieś niezrozumiałe dlań ciepło na lewym policzku. Sięgnął ręką. Zdało mu się, że strumień potu. Spojrzał mimowoli na rękę, wydała mu się czarną. Otarł ją o śnieg. Na śniegu ukazały się ciemne plamy... Dotknął po raz drugi, trzeci, za każdym razem wycierając rękę; plamy na śniegu zwiększały się... Wiatr mroźny szczypał go dotkliwie w lewy policzek.

Pan Tadeusz wziął grudkę śniegu i przyłożył do twarzy; odjął, grudka była czarną prawie.

Wtem po przez wystrzeliska sosny wyjrzał rąbek księżyca. Plamy na śniegu poczerwieniały. Zabielski pochylił głowę bezwładnie...

W oczach jęły mu się ukazywać świetlane płatki i otulać kłębami pary, znaczącej każde drgnienie jego oddechu, a w końcu rozpływać w mgłach nieuchwytnych i jasnych koliskach...

— Janka!—szepnął cicho pan Tadeusz, jakgdyby wyciągniętemi do uścisku ramionami szukając tej, którą był widział tak siebie bliską, a tak nieuchwytną.

— W drogę! Czas! Dosyć bałamuctwa! — rozległ się znów raźny głos Oskierki.

— Wstawaj waszmość!—dorzucił Jędrek.

— Idę!—jęknął pan Tadeusz. Zebrał siły, podniósł się, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa—i runął na zmarzłą murawę.

DCN

ALEKSANDER PUSZKIN.

EUGENJUSZ ONIEGIN.

ROMANS WIERSZEM.

Przełożył

Leo Belmont.

(Dokończenie).

39.

Czas płynął, zimie rzekł już *veto!*
I w termometrze spadła rtęć.
Nie umarł, nie stał się poetą,
Zachował swoich klepek pięć.
Żywi go wiosny duch skrzydlaty:
Rzuca zamknięte swe komnaty,
(Jak borsuk w norze siedział tam),
Kominek, rząd podwójnych ram,—
I w saniach mknie w pogodę cudną
Wzdłuż Newy... Wodą idą kry...
W błękitnych lodach krzesze skry
Słoneczny blask... Topnieje brudno
Skopany na ulicach śnieg...
Zgadnijcie, kędy szybki bieg

40.

Skierować kazał? Dość zabawny
Z mej strony ten pytania znak!
Przyjechał dziwak niepoprawny
Do niej, do Tani swojej... Tak!
I idzie z miną nieboszczyka,
Nikogo z służby nie spotyka,
Przechodzi pustych komnat rząd...
Otwiera drzwi... I naraz prąd
Jakby mu wstrząsnął wszystkie nerwy!...
Tam księżna sama... bladą skroń
Siedzącej biała wspiera dłoń...
Po licach płyną łzy bez przerwy...
List jakiś w drugiej ręce ma...
I czyta go—i cicho łka.

41.

Jej niemą boleść w chwilce jednej
Chyba z tych lic wyczytałbyś!
Kto Tani dawnej, Tani biednej
Nie poznał w owej księżnej dziś?!
Szalona żałość nim owłada...
Eugenjusz do nóg jej upada.
A ona drgnęła... Patrzy nań...
Nie mówi nic... Nie słychać łkań...
Nie widać gniewu, ni zdziwienia...
Usprawiedliwiał jego krok
Zagasły, chory jego wzrok...
Ten niemy wyrzut ją odmienia
I z dawnem sercem, pełnem snów,
Wskrzesza w niej proste dziewczę znów!

42.

Długo na niego patrzy tkliwa,
Na jego śmiałość nie ma skarg,
Nieczułej ręki nie odrywa
Od jego chciwych bladych warg...
W jej duszy wskrzesło uczuć tyle!
W milczeniu schodzą długie chwile...
Wtem drgnie i cicho rzecze wraz:
«Dość tego! Wstań pan!... Nadszedł czas
Wyznać, com kryła tak opornie...
Oniegin, czy pamiętasz dzień,
Gdy nas we dwoje w lipy cień
Sprowadził los, gdy tak pokornie
Jam wysłuchała lekcji twej?
Z kolei ty cierpliwość miej!

43.

«Oniegin! młodszą wtedy byłam
I, zda się, większy miałam wdzięk...
Kochałam ciebie... Cóż odkryłam?
Jaki w twem sercu zabrzmiał dźwięk
I jakie echo?... Ach, surowe!
Nie było to dla pana nowe—
Rzucić w tak proste serce siew,
A dzisiaj, Boże!—stygnie krew,
Kiedy przypomnę wzrok ten chłodny
I to kazanie... Ale win
Niema na panu... Pański czyn
Wówczas szlachetny był i godny...
I wobec mnie miał słuszność pan...
Wdzięczną ci jestem... krwią mych ran.

44.

«Nieprawdaż? Wtedy w mej pustyni
Pan nie znalazłeś we mnie nic?...
Patrzyłeś chłodno. Cóż dziś czyni,
Że prześladowcą stał się widz?
Czemuś mnie raczył dojrzeć przecie?
Czyli nie ztąd, że w wyższym świecie
Zjawiam się śród zbytkownych ram,
Że tytuł i majątek mam,
Że mąż mój w ranach z bitw powrócił
I dwór nie szczędzi nam swych łask,
Że mój upadek miałby blask,
Oczyby świata na nas zwrócił,
Że dziś ma hańba panu snadź
Pragnioną chwałę może dać?!

45.

«Ja płaczę... Jeśli swoją Tanię
Jeszcze pamiętasz, o! to wiesz,
Że nad namiętność, łzy, błaganie,
Którem me serce zmiękczyć chcesz,—
Ostre wolałabym wyrzuty,
Szyderstwem chłodnem sąd zatruty:
Obraziłbyś mnie dzisiaj mniej!
Wtedy dla śniącej duszy mej
Miałeś choć litość... Choćby karność
Uczułeś wobec młodych lat...
A dziś jak trafiasz na mój ślad?
Do nóg śmiesz padać?.. Jaka marność!
Rozum i serce pańskie mieć,
A w płaskiej żądzy wpadać sieć!

46.

«A mnie ten przepych tylko gniecie,
Ten maskarady nędzny szych...
Moje tryumfy w pustym świecie,
Mój świetny dom... I cóż jest w nich?
Jam każdej chwili oddać rada
Szmat, którym pstrzy się maskarada,
Cały ten gwar i blask i czad
Za półkę ksiąg, za dziki sad,
Za skromny dom nasz i—pamiętasz?
Za miejsce to, gdzie jeden raz
Sprowadził los we dwoje nas,
I za ubogi wiejski cmentarz,
Gdzie dzisiaj wierzb płaczących tren
Kołysze biednej niani sen.

47.

«A szczęście było tak możebne!
Tak blizkie!.. Lecz rozstrzygnął los!
To poświęcenie niepotrzebne
Dyktował nieopatrzny głos.
Lecz w łzach widziałam matkę biedną,
A dla mnie... wszystko było jedno,
Już nie czekałam szczęsnych zmian.
I wyszłam za mąż... Musisz pan
To uznać, czego już nie złamać!
Zostaw mnie! Proszę... Honor masz
I obowiązku drogę znasz...
Ja kocham ciebie... (Po co kłamać?)
Lecz z innym już mnie związał ślub
I wierną żoną zejdę w grób!»

48.

Odeszła... Sam Eugenjusz został...
O, Boże! Kres już wszystkim snom!..
O, w jakiż wir się uczuć dostał!
Jaki na głowę spadł mu grom!
Wtem brzęk ostrogi dźwięknął znany,
I w progu stanął mąż Tatjany...
I... czytelniku! w chwili tej,
Dla bohatera mego złej,
Na długo chcę go pozostawić...
Na zawsze!... Za nim dosyć już
Błądziliśmy po świecie wzdłuż...
W przystani nogę czas postawić,
Winszować sobie brzegu wraz...
Nieprawdaż?... dawno skończyć czas!

49.

Ktokolwiek jesteś, czytelniku,
Druh, albo wróg mój—pragnę dziś
W przyjaznym żegnać cię okrzyku...
Więc bywaj zdrów! Cokolwiekbyś
Szukał tu w strofach mych niedbałych,
Czy to wytchnienia z prac wytrwałych,
Czy przypomnienia młodych snów,
Obrazów żywych, ciętych słów,
Czy to omyłek gramatycznych—
Niech Bóg ci da: znajdź w książce tej
Dla serca, dla fantazji swej,
Dla snów dla krytyk polemicznych
Lub dla rozrywki choćby żdźbło!
Bądź zdrów! Bodaj ci dobrze szło!

50.

Żegnaj i ty, wędrowcze smętny,
I ty, Tatjano, wzorze cnót...
A z wami niech mi żegna skrzętny
I żywy, choć niewielki trud.
Znałem w nim to, co drogo cenię:
O burzach świata zapomnienie,
Czar, co w rozmowie z druhem tkwi...
Uciekło wiele, wiele dni,
Odkąd Tatjany postać ślicznej,
A z nią Oniegin w mglistym śnie
Nawiedził po raz pierwszy mnie
I, jak przez kryształ lśniąc magiczny,
Jeszcze we mgle obłocznych fal
Błysnęła mi romansu dal...

51.

Lecz ci, co mile mnie słuchali,
Gdym pierwsze strofy czytał im...
«Jednych już niema inni—w dali»,
Jak Sadi rzekł w «Ogrodzie» swym.
Bez nich Oniegin wykończony,
A ona, którą duch natchniony
Obrał za wzór Tatjany mej...
Los wiele, wiele odjął jej!...
Szczęśliw, kto nie do dna wysączył
Żywota puhar; szczęsny człek,
Co z uczty ziemskiej wcześnie zbiegł,
Romansu życia nie dokończył,
I tak się umiał rozstać z nim,
Jak ja tu—z Onieginem mym!

1830—1831. Petersburg,
Bołdino, Carskie Sioło.

A. P. CZECHOW.

SZYDŁO W WORKU.

Piotr Pawłowicz Posudin zdążał trójką obywatelskich koni, boczną drogą, zachowując najściślejsze *incognito*, do powiatowego miasteczka N*, dokąd zawezwano go listem anonymowym.

«Przyłapać... Spaść im na głowę niespodzianie, jak śnieg... — rozmyślał, zasłaniając sobie twarz kołnierzem. — Dopuścili się łajdactw, kanalje, tryumfują i przypuszczają z pewnością, że im to ujdzie na sucho... Cha! cha! Wyobrażam sobie ich przerażenie i zdziwienie, gdy wśród upojenia tryumfem, usłyszą: «Stawcie tu przede mną Tiapkina-Liapkina!» Będzież to popłoch! Cha! cha!»

Nacieszywszy się dowoli swemi myślami, Posudin rozpoczął gawędę z woźnicą. Jako człowiek żądny popularności, zapytał go przedewszystkiem o siebie:

— Znasz ty Posudina?

— A czemużby nie!?—uśmiechnął się woźnica.—Znam go, znam.

— Czegóż się śmiejesz?

— A bo to śmiechu warte! Każdego najostatniejszego pisarzynę znam, a miałbym Posudina nie znać! Na to go tu przysłali, żeby go wszyscy znali...

— Więc to dlatego?... No, cóż? Jakiż on jest, twojem zdaniem? Dobry?

— Niczego...—ziewnął woźnica.—Dobry pan, zna się na swojej rzeczy... Niema jeszcze dwóch lat, jak go tu przysłali, a już dokazał sztuki...

— Cóż takiego osobliwego zrobił?

— Dużo dobrego, niech mu Bóg da zdrowie. O kolej żelazną się wystarał, Chochrinkowa w naszym powiecie wysadził... Nie było żadnej rady na tego Chochrinkowa... Szelma był przebiegły, wszyscy dawniejsi trzymali się z nim za ręce, a jak przyjechał Posudin, poszedł Chochrinkow do djabła, jak nic... Ho! ho! Posudina, bracie, nie przekupisz, nie-e! Żeby mu tam dawać setki i tysiące nawet, toby nie brał grzechu na duszę... Nie!...

— Chwała Bogu, że mię chociaż z tej strony zrozumiano — pomyślał Posudin, z zadowoleniem.—To dobrze!

— Uczony z niego pan...—mówił dalej woźnica—nie dumny...

Nasi jeździli do niego na skargę, to on ze wszystkimi gadał jakby z panami: wszystkich uściskał za rękę, «proszę siadać» — powiada... Gorący taki, prędki... Słówka powoli nie powie, a wszystko prędko: szast! prast! Nie pójdzie za nic w świecie stępem, zaraz leci galopem...

Nasi jeszcze słówka nie zdążyli powiedzieć, a on już woła: «Konie!!» i prościutko na miejsce pojechał...

Przyjechał i wszystko załatwił... ani kopiejki nie wziął. O wiele lepszy od dawnego! Niema co gadać, ale i dawny był dobry. Osoba taka, poważna, a nikt w całej guberni głośniej od niego krzyczeć nie umiał...

Czasem, jak gdzie jechał, to go zdaleka o dziesięć wiorst słychać było; jeśli, na to mówiący, wedle zewnętrznych stron i wedle wewnętrznych interesów sądzić, to teraźniejszy zgrabniejszy o wiele od tamtego! Ho! ho! teraźniejszy ma w głowie sto razy więcej sprytu... Jedno tylko źle... Dobry on jest dla wszystkich ludzi, ale bieda: pijak!

«Masz tobie!» pomyślał Posudzin.

— Zkądże ty wiesz—zapytał — że ja... że on jest pijakiem?

— Ano niby, proszę pana, sam go pijanego nie widziałem, łgać nie będę, ale ludzie tak powiadają... Ludzie go także po pijanemu nie widzieli, ale takie wieści o nim chodzą... Między państwem, jak pójdzie gdzie w gościnę, albo na bal, albo jest gdzie w kompanji—nie pije. W domu się urzyna... Wstanie rano, ledwie oczy przetrze — zaraz się do wódki bierze! Kamerdyner przyniesie mu szklankę wódki, a on zaraz o drugą woła... I tak cały dzień dolewa...

Ale chociaż pije, nic tego po nim nie znać! Umie tak jakoś się nie wydać. Jak czasem nasz Chochrinkow zaczął pić, to nietylko o tem ludzie wiedzieli, ale nawet i psy wyły, a Posudin jakby nigdy nic... Zamknie się w swoim pokoju i łyka... Żeby ludzie nie zmiarkowali, kazał sobie zrobić w biurku taką szufladę z rurka... W tej szufladzie ma zawsze wódkę. Nachyli się do rurki, pociągnie i już... W karecie wozi także wódkę, w torbie na papiery...

Zkąd oni wiedzą?—przeraził się Posudin.—Mój Boże, nawet i z tem się ukryć człowiek nie może! Jakaż to nikczemność...

— A co się tyczy białogłów... Także szelma! (woźnica rozśmiał się i pokręcił głową). Bezbożnik i koniec! Z dziesięć się koło niego kręci... Jedna Anastazja Iwanowna, niby jest gospodynią; druga zaś... jakże ona się u licha zwie? Aha! Ludmiła Siemionowna—jest za pisarkę... Najgłówniejsza nad wszystkiemi jest Anastazja... Co ona chce, to on wszystko zrobi... Kręci nim, nieprzymierzając, jak lis ogonem. Ma nad nim wielką władzę. To też jego się nikt tak nie boi, jak jej... Cha! cha! Trzecią znowu mieszka na Kaczalnej ulicy... Bezwstyd!

Nawet imiona zna dokładnie—pomyślał Posudin, rumieniąc się.—I to jeszcze kto? Chłop woźnica... który nawet nigdy w mieście nie bywa!... Ach! Podłość, nikczemność i plotkarstwo obrzydliwe!

— Zkądże ty wiesz to wszystko?—zapytał rozdrażniony.

— Ludzie gadają... Sam nie widziałem, alem od ludzi słyszał...

Czy to trudno dowiedzieć się? Kamerdyner i furman nie mają odciętych języków... Zresztą i sama Anastazja chodzi pono po mieście i przechwala się, że jej się tak poszczęściło... Przed okiem ludzkiem trudno się ukryć... Ot, naprzykład, ten Posudin ma taki zwyczaj, że pocichu na śledztwa wyjeżdża... Dawny, jak miał gdzie jechać, to już na miesiąc przedtem dawał znać, a gdy jechał, to było tyle stuku i hałasu, że niech ręka Boska broni! I przed nim pędzą, i za nim jadą, i z boku też. Przyjedzie na miejsce, wyśpi się, naje, napije się porządnie i dopiero zacznie hałasować po urzędzie... Nakrzyczał się, natupał nogami, znowu się wyspał i odjechał tak samo, jak przyjechał... Teraźniejszy zaś, jak się czego dowie, jedzie ukradkiem, prędko, żeby go nikt nie zobaczył i nic nie wiedział... Pociecha! Wyjdzie cichaczem z domu, żeby go urzędnicy nie widzieli i dalejże na maszynę. Dojedzie do stacji, do jakiej mu potrzeba, nie pojedzie jednak porządnie, pocztą, tylko umówi sobie chłopską furmankę. Owinie się cały, jak baba, a przez całą drogę gada ochrypłym głosem, żeby go po głosie nie poznali.

Boki od śmiechu bolą, gdy się słucha, co ludzie o nim opowiadają... Jedzie dureń i myśli, że go nikt nie będzie mógł poznać... A tymczasem każdy mądry człek odrazu zmiarkuje...

— Jakże zmiarkuje?

— A bardzo łatwo. Chochrinkowa, gdy cichaczem jeździł, poznawano po ciężkiej ręce. Tak już miarkowali, że jeśli pasażer mocno po gębie bije, to nikt to inny być nie może, tylko Chochrinkow... Posudina także odrazu poznać można... Zwyczajny podróżny—zwyczajnie się zachowuje, a Posudin inaczej sobie poczyna. Przyjedzie, na ten przykład, na stację i zaraz zacznie wydziwiać: to mu śmierdzi, to za gorąco, to za zimno... Każe sobie podawać kurczęta, owoców zamorskich żąda, o różne słodkości się dopomina, więc już po stacjach wiedzą, że kto ma takie zachcianki, musi być z pewnością Posudinem. Albo jeżeli kto mówi do naczelnika stacji: «mój najdroższy panie» i rozsyła ludzi po różne drobnostki, to już przysięgać można, iż to Posudin. Pachnie też od niego nie tak, jak od innych ludzi, spać się kładzie inaczej, niż wszyscy ludzie... Położy się na stacji na kanapie, pokropi ją pachnącą wodą i każe sobie postawić przy poduszce trzy świece. Leży i czyta papiery... Niepotrzeba już na to żadnego naczelnika, bo i kot nawet pozna, co to za jeden...

— Prawda, prawda—pomyślał Posudin—że ja też wcześniej tego nie wiedziałem!

— A kto chce, to i bez kurcząt i bez zamorskich owoców się dowie. Przez telegraf wszystko wiadomo... Żeby sobie tam nie wiem jak gębę zasłaniał, chował się—zawsze będzie wiadomo, że jedzie. Posudin jeszcze z domu nie wyszedł, a tam już go oczekują i wszystko gotowe! Przyjedzie, żeby ich przyłapać na gorącym uczynku, oddać pod sąd, albo wypędzić jakiego łapownika, a ci się z niego śmieją. Chociażeś ty—powiadają—jaśnie wielmożny i pokryjomu przyjechałeś—pozwalamy ci sprawdzić, że u nas wszystko w porządku... Pokręci się, pokręci i odjedzie z tem, z czem przyjechał... Pochwali jeszcze, uściśnie ręce wszystkim i przeprosi, że narobił tyle niespokojności... Tak to bywa, tak! A pan inaczej sobie myślał? Ho! ho! U nas naród sprytny, jeden przebieglejszy od drugiego. Choćby i dzisiaj, na to mówiący... Jadę sobie rano próżno, a tu z przeciwnej strony pędzi od stacji żyd z bufetu. «Dokąd to jego żydowska mość śpieszy?»—pytam. A on powiada: «do miasta powiatowego N°, wiozę wino i przekąski. Oczekują tam Posudina». Zgrabnie? Nieprawda? Posudin może dopiero wybiera się w drogę, zasłania sobie gębę, żeby go nie poznano; a może i jedzie, rozmyślając, że nikt się nie domyśla, gdzie on się znajduje, tymczasem zastanie przygotowane dla siebie wino, ser i różności... Jadąc, myśli sobie zapewne: «Mam was, ptaszki»! A ptaszki kpią sobie z niego! Niech sobie jedzie! Dawno już wszystko pochowali...

— Zawracaj! — krzyknął Posudin.— Wieź mię napowrót do domu, bydlaku!

Zdziwiony woźnica zawrócił konie.

Tłóm. **G. W.**

DROBIAZGI.

— W jakich okolicznościach i kiedy napisaną została powieść „Quo vadis"?—pyta nas jedna z prenumeratorek „Kraju". Trudno odpowiedzieć w dwóch słowach. Przerzucamy przeto odpowiedź z rubryki: korespondencja redakcji—na to miejsce. Sienkiewicz niemal wszystkie większe powieści swoje napisał, jak to mówią, z feljetonu na feljeton, to jest pisał je w czasie drukowania, przesyłając gazecie kolejno rozdział po rozdziale, czasem kartkę po kartce. Rzecz prosta, powieść z góry obmyślona i ułożona—w głowie lub na notatkach, ale do spisywania jej przymusza Sienkiewicza jedynie rozpoczęcie druku. Inaczej przerabiałby i przerabiał nieskończoną ilość razy rozdział każdy. Sienkiewicz w trakcie pisania tworzy, nie zaś jak innych wielu autorów, którzy pisanie powieści uważają za pracę niemal mechaniczną, to jest przelewają tylko w odpowiednią formę rzecz do ostatnich szczegółów skrystalizowaną w umyśle. Tak też było z „Quo vadis". Zaczął tę powieść pisać Sienkiewicz dla „Gazety Polskiej", w listopadzie roku 1894 w Warszawie. Do marca r. 1895 wciąż początek przerabiał—i dał wreszcie „Gazecie" kartek kilka rękopisu, które utworzyły pierwszy odcinek powieści. Po dwóch miesiącach przerwał tworzenie—(przerwała też drukowanie „Gazeta") — i wyjechał do Kaltenleutgeben. Z Kaltenleutgeben pojechał do Zakopanego i ztamtąd nadsyłał codzień potrzebną na jeden feljeton ilość rękopisu. Z Zakopanego po dwóch miesiącach pojechał do Paryża, co spowodowało nową przerwę w pisaniu i drukowaniu „Quo vadis". Potem wrócił do Zakopanego, nadesłał ztamtąd kilka dalszych rozdziałów i pojechał w Poznańskie, aby wrócić do Warszawy około świąt Bożego Narodzenia. Z przerwą tylko świąteczną pisał bez wytchnienia, a po napisaniu dziesiątej części „Quo vadis", wyjechał do południowej Francji, gdzie na wiosnę r. 1896 powieść skończył. Owa potrzeba zmieniania miejsca w czasie tworzenia jest charakterystyczną cechą Sienkiewicza. Trzy części „Trylogji" pisane były w najrozmaitszych miejscowościach: w Warszawie, Zakopanem, w północnej Francji, na Rivierze, we Włoszech. Do pośpiechu naglić wogóle autora, lub żądać od niego akuratności w dostarczaniu rękopisu — mówimy to na podstawie wystarczającego doświadczenia—na nic się nie zda. Anegdota o zamykaniu na klucz Dumas'a (ojca) przez wydawcę aż do czasu „dostarczenia" ciągu drukującej się powieści — jest anegdotą. Balzac pisał nocami; miałby się z pyszna, ktoby chciał zmusić go do pisania — w dzień. Od Sienkiewicza nikt nigdy jeszcze nie otrzymał kompletnego rękopisu większej powieści.

—

— Że nie zawsze parlament angielski zajmował się wojną i handlem, świadczy dekret parlamentu angielskiego z XVIII-go wieku, przytoczony dosłownie przez znanego szperacza O. Uzanne'a w „Vie contemporaine". Opiewa ów dokument: „Wszelka niewiasta, jakiegobądź stanu, wieku i kondycji, dziewczyna lub wdowa, któraby usiłowała zniewolić do małżeństwa poddanego J. Kr. Mości za pomocą zlewania siebie perfumami, farbowania włosów, wydymania stanika, przyprawiania sobie wysokich obcasów i tęgich bioder, tudzież bielenia i różowania twarzy — podlegać ma karom, wymierzanym czarownicom, a małżeństwo, będące wynikiem takich zabiegów, ma być uważane za nieważne wobec prawa". Dziś w tem tylko odmiana, że wpływ używania kosmetyków na... pochopność mężczyzn do stanu małżeńskiego zmalał bardzo. Nie groźne to wcale dziś „sposoby"—a przeciwnie, w dzisiejszych ciężkich czasach (jak mi mówił pewien ojciec pięciu córek) należałoby wyznaczyć nielada nagrodę za wynalezienie niezawodnego środka, wzbudzającego w kawalerach i wdowcach popęd ku zwijaniu rodzinnych gniazd dożywotnich.

Redaktor i wydawca
Erazm Piltz.